

Czarny dzień w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Pabianicach. Sukcesowi zawsze towarzyszy zawiść. Dlaczego POP nie poręczyła za prezesa, któremu „podwinęła się noga”?

Wszystko stało pod znakiem zapytania

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

— Jestem od rana po kilku proszkach — rzucił na wstępie prezes, usprawiedliwiając się ze swego zdenerwowania, które bez nich byłoby jeszcze większe. Stara się — zaznacza — normalnie wykonywać obowiązki szefa, choć w jego sytuacji kosztuje to wiele wysiłku. Mówi szybko, zacinając się z lekka:

— Zgadza się rozmawiać tylko o spółdzielni. Nie zamierzam spowiadać się przed panem z tej nieszczęsnej afery...

1.

Nieszczęsna afery, o której prezes nie chce ze mną rozmawiać, urodziła się nagle 4 marca 1988 roku. Był to dzień najczarniejszy w całej dotychczasowej karierze szefa spółdzielni.

Tego dnia, tuż po godzinie 15, pojawili się w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Pabianicach funkcjonariusze milicji. Weszli prosto do biura, zastając w nim trzy osoby: prezesa, główną księgową oraz jednego z pracowników spółdzielni, byłego wiceprezesa Pabianic i przewodniczącego Społecznego Komitetu Przeciwalcoholowego. W efekcie ich wizyty podwładni prezesa poddani zostali prostemu, znanemu wszystkim kierownikom testowi. Jego samego potraktowano nieco później alkomatem, bardziej wyrafinowanym urządzeniem, pokazującym od razu promille. W ten oto sposób ujawniony został fakt, którego nie sposób zakwestionować: u całej trójki stwierdzono wysokie stężenie alkoholu we krwi. Nie znaleziono natomiast żadnych śladów libacji. Nie było butelki ani kieliszków, ani nawet kropli alkoholu.

Nie znaczy to, że nie było go wówczas w ogóle w spółdzielni. Owszem, był, i to w niej jednej kropelce.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy w biurze gościł milicjanci, w spółdzielni odbywała się rutynowa kontrola, przeprowadzana osobiście przez wiceprezesa. Na gorącym uczynku spożywania alkoholu przyłapano 6 pracowników. Jeden trzymał butelkę pod krzesłem, inni — w budynku na uboczu — obchodzili właśnie imieniny kierownika. Wiceprezes działał szybko — biesiadnicy nie zdążyli nawet sprzątnąć ze stołu kieliszków.

Bilans 4 marca 1988 r. był więc zatrważający. Doliczono się w sumie aż 9 nietrzeźwych osób w miejscu pracy. Nie wystarczy jednak proste zsumowanie efektów obu kontroli. Oprócz alkoholu we krwi, wszystko je bowiem dzieli. Pierwszą przeprowadzono z zewnątrz, drugą — własnymi siłami spółdzielni. Milicjanci stwierdzili jedynie fakt nietrzeźwości, wiceprezes — spożywanie alkoholu nie gdzie indziej, lecz na terenie mleczarni. Kontrola milicyjna „uderzyła” w zarząd; obchód wiceprezesa świadczy o koleśnictwie, że zarząd starał się wzmocnić dyscyplinę i zwalczał pijanństwo. Pierwsza kontrola stała się głośna: sługębna plotka szybko okrażyła całe miasto, wzbogacając się o kolejne wersje wydarzeń. O drugiej kontroli nie mówi się nic — jest na to zbyt zwyczajna.

Szeregowi pracownicy otrzymali upomnienia i nagany. Kierownik został usunięty ze stanowiska. Poradzono sobie nawet z główną księgową — została dyscyplinarnie zwolniona. Decyzję taką podjęto na nadzwyczajnym posiedzeniu zarządu, pod nieobecność prezesa. Pozostał jeszcze on, 40-letni szef mleczarni, odpowiedzialny za wszystko, co w niej się dzieje. Złożył rezygnację, która nie została na razie przez Radę Nadzorczą rozpatrzona. Cokolwiek się z nim stanie, wie jedno: ten jeden dzień kosztował go więcej, niż wszystkie poprzednie dni w życiu. Nigdy już nie będzie takim, jakim był przed 4 marca 1988 r.

2.

W trzy tygodnie później spotykam się w najważniejszym gabinecie spółdzielni z prezesem i jego zastępcą. Przygląda się nam z boku „personal computer” firmy IBM, z ustawionym na biurku monitorem i klawiaturą. Na ławie przyniesione przez sekretarkę butelki z kefirem, twarożki homogenizowane, talerzyk z krajanką. Rozmawiamy — zgodnie z umową — tylko o spółdzielni, popijając od czasu do czasu kefir.

Dowiaduję się, że oprócz kefiru i tego, co na ławie, mleczarnia produkuje masło, śmietanę, maślanek i — oczywiście — butelkuje mleko. Sprzedaje swoje produkty w Pabianicach i okolicznych gminach (jest na tym terenie monopolista); zaopatruje również łódzkie sklepy na Górnej i Widzewie, gdzie konkuruje z innymi mleczarniami.

Rządy obecnego prezesa rozpoczęły się w czerwcu 1985 roku. Pabianicka mleczarnia znajdowała się wtedy na dnie upadku. Wiele instytucji przyglądało się temu z uwagą i troską: Bank Gospodarki Żywnościowej domagał się programu uzdrowienia finansów; Polski Komitet Normalizacji Miar i Jakości miał pod stałym nadzorem jakość produktów; Prokuratura odbierała co miesiąc sprawozdanie w tej materii; Sanepid urządzał częste kontrole. Słaba dyscyplina pracy, kradzieże, duża fluktuacja załogi, niskie płace — uzupełniały obraz zaniedbań.

— Pod względem jakości produktów nie było chyba wówczas gorszej mleczarni w centralnej Polsce — wspomina wiceprezes.

Wówczas, na początku swej pracy w spółdzielni, prezes stawiał dwukrotnie przed kolegiem. Za skandaliczną jakość serków, stwierdzoną przez Sanepid, zapłacił z własnej kieszeni 20 i 35 tys. zł.

Teraz jest inaczej.

— Nie ukrywam — mówi prezes — że przygotowałem się solidnie do rozmowy z panem. Proszę, oto pierwsze zestawienie.

Na ławie pojawia się „zestawienie jakości mikrobiologicznej wyrobów gotowych”, obejmujące cały okres obecnej prezesury. W tabeli uwidoczniło procent wyrobów, zgodnych pod względem obecności bakterii (z grupy Coli) z Polską Normą. Im większy procent zgodności, tym mniej (średnio) bakterii w mleku i jego produktach, tym lepsza ich jakość i mniejsze niebezpieczeństwo dla naszych żoładków. W kolejnych latach 1985—87 wyliczono średnie z poszczególnych miesięcy: 1985 — 21,9 proc., 1986 — 58,2 proc., 1987 — 80,3 proc. Równie efektywnie wypadła porównanie wyników z dwóch odległych w czasie miesięcy: z lipca 1985 — 1,7 proc., ze stycznia 1988 — 84,9 proc. zgodności z normą.

Zestawienie to obrazuje drogę, jaką przebyła spółdzielnia w ciągu ostatnich lat. Prezes wyciągnął ją z „dołka”. Słyszę o tym od wszystkich swoich rozmówców, nie tylko w najważniejszym gabinecie.

— Widać szaloną różnicę — mówi przewodnicząca or-

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź **Odgłosy** tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 16 (1568)

ROK XXXI

16 KWIETNIA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

- „Pieczomira” czyli Fredro tylko dla dorosłych str. 14
- Połączyła ich rzeka str. 1 i 5
- Polskie groby w Tobruku str. 4
- Sekrety telefonu zaufania str. 6
- Dwie pasje Gieorgija Cziczierina str. 12



Foto: Grzegorz Galasinski

Dlaczego rolników w mieście traktuje się jak intruzów? Czy rzeka musi być coraz bardziej trującym ściekiem? Jak uratować podmiejskie rolnictwo?

Połączyła ich rzeka

RYSZARD BINKOWSKI

25 marca 1988 roku zarząd Kółka Rolniczego z Chocianowic działając w trybie art. 4 ustawy o społeczno-zawodowych organizacjach rolników przedłożył prezydentowi Łodzi Jarosławowi Pietrzykowi sprawę rzeki Ner, która obecnie stała się kanałem ściekowym miasta. W czasie nawet niewielkich opadów odprowadzenie wód ze znacznego obszaru powoduje, iż przepływ w korycie Neru jest niewystarczający i wody, a właściwie ścieki o znacznym udziale substancji chemicznych, zalewają grunty i łąki chłopów zamieszkałych przy ul. Chocianowickiej.

Siedemdziesiąt hektarów jest już całkowicie zdegradowanych, przy czym degradacja nasila się z tygodnia na tydzień. Tereny rolne stały się

nieużytkami, gdyż skażenie środowiska jest tak duże, że trawy na niektórych zalewanych permanentnie enklawach nie nadają się do skarmiania. Mimo to grunty te figurują w ewidencji jako łąki, co łączy się z obowiązkami i licznymi świadczeniami, w żadnym stopniu nie rekompensowanymi przez ubezpieczenia, które w formie składek obciążają rolników, chociaż za szkody odpowiedzialne jest miasto, którego ścieki są bezpośrednimi czynnikami sprawczymi.

Z obserwacji i przykrych doświadczeń chłopów wynika, że źle uregulowane koryto Neru nie może przyjąć tak dużych ilości ścieków-wód, jakie zbierają się w warunkach ekstremalnych, i jeśli nie nastąpi radykalna zmiana jego pa-

rametrów, sytuacja ulegnie pogorszeniu. W związku z tym rolnicy wnoszą alternatywnie: albo o niezwłoczne podjęcie prac zmierzających do unieruchomienia wylewów na łąki i ich rekultywację, albo o przejęcie gruntów faktycznie służących miastu, a nie chłopom, i wypłacenie im z tego tytułu stosownego odszkodowania.

Pismo podpisał członek zarządu Kółka Rolniczego z Chocianowic na czele z prezesem, inż. Bogdanem Łukasiewiczem. Skierowane do władz pismo sformułowane w języku typowo urzędowym, przez co brzmi ono nieco enigmatycznie. A że sprawa nie dotyczy tylko Neru i nie tylko rolników indywidualnych, jej dokładne naświetlenie wymaga wizji lokalnej, na którą

nie wybierze się prezydent Łodzi, bo nie jest rolnikiem, i ma na głowie setki innych problemów ciężkiego kalibru. Wobec tego na wizję lokalną rusza dziennikarz i pisarz, w myśl znanego od lat hasła: „Literaci do pióra!”.

Jeszcze za Rzgowem Ner jest na tyle czysty, że w Gospodarzu można hodować karpie,

a w Gadce złowić okonia lub szczupaka. Dalej Ner tworzy zalew, zwany Stawami Stefaniskiego, który spełnia rolę zbiornika retencyjnego. Jest plaża, można się kąpać. No, chyba że prześledzić coś gęstsze- go z Widzewa Zdą-
rów...

5

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowsky.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożyński,

Andrzej Gębarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Marian Zdrojewski.

Grafiki: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Gałęski.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,

Marek Brzeziński (Londyn),

Bohdan Gadomski,

Grzegorz Gazda, Andrzej

Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasyl

Kocznów (Iwanowo),

Marek Koprowski,

Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy

Panasewicz, Karol J.

Strykowski, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
-Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa - Książka
- Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rekwizytów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie od-
powiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla

instytucji i zakładów pracy -

złokalkulowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa - Książka - Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa - Książka - Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów - osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa - Książka - Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 3. Prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa - Książka - Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28. 00-955 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045 139-11. Prenumerata za zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumerat na kraj i za granicę - do dnia 10 listopada na I kwartał i półroczno roku następnego oraz cały rok następnego - do dnia 10 października - poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 1142. S-10.

Przegląd prasy

Wydarzeń lat 1967-68 nie można sprowadzać do hecy antysemitki. Trzeba je widzieć w kontekście ówczesnej sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej. Z taką tezą oraz w obronie Władysława Gomułki wystąpił na łamach „ŻYCIA LITERACKIEGO” (nr 14) Stanisław Kociółek.

„Kiedy wspomina się wydarzenia 1967 roku nie należy zapominać, że w wyniku wojny bliskowschodniej i izraelskiej agresji doszło do aneksji terytoriów państwa arabskich. Powtarzam - do aneksji. Zna- leżli się obywatele polscy, w różnych środowiskach i na róż- nych stanowiskach, w tym po- chodzenia żydowskiego, którzy wyrazili wówczas sympatię i poparcie dla zwycięstwa Izra- ela w wojnie, dla aneksji. By- ły to demonstracje niemożliwe do pogodzenia z trwałymi pryncypiami polskiej polityki zagranicznej, odrzuceniem jak- iekolwiek agresji, jakiejkol- wiek aneksji, wierności soju- zom gwarantującym krajowi bezpieczeństwo, pokój i suwe- renność. Związek tych pryncy- pów z historycznymi doświadcze- niami Polaków był całkowicie jasny. Nie wiadomo, dlaczego za- pomina się, że istniał również oczywisty związek kwestii sto- sunku do jaskółek i aneksji, w danym przypadku izra- eelskiej, za sprawą polskiej gra- nicy zachodniej, wówczas da- leka od prawno-traktatowego uregulowania. Stąd m.in. - jak uważam - płynęła uzasa- dnona i ostra polityczna re- akcja Gomułki na fakty po- parcia aneksyjnej polityki Izra- ela przez niektórych obywa- teli polskich, wyrażona w je- go przemówieniu na VI Kon- gresie związków zawodowych w czerwcu 1967, oraz decyzja dotycząca zerwania stosunków dyplomatycznych z agresorem. Rok wcześniej również ostra reagoval Gomułka na odrębie biskupów polskich. Nie mie- rzył niczego w obu przypad- kach według wyznaczeniów czy pochodzeniowych kryte- rium. Mierzył swo reakcje we- dług pryncypialnych kryte- rium politycznych, dotyczących polskich interesów narodowych, państwowych polskich intere- sów sojuszników. Domagał się respektowania tych intere- sów przez wszystkich obywa- teli, bez względu na pochodze- nie czy wyznanie”.

Zdaniem Stanisława Kociół- ka, wydarzenia lat 1967-68 tkwią korzeniami w latach 1948-56. Warto przypomnieć tamte czasy. Zbliża się zresztą 40 rocznica sfabrykowania sprawy odchylenia prawicowo- nacjonalistycznego i usunięcia Władysława Gomułki z funkcji sekretarza generalnego PPR. Nie można przedstawiać bo- haterów książki T. Toruńskiej „Oni” jako soli partii i ziemi polskiej. Ludzie ci po 1956 roku byli przeciwnikami Gomuł- ki tak samo jak wcześniej.

OCENA LAT
SZEŚCZDZIESIATYCH

Władysław Gomułka był przywódcą wielkiego formatu. Pozostawił kraj bez długów, z pewnymi rezerwami dewizo- wymi. W latach sześćdziesią- tych dokonał wielkiego sukcesu postępu. Przygotowano do re- formowania gospodarki. Nie można więc pisać - jak to u- czynili w „Polityce” Z. Ry- kowski i W. Władysław - że zarządził przy pomocy „kocio- lego olówka”. Był antyinteli- gentem i antyreformatorem, doprowadził kraj do zaostoi i ograniczonych perspektyw

„W latach 1956-70 dochód narodowy, płace realne i spo- życie rosły systematycznie i wypacza prawdę twierdzenie, że były to lata stagnacji i bez- perspektyw. Inflacja była mi- nimalna, złotówka nie depre- cjonowała się z dnia na dzień, zapewniona była równowaga budżetowa państwa, istniały rzeczowe i ustawowe podsta- wy autentycznej samorządno- ści terenowej. To wtedy budo- wano wielką chemię dla rolnic- twa (Pulawo, Gdańsk, nocza- tek Włocławka i Polie). Prze- myśl maszyn rolniczych (np. Plock). Energetykę oparta na węglu brunatnym (Turoszów, Konin). Rybnictwo (zalebie- wegi koksowniczy, plocka na- trochemie. To wtedy warszaw- ska FSO podjęła produkcję du- żego Fiata (1967), a w kilku- czołowych zakładach organizo-

wano wielkoseryjną produkcję licencyjnych silników spalino- wych, umocniono prze- myśl elektroniczny i elektro- techniczny. Rozbudowano flo- tę handlową i rybolowczą. Mo- dernizowano porty i stocznie. To w połowie 1970 podjęto de- cyzję o budowie portu półno- cnego w Gdańsku. Modernizo- wano szybko sieć drogową i e- lektryfikowano koleje. Liczne inwestycje z lat sześćdziesią- tych - nie tylko surowcowe - to dziś dzień „trzymają” pol- ski eksport. (...) Jeśli lata sześćdziesiąte określa się mia- nem stagnacyjnych, to jaką miarką ocenić lata osiemdzie- siate? Ocenie je jako lata roz- woju, pomysłowości, nadziei, spełnienia aspiracji Polaków? Zwłaszcza młodych Polaków? Nie trzeba zjadliwych uprós- czeń. Nie było łatwo wówczas, a obecnie jest znacznie, o wie- le trudniej”.

POLSKA
EMIGRACJA

Ogromna część naszego na- rodu (13 mln osób) żyje poza granicami Polski w 32 różnych państwach. Z tego 2,5 mln urodziło się w Polsce, zaś 5 mln utrzymało się w kraju. Po emigra- cji chińskiej, niemieckiej i włoskiej Polonia zajmuje czwarte miejsce w świecie. Najwięcej rodaków (8,4 mln) mieszka w USA, a następnie w Związku Radzieckim - 1200 tys., Brazylii, Francji i RFN - po 800 tys., Kanadzie - 400 tys., Australii - 300 tys., Wiel-kiej Brytanii i Argentynie - po 120 tys., Czechosłowacji - 70 tys., Belgii - 60 tys., NRD - 40 tys., Północnej w tym w ty- godniku „ODRODZENIE” (nr 14) Barbara Seidler.

W latach 1980-87 wyjechało na stałe do krajów kapitalis- tycznych 265 tys. Polaków. Spo- śród osób, które czasowo wy- jechali, nie powróciło 370 ty- sięcy. Poza tym ponad 100 tys. przedłużyło sobie paszporty.

„Podsumowując: od 1980 ro- ku poza granicami Polski zna- lazło się 735 tys. obywateli. Jest to nowa fala naszej emi- gracji. Trzeba jeszcze dodać, że pod wyjazdowy ułamek się nie konczy - odwrótnie, przybiera na sile i dlatego przewiduje się, że do końca stulecia opuści jeszcze nasz kraj dalsze pół miliona osób. W okresie ostatnich pięciu lat o wyjazd na stałe ubiegało się rocznie ok. 60 tys. osób. 70 proc. spośród nich wyjechało na po- byt stały RFN lub Berlin Za- chodni. Jakże są główne kie- runki emigracji ostatnich lat? Otóż 150 tys. osób wyjechało do RFN, 15 tys. do Berlina Za- chodniego, 90 tys. pojechało do USA, 45 tys. do Szwecji, 30 tys. do Australii, około 40 tys. do Kanady i RPA (w tym o- statnim kraju jest już 8 tys. Polaków, głównie emigracja najnowszą). Mniejszej liczby- nie skupiska najnowszymi emigracji znajdują się w Wielkiej Bry- tanii, Belgii i Danii. We Fran- cji z tej fali przeżywa 75 tys. osób, a w Norwegii - 5 tys., 10-12 tys. Polaków żyje w o- bozach przejściowych we Wła- szach czekając na wizy do in- nych krajów. (...) Za granicą przebywa teraz 22 tys. inżynierów i techników, 3 tys. eko- nomistów, tyle samo lekarzy, 1,5 tys. naukowców i tyle sa- mo architektów. I kilka tysię- cy studentów. Jest to wszystko nowa emigracja, najmłodsza, 70 procent to ludzie młodzi - do lat 30. Wierzą w swoje siły, odporność, w to, że dadzą sobie radę na obcym gruncie, że wykopią z własnej gleby - przetrwają i potrafią za- korzenić się w nowym podłożu. Nad Wisłą nie widzą dla sie- bie perspektyw”.

Zdaniem Barbary Seidler zbyt nieśmiało jeszcze mowi- my o dużym skupisku Polonii w Związku Radzieckim: 400 tys. na Białorusi, 250 tys. na Litwie, 200 tys. na Ukrainie i w Mołdawii, dziesiątki tysie- cy w innych rejonach. W sum- mie żyje tam 1 mln 200 tys. Polaków.

„Żyją w kraju za naszą wschodnią granicą, nie mają kapitałów, na sprowadzeniu których państwu by załatwiło, nie stanowią żadnej grupy na- cisku na polityczne i finanso- we gremia. Ale tak samo, a może i więcej tęsknią do wie- rzb rosochatych, kaczek na łąkach i dobrze znajo- mych zaułków. I im się od- nas najwięcej należy. Od mo- dliwieńskich zaczynać, poprzez kaskadę polską i półkę, na wi- dokoskie kończyć”.

CZYM JEST
POLSKOŚĆ?

Temu zagadnieniu poświę- cony jest niemal cały esai-

tni numer miesięcznika „ZNAK” (nr 11-12). Wypowie- dają się między innymi: Bro- nisław Geremek, Konrad Gór- ski, Paweł Hertz, Jerzy Hol- zer, Jerzy Jedlicki, Stefan Kieniewicz, Andrzej Kuśnie- wicz, Tadeusz Lepkowski, Ed- mund J. Osmańczyk, Emanuel Rostworowski, Henryk Samo- nowicz, Julian Strzykowski, Zbigniew Wójcik. Pierwszy szkic prof. T. Lepkowskiego kończy się zamyśleniem dla ca- lego tomu:

„Podsumowania nie będzie. Nie śmiałbym podsumowy- wać rozważań nad historycz- nymi kryteriami polskości. To były naprawdę luźne uwagi. Zresztą im dłużej badam his- torię Polski, im dłużej żyję wśród nieobliczalnych Pola- ków, tym trudniej mi odpo- wiedzieć na zwykłe i proste pytanie: czym jest polskość?”

Dr hab. Tadeusz Chłznowski, historyk sztuki, eseista, poeta, docent Katolickiego Uni- wersytetu Lubelskiego i Uni- wersytetu Jagiellońskiego tak widzi podmiot rozważań - Polaka:

„Teraz polskość (w sensie czysto narodowo-społecznym) jest w wyraźnym regresie: tra- cimy często-gęsto to co było naszym piem lub nabytkiem (problem tzw. autochtonów, jeden z najwstydliwszych w historii najnowszej), a także to co wylicza nieustannie po- za granicę. W ciągu stuleci nabyliśmy się rozmaitości: Litwinów, Białorusinów, Ukra- ińców, Niemców i Żydów, Wło- chów i Francuzów, a także Ormian, Tatarów, Karaimów, Szkotów, Słowaków, Węgrów i kogo tam jeszcze, nikt nawet dokładnie nie wie. I to się tak pokoleniami kotłowało, przeta- niało, powstawały zwiniały, sto- py, amalgamaty najrozmaitsze”.

Znany historyk prof. Ste- fan Kieniewicz pisze, że w oce- nie przeciełności Polaka - obec i własnej - dominują cechy niezbyt godne polecenia. Przywołuje on niektóre pols- kie niedostatki.

„W przedrobiorowej Rzplitej: sobienpaństwo, anarchia, przy- wata, „zastaw się, i postaw się”. W czasach niewoli: „słomiany ogień”, karmienie się iluzjami, ofiarnictwo jednostek i oportu- nizm ogółu. W naszym stule- ciu „kundizm”, „chciejstwo”, sobkostwo, nieposzanowanie pracy, megalomania pleniąca się na kompleksach niższości... no i: polnische Wirtschaft. Wiem to, oczywiście, nie przez nas zwinione, bo skądże! Pan Andrzej Kmita, rozrachował w powieści, pisanej sto lat temu: „Dla Bogal Zali, prócz jazdy, nie masz u nas nic do- brego, żadnej cnoty, jeno zło samo”. Na dalszych stronach „Potopu” ukazał Sienkiewicz, że ocaliła wtedy Polskę Ja- sana Góra. Dzisiaj już nawet i jazdy nie mają Polacy; za to ku Jasnej Górze obracają wzrok powszechnie niż niższości. Tylko że: jak da- leć powszechny, aleboi, kon- sekwentny, rzetelny jest nasz stawiony polski katolicyzm?”

ISTOTA
JAPŃSKOŚCI

W światłocnym numerze „Ogłosów” pisałem o szcze- ściu osiągniętych przez wypeł- nianie obowiązków. Znakomi- tym przykładem może być Ja- pŃskŃ. Społeczna istota ja- pŃskŃ wyraża się w tzw. „dźir”. Sens tego pojęcia wyja- śnia w dodatku „POLITYKA - EKSPORT - IMPORT” (nr 7) Bogdan Góralczyk.

„Mieszkańcy Nipponu od ko- łyski do grobu powiązani są niewidzialną siecią zobowiązań i obowiązków. Jest to pełna emocjonalna siła, która okre- śla ich społeczne zachowanie. Te zobowiązania przez cały czas wymuszają tłumienie in- dywidualnych życzeń, a nawet uprzedzeń. Istnieje ścisła hier- archia obowiązków, takim podlega jednostka. Pochodzi ona z ustalonej przez konfu- cjanizm hierarchii społecznej. Jednostka jest zobowiązana wykazywać lojalność najpierw wobec cesarza (będącego uos- oieniem państwa i jego jedno- ści), a następnie całego spo- łeczeństwa, przelozonych, star- zych w rodzinie itp. Poza i bez giri nŃ można sobie wy- obrazić życia w Japonii. Jest w nim zawarty obowiązek, honor, szacunek, lojalność, sprawiedliwość, uprzejmość, humanitarność, umiejętność zachowania twarzy w stosunku do innych”.

Wymogi giri dotyczą absolu- nie wszystkich. Powodują one, że nie można naśladować Ja- pŃŃ poza tamtejszym kręgiem kulturowym, czyli poza Dale- kim Wschodem. Nie będziemy więc drucha Japonii...

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Aprobowana konieczność

Wcale nie przesadzam, że dość często zdarza mi się spotkać ludzi, którzy w toku tej samej rozmowy najpierw wyliczają postulat, które ich zdaniem należy spełnić, żeby w Polsce ży- ło się lepiej, a potem, kiedy im się powie, że są to właśnie po- stulat naszej reformy gospodarczej, albo są tym wyraźnie za- skoczeni, albo z politowaniem kiwają głową pytając: „I ty w to wierzysz, że władza naprawdę chce reformy?”

Najprościej byłoby - według dawniejszego politycznego oby- czaju - określić tych ludzi jako zatwardziałych opozycjonistów, którzy z politycznego zaślepienia lub ze złej woli nie są bez- stronni w ocenie naszej rzeczywistości. I przyznam się, że nie- raz jeszcze łapię się na odruchu dopatrywania się złych intencji w postawie dezaprobaty dla ogólnych decyzji.

Oczywiście nie zniknęli z naszego życia ci, którzy kierując się zawiedzionymi nadziejami lub ambicjami uważają, że im gorzej dzieje się w kraju, tym lepiej dla ich politycznych rachub, w czym podtrzymują ich, jak się można przekonać, polskojęzyczne zachod- nie audycje. Ogół obywateli myśli jednak głównie o poprawie warunków życia, nawet, jeśli nie ufa kompetencjom władz, to nie miałby nic przeciwko temu, żeby nasza gospodarka przelama- ła trudności.

A więc trzeba uznać, że jeśli ktoś twierdzi, iż nie widać kon- sekwenencji w realizacji postulatów reformy, nie musi to oznaczać ślepoty i złej woli, lecz, być może, trafną ocenę stanu faktycz- nego, a może też niedomagania rządowej propagandy, choć wia- domo, że nie jest tak skuteczną propagandą jak fakty, a fakty pomyślnych z pewnością nie mamy w nadmiarze.

I teraz, gdy już uznałem zasadność daleko posuniętego kryty- cyzmu obywateli wobec posunięć rządu, muszę z kolei i dla od- mian odrzucić pewną, dość rozpowszechnioną opinię, komentu- jącą zapowiedź Wojciecha Jaruzelskiego uruchomienia nadzw-yczajnych posunięć administracyjnych dla wyegzekwowania rea- lizacji drugiego etapu reformy tam, gdzie ona szwankuje. A ten negatywny komentarz brzmi: „Skoro nie potraficie nakręcać me- chanizmów reformy na drodze, właściwych dla niej, działań czysto ekonomicznych, to jakże może się wam to udać na drodze, sprzecznych z naturą reformy, sankcji administracyjnych?”

Otóż sędzę, że w tak wyrażanych wątpliwościach (a nie w za- powiedziach decyzjach) ujawnia się „pomieszanie z popłatani- em” różnych sfer politycznej rzeczywistości. Po pierwsze bo- wiem ci, co nie dość udanie realizują reformę i ci, co chcą wymusić jej sprawne funkcjonowanie, to nie są wcale „ci sa- mi”, których nieraz określa się całkowicie bezmyślnie słówkiem „oni”. W jednym bowiem przypadku chodzi o rząd i adminis- trację gospodarczą, w drugim natomiast o partię. Tak właśnie!

Bo przecież I sekretarz partii zapowiedział (czy ostrzegł), że jeśli impas w reformowaniu gospodarki będzie się nadal utrzy- mywał i nie zostanie przełamany w normalnym trybie posunięć rządowych, wówczas Biuro Polityczne KC PZPR upoważni swój klub poselski w Sejmie, by wystąpił o uchwalenie specjalnych pełnomocnictw dla komisji, którą kierowałby wicepremier bez- pośrednio odpowiedzialny za reformę. Przejawia się w tym naj- wyraźniej nowy układ stosunków między partią, która „prze- wodzi” i „kieruje”. Sejmem, który stanowi prawa, i rządem, który wykonuje powierzone mu zadania, czyli „rządzi”. Po drugie zaś, owa komisja ograniczałaby się do podejmowania decyzji ka- drowych w trybie natym, polegających na zwalnianiu ze stano- wisk ludzi nie dość sprawnych w działaniu lub nie dość chętnych reformie.

Myślę, że partia, poczuwając się do moralno-politycznej odpo- wiedzialności za kierunki rozwoju kraju zgodnie z długofalowy- mi interesami ludzi pracy, angażuje swój autorytet, swoje wpły- wy oraz sojusznicze układy z innymi stronnictwami reprezen- towanymi w Sejmie, wychodząc naprzeciw oczekiwaniom i znie- cierpliweniu społeczeństwa wobec reformy gospodarczej.

Nie sędzę, żeby ogół polskich pracowników mógł odnieść się do tych specjalnych działań niechętnie i nielojalnie, zdrowy rozum przemawia bowiem za udzieleniem poparcia tej wielkiej akcji. Ludzie przecież nie tylko chcą żyć lepiej, co zresztą oczy- wie, ale też coraz lepiej będą dostrzegać, w swoim własnym interesie, drogi i środki do tego zmierzające...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— W chwili rejestracji było ich dziesięciu. Obecnie jest 21 członków założycieli. Ludzie różnych zawodów, o podobnym statusie majątkowym, utworzyli Spółdzielczy Zakład Ubezpie- czeń „Węsta”. Na patronkę wybrali rzymską boginię. Czego się mają bać? W wielu krajach doskonale prosperują setki firm ubezpieczeniowych — reportaż ANDRZEJA GĘBAROWSKIEGO.

— W okresie rządów Salomona państwo Hebrajczyków osią- gnęło największy stopień integracji i rozwoju. A potem cały na- ród zjeżdżał po równi pochyłej losu. Z dzisiejszej perspektywy historia Palestyny i Żydów jest największą tragedią w dzie-jach ludzkich. Naród wybrany przez Jahwe zapłacił straszliwą cenę za zdobycie ziemi obiecanej — artykuł STANISŁAWA KAWCZYŃSKIEGO pt. „Ziemia święta czy przeklęta?”.

— Przed tysiącem lat chrześcijaństwo stało się religią pań- stwową i zjednoczyło Rus, a później Rosję, Białoruś i Ukrainę. Była w tym zarówno siła, jak i słabość Kościoła prawosławne- go, który z powodu podporządkowania państwu utracił swo- bodę ducha i wolność sumienia — mówi DMITRIJ LICHA- CZOW.

— Wolał napiwali nowi uciekinierzy żydowskie. Bożnice były przepelnione. Latem, około lipca 1940 roku zlechało do Białego- stoku moc wojska i oddziały NKWD. Mieli spis uciekinierów, zamieszkałych w mieście. W nocy zaczęli chodzić po domach i wyprowadzać ludzi. Zebrał ich na stacji kolejowej. Nie mie- liśmy pojęcia, dokąd ich wywożą i dlaczego. Nas nie złapali. Schowali się w bratem na strychu — wspomina HALINA BIRENBAUM.

1. Pięćdziesiąt cztery lata temu

Florian Znaniecki — wybitny socjolog, twórca szkoły socjologicznej i pedagogicznej, profesor Uniwersytetu w Poznaniu i University of Illinois — napisał i opublikował takie oto myśli:

„Żyjemy w okresie dziejowym o tak wielkich możliwościach na przyszłość, jakich nigdy jeszcze ludzkość nie miała przed sobą. Możliwa jest nowa cywilizacja, różniąca się od wszelkich, jakie były i są, nie tylko niebywałym dotąd bogactwem, ale najgłębszą swą istotą. Dokonują się w naszym świecie kulturalny procesy, które mogą doprowadzić do całkowitego przewartościowania dziedziny kultury i ich budowie i funkcji życiowej.”

Przez te 54 lata, które minęły od opublikowania tej myśli, nie straciła ona nic ze swojej aktualności. Przeciwnie. Czas jakby potwierdził przewidywania Floriana Znanieckiego. Nastąpił

ślonowe pieniądze. Przyjdą wakacje, trzeba będzie dzieci wyprowadzić do szkoły, przygotować się do zimy. Sytuacja będzie wyglądała inaczej. Dlatego powiedziałem, że będzie trudniej. Trzeba nauczyć się żyć w nowych, trudniejszych warunkach. To wszystko.

— Czy to się może zmienić?

— Owszem! I to tylko od nas zależy.

— Nie wierzę. Nam już żadne reformy nie pomogą!

Aleksander Bocheński w bardzo ciekawej książce „Rozmyślenia o polityce polskiej” uważa, że u nas nastąpiła zmiana hierarchii wartości. Na najwyższym szczeblu ludzie postawili interes własny. Dają więc od tego, aby przetrwać wszystkim im dobrze było. Niżej lokują interes zakładu pracy. A najniżej — interes kraju. Jeśli więc chcemy wyjść z kryzysu, to musimy zmienić tę hierarchię wartości, odwrócić ją, a przede

wszystkim. Czy to jest możliwe? „Posiadając taki potencjał gospodarczy, powinniśmy być w stanie to osiągnąć” — powiedział tenże Zygmunt Królik, który jest doradcą rządu.

Zadanie trudne, ale możliwe do osiągnięcia. Wprawdzie poziom eksportu jest obecnie niski: trzy razy niższy niż na Węgrzech, cztery razy niższy niż w CSRS i pięć razy niższy niż w Bułgarii i NRD, jednak posiadany potencjał produkcyjny stwarza możliwość dla jego niezbędnego zwiększenia. Dlaczego więc tego nie czynimy?

Powodów bez wątpienia jest bardzo dużo. Ale zajmijmy się jednym. Hamowaniem przedsięwzięcia.

5. Dziś wszyscy gonią za dolarami.

Prasę, radio i chyba telewizję obiegła taka oto wiadomość: Fabryka autobusów chciała kupić dla zakłogi ręczniki. Fabryka ręczników zażądała oprócz zapłaty w złotych jeszcze

od siebie jakiegokolwiek odpowiadającego, przewlekane wszelkich decyzji — to zjawiska, które hamują rozwój naszej gospodarki. Ten strach powoduje nadmierną wiarę w przepisy, które mają rzekomo wszystko dokładnie regulować, a w istocie chronią leniwość urzędników. Nawarstwia się gorset przepisów, który kępuje jakąkolwiek inicjatywę. Mnożą się kontrole, które są tylko inną formą tego samego, negatywnego w swej istocie zjawiska.

Od 1 stycznia 1988 roku weszła w życie uchwała nr 181 Rady Ministrów, która zezwala na przekazywanie agentom wszelkich placówek handlowych, gastronomicznych, usługowych i produkcyjnych, jeśli ich zatrudnienie nie przekracza 50 osób. A przecież z dotychczasowych doświadczeń wiadomo, że agencje, które miały zbawiać handel, ponosiły raczej fiasko. Znamy też tego przykład. Wyliczył go niedawno Andrzej Mozolowski w „Polityce”. Po pierwsze — trzeba ułagodzić samowolę urzędników skar-

Nie ma życia bez ekonomii.

Ile planu, ile rynku

Do żelaznego repertuaru dyskusji na temat docelowego modelu funkcjonowania gospodarki polskiej należy problem relacji planu centralnego i rynku. Rodowód tego problemu sięga lat dwudziestych naszego stulecia, kiedy w Związku Radzieckim toczyła się ciekawa dyskusja teoretyczna poświęcona charakterowi planowania w gospodarce socjalistycznej. Stronami w tej dyskusji byli znakomici ekonomiści radzieccy — E. Priobrazhenski, ordonownik centralnego planowania eliminującego funkcjonowanie rynku, i N. Bucharin, zwolennik wykorzystania rynku jako mechanizmu dostarczającego planistę właściwych parametrów wyboru, w tym przede wszystkim cen.

Kolejne fale dyskusji o planie i rynku pojawiły się w okresie odwilży październikowej w 1956 r. i w 1968 r. W tym ostatnim okresie zrodziła się koncepcja socjalizmu rynkowego, która została potępiona przez ówczesne kierownictwo polityczne, a koronnym zarzutem był rewizjonizm. Nie dostrzegano wówczas racjonalnych, pragmatycznych elementów tkwiących w tej koncepcji. Na początku lat osiemdziesiątych powrócono do postulatów urynkowania gospodarki socjalistycznej, na szczycie bez akompaniamentu głosów wołających — to rewizjonizm!

Znamienne jest, że mimo znacznego dorobku dyskusji poświęconych modelowi funkcjonowania gospodarki socjalistycznej nadal w niektórych poglądach problem stosunku planu i rynku formułowany jest w postaci alternatywy: plan centralny albo mechanizm rynkowy. Zwolennicy ortodoksyjnego marksizmu twierdzą, że głównym mechanizmem gospodarczym wprowadzającym w ruch gospodarkę socjalistyczną jest planowanie centralne, natomiast rynek traktują jako mechanizm działający jedynie na peryferiach gospodarki (np. przemysł drobny, niektóre usługi itp.). Z kolei ekonomiści — liberałowie, wyznający poglądy o zbawienym wpływie wolnej konkurencji na gospodarkę i wierzący, że taki rodzaj konkurencji istnieje we współczesnej gospodarce, zdecydowanie opowiadają się za oparciem koncepcji reformy na zasadach czysto rynkowej gospodarki. W ich poglądach planowanie występuje co najwyżej jako „listek figurowy” skrywający zasadniczą koncepcję.

Doświadczenie praktyczne i rozwój nauk ekonomicznych wskazują, że postępowanie się alternatywą: „planowanie centralne albo rynek” oznacza postawienie problemu w sposób fałszywy. Planowanie centralne i rynek traktowane we współczesnej gospodarce jako wyłączone czy krańcowe mechanizmy regulacyjne nie są same w sobie ani pozytywne, ani negatywne. Każdy z tych mechanizmów oddzielnie rozpatrywany ujawnia swoje wady i zalety, każdy z nich jest regulatorem działającym w sposób nie w pełni kompletny. W przekonaniu słynnego ekonomisty węgierskiego J. Kornai’a planowanie centralne i rynek są dwoma uzupełniającymi się mechanizmami skomplikowanego i złożonego systemu gospodarczego. A więc koegzystencja a nie konkurencja cechować powinna stosunki między planem i rynkiem.

Planowanie centralne nie powinno dążyć do zastępowania rynku w dziedzinach, w których rachunek rynkowy stanowi wystarczającą podstawę rozdyktowania zasobów w gospodarce, natomiast mechanizm rynkowy nie może w sposób skutecznie regulować procesów długofalowych i dlatego wymaga uzupełniania o korygujące działania planowania centralnego. Mechanizm rynkowy jest najsprawniejszą ze znanych form dostosowywania bieżącej struktury popytu do zmiennej struktury popytu. Mechanizm ten w warunkach istnienia rynku zrównoważonego tworzy przymus innowacyjny wpływający korzystnie na jakość procesów produkcyjnych i samych wyrobów. Kształtuje on równocześnie przesłanki wiarygodnych informacji, które decydują o jakości analizy ekonomicznej, o możliwości szerokiego stosowania różnych form rachunku ekonomicznego. Mechanizm rynkowy zwalnia planowanie centralne od funkcji zarządzania mikroekonomicznego i tym samym stwarza warunki dla pełnej reformy centralnych organów gospodarczych.

Praktyka dowiodła, że różnorodne próby zastępowania mechanizmu rynkowego szczegółowym administracyjnym planowaniem centralnym niweczyły główne walory planowania, gdyż sprzyjały przetargom, biurokracji, fałszowaniu informacji itp. Dokładne planowanie w jednym centrum całej produkcji wytwarzanej przez wszystkie jednostki gospodarcze jest pomysłem utopijnym w sensie technicznym.

Radziecki ekonomista prof. L. Łopatnikow na podstawie obliczeń przeprowadzonych w latach siedemdziesiątych w Centralnym Instytucie Matematyczno-Ekonomicznym AN ZSRR udowodnił, że jest to działanie nieradne. W gospodarce ZSRR funkcjonuje ponad 50 tys. średnich i wielkich przedsiębiorstw. Produkują one ok. 2 mln różnego rodzaju produktów i wykorzystują ok. 1 mln różnego rodzaju zasobów (surowców, materiałów). Aby rozwiązać model zawierający tyle zmiennych, należałoby wykonać w przybliżeniu 10¹⁸ operacji matematycznych. Liczba ta oznacza, że maszyna cyfrowa dokonująca miliona operacji w ciągu sekundy, stracił na rozwiązanie tego zadania ok. 30 tys. lat ciągłej pracy. Jak wykazały inne obliczenia, ani w najbliższej, ani w dalszej perspektywie sterowanie z jednego centrum całą produkcją w gospodarce narodowej nie będzie realne nawet przy dowolnej wielkości urządzeń obliczeniowych. A więc narzuca się wniosek, że najlepszą metodą rozwiązania gigantycznego układu równań określających warunki równowagi dla wszystkich produkowanych w gospodarce dóbr i wszystkich przedsiębiorstw jest odwołanie się do mechaniki sił rynkowych, które w sposób automatyczny harmonizują wzajemne relacje między ceną, popytem i podażą.

Mechanizm rynkowy, oprócz niewątpliwych zalet, ma także kilka słabych stron. Mechanizm ten nie realizuje ważnych w socjalizmie preferencji ogólnospołecznych (dotyczących zatrudnienia, sprawiedliwości społecznej itp.), a także wykazuje niedostateczną skuteczność w rozwiązywaniu problemów długofalowych związanych z inwestycjami infrastrukturalnymi, postępowaniem naukowo-technicznym, ochroną środowiska itp. Z tych względów konieczne jest stosowanie metod długookresowego planowania centralnego, które wytycza strategię rozwojową, kształtuje główne kierunki rozwoju społeczno-gospodarczego oraz koryguje wady mechanizmu rynkowego.

Głównym zadaniem planowania jest przygotowanie przesłanek do kształtowania przyszłych procesów, będących przedmiotem polityki społeczno-gospodarczej, oraz opracowanie instrumentów oddziaływania na przebieg tych procesów. Przykładowo do zadań centralnego planisty należą następujące kwestie: kształtowanie podstawowych strumieni finansowych za pomocą polityki fiskalnej i emisji; wyznaczanie kierunków inwestowania za pomocą rozwoju infrastruktury technicznej, zasad polityki kredytowej, zasilań budżetowego, systemu ulg podatkowych; prowadzenie polityki antymonopolowej i wspieranie układów konkurencyjnych w gospodarce.

Ważnym problemem polskiej reformy jest znalezienie „złotej” proporcji udziału planu i rynku w regulowaniu poszczególnych sfer gospodarki narodowej. Trudno jest w sposób jednoznaczny określić ów proporcję: w jej osiągnięciu należy kierować się wytyczną — „planowania centralnego tyle, ile konieczne, rynku tyle, ile możliwe”. Oznacza to potrzebę wykorzystania planowania centralnego w tych dziedzinach, gdzie regulacja rynkowa jest niemożliwa bądź niedostateczna i uruchomienia mechanizmu rynkowego tam, gdzie koordynacja rynkowa sprzyja elastyczności i efektywności działania. Można wyrazić przekonanie, że w miarę postępu reformy zwiększać się będzie zakres działania sił rynkowych w gospodarce przy jednoczesnym zachowaniu strategicznej roli planu centralnego.

WITOLD KASPERKIEWICZ

Jak przezwyciężyć strach przed ryzykiem i odpowiedzialnością?

Czy uda się odwrócić skalę wartości?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

rozwoju elektroniki. Mamy już komputery kolejnych generacji. W fabrykach roboty zastępują ludzi w pracy. Rozwija się genetyka. Poszukujemy nowych źródeł energii. Coraz śmielej badamy kosmos. Nad planetą krąży dziesiątki sztucznych satelitów spełniając przeróżne funkcje. Pojawiła się telewizja. Zaczęliśmy powoli realizować śmiałą ideę rozbrojenia. Dokonuje się rewolucja naukowo-techniczna.

Ale jednocześnie istnieją różne zagrożenia, które postęp ten mogą zatrzymać, zahamować. Te zagrożenia, widział 54 lata temu Florian Znaniecki. Pisał wówczas:

„Lecz ta wielka przyszłość jest niepełna. Jako druga możliwość zaś stała przed nami nie dalsza stopniowa ewolucja obecnego świata, choćby z wahaniem i zbroceniami, ale rozkład lub unicestwienie znaczącej części dorobku kulturalnego ostatecznych paru tysięcy, zubożenie jakościowe i ilościowe wszelkiej cywilizacji na długie wieki.”

Słowa te Florian Znaniecki napisał przed wybuchem drugiej wojny światowej. Dziś zagrożenie jest znacznie większe. Grozi nam nie „zubożenie jakościowe i ilościowe wszelkiej cywilizacji na długie wieki”, ale całkowita zagłada planety zwanej Ziemią. Wystarczy drobna pomyłka człowieka ekspedycjącego w przestrzeń nuklearne rakiet. Coraz więcej jest jednak nadziei, że ewolucja rozbrojenia będzie postępowała w pożądanym dla ludzkości kierunku, czyli w kierunku pokoju. Jest więc nadzieja i jest szansa, że „nowa cywilizacja”, różniąca się od wszystkich, ogólnoludzka, stanie się faktem, choć stanie się to w dość odległej przyszłości i nie bez trudów, „wahania i zbroceń”.

Podobno nie ma trudnych pytań, są tylko trudne odpowiedzi. To właśnie było pytanie, na które przychodził dać trudną odpowiedź. Spróbowałem wykpić się ogólnikami.

— Jest trudno, ale będzie jeszcze trudniej — powiedziałem.

— Co przez to rozumiesz? — nie ustępowałam.

— Po prostu, koszty utrzymania rosną szybciej niż zarobki. Dziś trzeba więcej wydać pieniędzy, aby kupić tyle samo, co nie tak dawno. A ceny przecież nie stoją w miejscu. Przeciwnie niż płace.

— Ale na świecie u ludzi wciąż nie było tak skromnie. Kryzysu raczej nie widać.

— To są pierwsze miesiące, kiedy jeszcze działają różne o-

3. Z Deklaracji wyborczej PRON.

„Kryzys gospodarczy musi być przezwyciężony.

Oczekujemy, że rozpoczęcie w latach osiemdziesiątych reformy przyniesie pozytywne efekty, przyspieszą proces poprawy.

To zależy od nas wszystkich, bez względu na dzielące nas różnice. I nikt nas w tym nie wywrze.

Polscy i Polakom potrzebna jest koalicja ludzi dobrej woli i rzetelnej pracy, niezależnie od wyznawanego światopoglądu, koalicja światłych obywateli — zwolenników reform i ładu społecznego.”

Nie mam ani cienia wątpliwości, że tak jest. Ale nie wierzę w skuteczność apeli. Ilekć już było. Jeśli apele mają być skuteczne, to rzeczywistość nie może odchodzić się od deklaracji. A niestety tak jest w codziennej praktyce. I to właśnie czyni najwięcej szkody.

4. Czy może być inaczej?

Aleksander Bocheński we wspomnianej książce tak pisze:

„Tym, którzy sądzą, że postęp i wyjście z zafasowania nie jest możliwe, i przyjmują model życia zdeintegrowanego, tj. postawę: albo bierna, obojętna i wyżywanie innych skłonności; albo kult bezpłodnego męczeństwa; albo sądzą, że stała się nieważna do własnych rządów jest tak szeroko i mocno zakorzeniona, że nie uda się narzucić całemu społeczeństwu nowego pozytywnego i myślnego wzorca — trzeba odpowiedzieć, że historia ostatnich 200 lat ukazuje nam zarówno w Polsce, jak i gdzie indziej liczne wypadki rozważania znacznie silniej ugruntowanych, zabetonowanych w świadomości i uznanych powszechnie tabu, tj. sposobów wartościowania i postępowania. I przyjęcia nowych.”

A zatem może być inaczej.

Wiemy na przykład, że posiadamy dług. Każdy z nas ma coś ponad tysiąc dolarów długu i jeszcze paręset rubli. Statystycznie, oczywiście. Ale mamy. Otóż aby „osiągnąć cechy normalności w obsłudze zadłużenia” — jak to ładnie określił na łamach „Rzeczypospolitej” Zygmunt Królik — powinniśmy podnieść wartość eksportu o...

po 50 centów USA od każdego ręcznika. Na pokrycie wsadu dewizowego.

Nie jest to zresztą jedyny przykład. W końcu ministrowie finansów i współpracy gospodarczej z zagranicą musieli opublikować „Nowe zasady obrotu dewizowego”, gdzie znalazły się takie pojęcia jak: „odstępowanie środków dewizowych”, „przekazywanie środków dewizowych”, „przejęcie środków dewizowych”. Język tworzony przez urzędników jest coraz bogatszy, ale ludzie lubią nazywać rzeczy po imieniu. Dla nikogo przecież nie jest tajemnicą, że w Polsce wszystko można kupić za dolary, marki, funty szterlingi i inne waluty wymienialne. Świadomość tego stanu rzeczy nie budzi dobrego, społecznego samopoczucia.

Według „Nowych zasad obrotu dewizowego” przedsiębiorstwa „mogą zawierać konkretne porozumienia o wzajemnych zobowiązaniach, które służą lepszymu wykorzystaniu zdolności wytwórczych” i w takich przypadkach może następować „przejęcie środków dewizowych”. Z tego przepływu wyłączone są: służba zdrowia, oświata, handel wewnętrzny, gospodarka komunalna, budownictwo mieszkaniowe. Nie mają też „podstaw prawnych żądania zwrotu wsadu dewizowego”. Zatem fabryka ręczników nie może żądać od fabryki autobusów dopłaty do każdego ręcznika w wysokości 50 centów USA.

Ale przecież najpożyteźniejszą i najsukcesowniej byłoby zdobywać dewizy poza granicami PRL, zwiększając przy tym eksport o owe niezbędne 20 procent.

6. Ludzie mają pomysły.

Ludzie twierdzą, że pieniądze leżą na ulicy. Natomiast Albin Byra w wypowiedzi dla „Polityki” utrzymuje, że waluty leżą na złomowiskach. Według jego szacunku rocznie można odzyskać do 60 tysięcy ton stali stopowej. Jedna tona kosztuje 1000 marek zachodnio-niemieckich. Proszę policzyć, ile marek tracimy rocznie, bo u nas tego rodzaju złomu nie odzyskuje się. Nauczono się już to robić w CSRS i w Bułgarii. U nas nie, bo u nas nawet minister od gospodarki materiałowej twierdzi, że nie używa się stali chromoniklowej i innych gatunków stali stopowych. Oczywiście jest to nieprawda, co można stwierdzić na wyspiarskich złomach w polskich hutach. Przy okazji warto wiedzieć, że stal stopowa topi się w temperaturze od 1600 do 2500 stopni, a żelazo w temperaturze 1248 stopni. Jeśli więc wśród złomu trafi się stal stopowa, to wytop okazuje się niebratnią. Nie uzyskuje się więc walców z złomu, nie otrzymuje się właściwego wytopu, niszczy się piece hutnicze.

I znalazł się człowiek, który chciał odzyskiwać ten cenny złom, sprzedawać go, zarabiał na tym i dostarczał państwu tak poszukiwanych dewiz. Ale nie z tego nie wyszło. Lepiej nie robić, niż narazić się na ryzyko i mieć... przykrości. Paniczny strach przed jakimkolwiek ryzykiem, odsuwanie

Ras-el-Medawar — wzgórze górujące nad Tobrukiem było miejscem najbardziej zwyciężczych walk. Wzniesienie ma 209 m n.p.m. i sprawia wrażenie niewielkiej wyniosłości terenu. Jednak pierwsze spojrzenie ze szczytu uzmysławia jego strategiczne cechy. Łagodnie opadający stok w kierunku miasta pozwala na doskonałą obserwację przestrzeni aż po horyzont. W oddali wyraźnie rysują się kontury białych budynków cementowni tobruckiej.

Na wzgórzu znajdowały się kamienne umocnienia zbudowane w kształcie prostokąta okalającego szczyt. Wewnątrz umocnień rozlokowane były działa i gniazda karabinów maszynowych. Wierzchołek wzgórza stanowił duży kamienny kopiec, na którym usytuowany był punkt obserwacyjny. Prostokąt murów obronnych

w Tobruku był największym portem na północnym wybrzeżu Afryki, pomiędzy Trypolisem a Aleksandrią. Sukcesy militarne w północnej Afryce uzależnione były w dużym stopniu od sprawnego zaopatrzenia walczących w amunicję, uzbrojenie, sprzęt, paliwo, żywność itp. Skale potrzeb niech zilustruje fakt, iż dla trzydziestotysięcznego garnizonu tobruckiego w czasie prowadzenia walk niezbędne było dostarczanie średnio kilkudziesięciu ton materiałów zaopatrzeniowych na dobę.

Około 300-tysięczna armia włoska dowodzona przez marszałka Rudolfa Grazianiego opanowała Cyrenęję wraz z Tobrukiem w październiku 1940 r. Włosko-niemieckie plany zakładały w dalszym rozwoju działań zajęcie Egiptu i kanału Sueskiego. Brytyjski dowódca na środkowy wschód gen. Archibald P. Wavell rozwinął

wielokrotnie bombardowane, a wody przybrzeżne minowane. Usiłowania przejęcia Tobruku wstrzymano na krótko, aby dokonać niezbędnych uzupełnień. Z Niemiec przybył wysłannik Sztabu Generalnego generała Friedricha von Paulusa, aby brać bezpośredni udział w kolejnej próbie zdobycia twierdzy. Natarcie sił niemieckich skierowano na wzgórze Medawar. Bitwa trwała do rannych godzin 4 maja. Oddziały niemieckie uzyskały przewagę i wdarły się w linię obrony na długości 5,5 km i głębokości 2,5 km zajmując wzgórze. Medawar stanowił wylot w pasie umocnień a jednocześnie doskonały punkt obserwacyjny i dobra pozycja wyjściowa do przełamania obrony. Sztab niemiecki planował ponowne ataków po dokonaniu uzupełnień i uporządkowaniu sytuacji na terenie Cyrenęjki. Opinia fùhrera była jednoznaczna —

toryzowanej z 15 dywizji piechoty gen. Erwina Rommla. Niemcy dysponowali 16 betonowymi gniazdami oporu oraz następującą siłą ognia: — lekkie i ciężkie karabiny maszynowe — 386 sztuk, — ciężkie karabiny maszynowe p.panc. i p.lotn. — 26 sztuk, — działa przeciwpancerne i przeciwlotnicze — 67 sztuk, — armaty i haubice — 78 sztuk. Pozycje polskie znajdowały się w odległości od kilkudziesięciu do kilkuset metrów, płytkie, doskonale widoczne, łatwe do kontrolowania ogniem. Prowadzenie obrony było niezwykle uciążliwe. Jedynie noc pozwalała na nieco więcej swobody. Obroncy twierdzy, a w szczególności Polacy, stosowali obronę zaczepną, polegającą na nekaniu nieprzyjaciela celnymi wycieczkami, których celem było niszczenie punktów obserwacyjnych, łączności, pochwyceniu „języka” itp. Nocne



Pogrzeb żołnierza polskiego w Libii pod Tobrukiem.

jeńców. Niestety, wszystkie te działania nie doprowadziły do odblokowania twierdzy.

W Cyrenęję rozwinęła się, ze zmiennymi losami, operacja „Krzyżowiec”. Siły niemiecko-włoskie były powoli wypierane w kierunku Trypolitanii. W pierwszych dniach grudnia 1941 roku wokół twierdzy prowadzona była ożywiona walka patroli. 9 grudnia — 2 i 3 batalion otrzymał rozkaz zdobycia wzgórza Medawar. Natarcie przeprowadzono wieczorem i nocą. O godz. 5.30 — 10 grudnia 1941 roku na szczycie wzgórza załapała biało-czerwona flaga symbolizująca koniec oblężenia.

Dla polskich żołnierzy nie był to koniec zmagania z przeciwnikiem. Niemal natychmiast oddziały polskie wzięły udział w pościgu za wycofującym się nieprzyjacielem. Przez kilka najbliższych tygodni Brygada prowadziła walki w rejonie Al-Ghazala.

Tobruk ponownie zostaje obleżony 18 marca 1942 roku a po trzech dniach gen. Erwin Rommel wkroczył do zdobytej twierdzy — i wziął do niewoli 32-tysięczny garnizon. Alianci odzyskali twierdzę 13 listopada 1942 roku po kilkudniowych zmaganiach i do końca wojny pozostała już w ich rękach.

Tobruka twierdza oblegana była czterokrotnie — trzykrotnie zdobyta, każdorazowo w ciągu kilku dni. Obrona twierdzy z udziałem żołnierzy australijskich a potem Polaków — trwała łącznie 8 miesięcy i została uwieczniona sukcesem. Część zwycięskich obrońców opuściła miasto, lecz wielu z nich pozostało tu na zawsze.

Aliancki Cmentarz Wojenny w Tobruku zamyka w swych murach 2700 mogił.

Kilka rosnących przy wejściu palm nie daje cienia w skwarne popołudnie. Na końcu cmentarnej alei, na małym wznieśnięciu stoi prosty, smukły krzyż. Polskie groby o odmiennym nieco kształcie tablic nie trudno jest rozpoznać. Są rozproszone w wielu częściach cmentarza. Kwatery Polska w zakolu cmentarnego muru posiada kilka wmurowanych tablic, które kolejno według wojennych stopni, w niemym apelu poległych, wymieniają żołnierskie nazwiska. Jest ich 132. W czasie walk w Libii zginęło 156 żołnierzy i oficerów. Ciała pozostałych spoczywają na innych cmentarzach — w Acromie, Darnie czy Benghazi.

Polskie groby można rozpoznać z daleka także po wizerunku orła. Imię, nazwisko, stopień i wiek. Byli to bardzo młodzi ludzie, którzy dopiero wchodził w dorosłe życie. Średnia wieku w całej Samodzielną Brygadzie Strzelców Karpackich nie sięgała 30 lat. Ich towarzysze broni innych narodowości są w większości ich rówieśnikami.

Równe rzędy mogił są symbolem przymierza narodów przeciw faszyzmowi, przeciw wojnie. Obok Polaków spoczywają Australijczycy, Hindusi, Nowozelandczycy, Anglicy, Czesi, Grecy, Arabowie czy Żydzi. Przy drodze prowadzącej z Darny, około 20 km przed Tobrukiem, niedaleko miejscowości Acroma znajduje się drugi aliancki cmentarz wojenny. Położony kilkaset metrów od drogi może być nie zauważony przez przejeżdżających. Znajdują się tu trzy polskie mogiły. Cieszą się i spokojem cmentarza pogłębia monotonia pustynnego krajobrazu.

Są jeszcze dwa miejsca w Tobruku upamiętniające poległych w kampanii afrykańskiej. Jest to mały cmentarz francuski liczący około 300 grobów, wyróżniający się dwoma lotaryńskimi krzyżami przy bramie wejściowej.

Na wzgórzu, w pobliżu miasta,

prawdopodobnie na fundamentach starego fortu tureckiego wznosi się budowla przypominająca swą architekturą surowy, średniowieczny, niedostępny zamek z czterema basztami w narożach. Ta monumentalna budowla w niczym nie przypomina cmentarza, lecz wydawała by się być mauzoleum. Jest to mauzoleum niemieckie mające w swoim wyglądzie coś z germańskiej buty, zarozumiałości zwycięzców.

Zimne kamienne korytarze prowadzą w wewnętrzny dziedziniec z trzech stron otoczony arkadami na całą wysokość budowli. Na czwartej ścianie ogromna płaskorzeźba w granicach przedstawia grupę żołnierzy ze zdjętymi czapkami. Z boków płaskorzeźby napisy podają nazwy miejscowości w północnej Afryce, gdzie miały miejsce największe bitwy II wojny światowej. Wmurowana w posadzkę tablica zawiera napis w języku niemieckim: „Ojczyzna dziękuje wszystkim tym, którzy w walkach w Północnej Afryce na lądzie, morzu i powietrzu oddali życie i nie znaleźli grobu w macierzyńskiej ziemi”.

Ściany wielkiej arkadowej dziedzińca wyłożone są mozaiką tysięcy nazwisk. Przebiegając wzrokiem tę listę dostrzegam wiele polskich nazwisk. Byli to prawdopodobnie Ślązacy wcieleni do Wehrmachtu — jeszcze jeden przynębiający paradoks wojny. Zgodą na budowanie mauzoleum kupiona była u libijskiego króla Idrisa za budowanie 150-kilometrowego rurociągu słodkiej wody z Darny do Tobruku.

Cmentarze wojenne w Tobruku i Acromie są pod opieką Komisji do Spraw Grobów Wojennych Brytyjskiej Wspólnoty Narodów na obszar Afryki Północnej. Utrzymywane są w czystości i porządku. Polacy przebywający w Libii włączają się również w działania mające na celu ochronę tych miejsc. W 1984 r. zalogi przedsiębiorstw „Naftobudowy” — Kraków i „Polimex-Cekopu” przeprowadziły renowację tablic na cmentarzu wojennym w Tobruku, uzupełniając około 400 liter i cyfr. Pracownicy wymienionych przedsiębiorstw oraz wielu innych zaproponowali, deklarując własny wkład pracy, usytuowanie na wzgórzu Medawar „Znak Pamięci Narodowej” w kształcie prostego kamiennego kopca z tablicą pamiątkową. Przygotowano wstępny projekt i rozpoczęto działania. Aby w 45 rocznicę wmurować kamień węgielny. Z wielu różnych przyczyn, a między innymi z powodu niecałkowitego rozminowania terenu wokół wzgórza, braku oficjalnej zgody lokalnych władz, pomysł nie był możliwy do zrealizowania. Wzgórze Medawar jest nadal trudne do zdobycia.

Są dwa dni w roku kiedy cisze cmentarna przerywa odgłos łopotania na wietrze biało-czerwonych chorągiewek, prowadzonych po polsku rozmów. W Dzień Zwycięstwa i Święto Zmarłych wypełnia się tobrucki cmentarz, biało-czerwone opaski pojawiają się na polskich grobach, składane są wianki kwiatów. Szczególnie 9 maja stało się dniem celebrowania rocznicy światowego pokoju i oddania hołdu żołnierzom poległym w kampanii afrykańskiej. W uroczystościach biorą udział przedstawiciele ambasad krajów socjalistycznych, choć głównym organizatorem są zawsze Polacy.

Nazywano ich pogardliwie „szczurami Tobruku”. Polacy zastąpili Australijczyków. W piaskach pustyni pozostały ślady walk sprzed 47 lat i cmentarze.

Jedynie noc pozwalała na chwilę wytchnienia

WIKTOR WYSZYWACZ



Organizacja obrony Tobruku i rozmieszczenie sił nieprzyjacielskich.

wzgórza jest zniszczony i tylko miejscami zachowały się fragmenty ścian z otworami strzelniczymi. Wokół umocnień, na przedpolu leżą zwoje skorodowanych koncentrin i setki metalowych puszek po konserwach. Na wzgórzu i jego zboczach można znaleźć strzępy skórzanych pasów, resztki żołnierskich butów, elementy min i granatów, odłamki bomb i pocisków, kawałki pasów amunicyjnych do karabinów maszynowych, łuski pocisków karabinowych, a także całe naboje. Teren wokół wzgórza nie został całkowicie rozminowany. Zdarzały się wypadki eksplozowania min, dlatego szlak prowadzący na szczyt jest wyznaczony ułożonymi w szpalier kamieniami.

Na północno-wschodnim stoku opadającym w stronę Tobruku znajdują się już w odległości 150 m. pozostałości stanowisk strzeleckich i rowów łącznikowych obrońców miasta. Kamieniste podłoże nie pozwalało na okopanie się, stąd głębokość tych pozycji obronnych jest przerażająco mała. Dopiero w odległości kilkuset metrów od szczytu natrafiać można na ziemne umocnienia obronne, głębokie, o wybetonowanych ścianach ze stanowiskami strzelniczymi i schronami. Tu natknąć się można nawet na całe pociski armatnie. Tak wygląda obecnie pobojuwisko sprzed 45 lat.

Tobruk. Kilkunastotysięczne miasto, antyczne Antypgros.

Potem forteca rzymska, brońca Cyrenęjki. Miasto nieodmiennie interesowało wojskowych. Przyczyną tego była wznajająca się w głąb lądu, niegdyś równoległe do wybrzeża zatoka o długości około 1000 m i szerokości 300 m, stanowiąca doskonały, naturalny port. Przed II wojną światową

kontrofensywy i znacznie mniejszymi siłami 8 Armii zmusił jednostki włoskie do wycofania się. Tobruk bronił przez Włochów poddał się po kilkudniowej obronie 22 stycznia 1940 r. Z uwagi na prowadzone operacje w Grecji Brytyjczycy pozostawiali do obrony Cyrenęjki niewielką ilość wojsk.

Po klęsce marszałka Rudolfa Grazianiego do Trypolisu przybywają 14 lutego 1941 roku pierwsze niemieckie oddziały „Deutsches Afrika Korps” z gen. Erwinem Rommlem jako dowódcą. Połączone siły niemiecko-włoskie rozpoczęły ofensywę zakończoną wyparciem Brytyjczyków z Cyrenęjki. 11 kwietnia 1941 roku pierwsze jednostki niemiecko-włoskie dotarły do Tobruku.

Linię obrony stanowił podwójny pierścień betonowych fortyfikacji powiązanych systemem ognia o promieniu od 15 do 20 km i długości około 50 km.

Pierwsza zewnętrzna, „czerwona linia” znajdowała się w odległości 3 km od drugiej wewnętrznej, „niebieskiej linii” obrony. Wzgórze Ras-el-Medawar jako ważny punkt strategiczny włączone było w system umocnień. Krótki okres przygotowań nie pozwolił na całkowite zaminowanie przedpola, wykopanie rowów przeciwczołgowych i szczelne zamknięcie zasiekami z drutów kolczastych.

Twierdzę broniła 9 Dywizja Australijska pod dowództwem generała L. Morsheada. Ataki przeprowadzane od 11 do 14 kwietnia 1941 roku nie przyniosły rezultatów. 16 kwietnia natarcie osobiście dowodził przez gen. Erwina Rommla wyprowadzone od strony wzgórza Medawar skończyło się fiaskiem.

Port i pozycje obronne były

„Tobruk musi być zdobyty”.

W tym samym czasie rząd australijski, po skończonej kampanii w Syrii czynił starania, aby zgromadzić wszystkie swoje jednostki wojskowe pod jednolitym dowództwem. Na legano na Brytyjskie Ministerstwo Wojny o wycofanie 9 Dywizji z Tobruku. Pomiędzy 19 a 28 sierpnia 1941 roku, wykorzystując bezkieszczywcę noc, konwoje morskie z udziałem jednego z najszybszych krążowników HMS „Latona” przywoziły z Aleksandrii do twierdzy tobruckiej Samodzielną Brygadę Strzelców Karpackich na miejsce ewakuowanej częściowej Dywizji Australijskiej. Brygada dowodzona przez gen. Stanisława Kopańskiego składała się z 3 batalionów piechoty, Spieszonego Pułku Ułanów Karpackich, artylerii brygadowej i pododdziałów pomocniczych — łącznie 355 oficerów i 4601 żołnierzy.

Przejmowanie pozycji od Australijczyków następowało nocami w pierwszych dekadach września, a w dniach od 1 do 3 października 1941 roku Polacy obsadzili najważniejszy odcinek — „wylot” — w rejonie wzgórza Medawar. Dowódcą Brygady gen. Stanisław Kopański otrzymał pod swoje rozkazy batalion australijski i batalion czechosłowacki oraz najstarszy pułk artylerii brytyjskiej — 1 Pułk Artylerii Konnej.

Samodzielną Brygadę Strzelców Karpackich broniła całego zachodniego odcinka parymetru twierdzy o łącznej długości 20 km.

Od zachodu Tobruk oblegała 27 włoska dywizja „Brescia”, od południa — 17 włoska dywizja „Pavia”, a na wschodzie 25 włoska dywizja „Bologna”. Jedynie „wylot” zajmowały 105 i 114 niemieckie pułki piechoty zmo-

patrole, w których walawili się A. Bocheński (50 patroli), T. Budzicki i inni, były bardzo niebezpieczne, chociażby z tego względu, iż nie było map pół minowanych. Tereny te były minowane przez Włochów, Hindusów, Australijczyków, Niemców oraz Polaków. Trzeba było iść ułaskiej fantazji, aby na ochotnika uczestniczyć w tych nocnych wypadach.

Po wielu dniach walk obie strony zaakceptowały raz na dobę kilkudziesięciminutowe wstrzymanie ognia w godzinach wieczornych. Nie ustalono formalnie tego zawieszenia broni, ale był to zwyczaj pozwalający obu stronom na dostarczenie żywności, zabranie rannych z pola walki itp.

Oblężenie twierdzy przedłużało się.

Wyczerpały się siły obrońców. Odżywiani niewystarczająco, jedynie konserwami, żołnierze zapadali na zdrowiu, panował szkorbut. Przydział około 1,5 l wody pitnej był śmiesznie małą ilością. W schronach musieli „walczyć” z gryzoniami i pogodzili się z inwazją pcheł. Spiekota i skwar pustynny, drobny piasek wciskający się wszędzie lub ulewne deszcze, które potrafiły wypełnić okopy po brzegi.

Nie zawsze była wystarczająca ilość amunicji. Ponawiane były próby przełamania obrony, prowadzony był ostrzał artyleryjski i naboje bombowe. Bezsukcesznie. Zaciekle i determinacja obrońców zaskakiwała i irytowała oblegających. Nie zdobyty Tobruk stał się niewygodnym faktem dla chełpliwej propagandy hitlerowskiej wtedy, gdy na innych frontach wojska „Osi” odnosili znaczące sukcesy. Niemieckie rozgłoszenie radiowe i prasa nazywały pogardliwie obrońców „szczurami Tobruku”. Określenie to z upływem czasu stało się zaszczytem, a beznadziejność oblegających przedstawiała się w stosowaniu wszystkich możliwych środków, np. ułotek wywołujących Polaków do poddania się.

Zdarzeniem mającym ogromną wartość moralną dla polskich żołnierzy była wizyta Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego. Przybył on do Tobruku na pokładzie brytyjskiego niszczyciela „Kipling” nocą z 13 na 14 listopada 1941 roku. Przeprowadził inspekcję Brygady. Spotkał się i rozmawiał z żołnierzami, był na pierwszej linii. Opuścił Tobruk następnej nocy.

Dowództwo niemiecko-włoskie uznało konieczność zdobycia twierdzy Tobruk przed rozpoczęciem ofensywy na Egipt. Decydujące natarcie na Tobruk miało nastąpić pomiędzy 15 a 20 listopada. Brytyjczycy 17 listopada uruchomili ofensywę „Krzyżowiec” i uprzedzili działania przeciwników.

W nocy z 20 na 21 listopada 1941 roku Polacy brali udział w rozbudowanej operacji zaczepnej na zewnątrz linii obronnych, mających na celu przebiecie korytarza i połączenie się z oddziałami 8 Armii. Polacy rozbili kompanię piechoty włoskiej oraz wzięli do niewoli

Połączyła ich rzeka

Zima zbiornik bywa pusty, ale tego roku jest pełny. Z zamykającej go tamy przy ośrodku sportów wodnych wali z otwartego przepustu czysta zielonawa woda, pieniąc się i szumiąc niczym górski wodospad. Przepust są trzy, toteż w zależności od przyboru wód można by nimi regulować, ale o to, co Ner będzie wyprowadzić dalej, nikogo głowa nie boli.

Tym, co się dzieje na dalszym odcinku rzeki, martwią się rolnicy z Chocianowic i taki jeden brodaty, blondyn, lat trzydziści ośmiu, który urzęduje pod czwartym na Chylońskiej, tuż za Stawami Stefańskimi.

Blondyn nazywa się Aleksander Czernek i jest inżynierem po SGGW, a społecznie pełni m.in. funkcję prezesa DK ZSL Łódź-Górna. Zaczynał u dyr. Witaszka w państwowym gospodarstwie ogrodnictwa w Pabianicach, potem przez dwa lata zatrudnił się u prywatnego ogrodnika, na własną rękę także prowadził uprawy pod folią. Jako łodzianin w 1979 r. otrzymał mieszkanie w łódzkich blokach i narobił sobie przez to zmartwienia, bo zaraz potem przywieźli go w tecze na kierownicze stanowisko. A stało się to z tej przyczyny, że Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Chocianowicach prowadziła tzw. Zakład Gospodarki Rolnej, który tak uprawiał była chłopską ziemię, że płakać się chciało. W związku z tym na bazie ZGR postanowiono stworzyć Rolniczą Spółdzielnię Produkcyjną, której organizację powierzono właśnie Andrzejowi Czernkowi. Według statutu spółdzielni winni zakładać chłopcy z własnym wkładem ziemi, a jak się do tego weźmie zbierania ludzka, co to przychodzi na gotowe, to nie pracując na „swoim”, bimba sobie, w każdej chwili może rzucić robotę i odejść. No, ale ktoś się musiał zająć kawalkami lichej, nie chęćnej ziemi...

Sek w tym, że w tym samym czasie, tj. pod koniec 1980 r., ożyło Kółko Rolnicze w Chocianowicach. No i jak powstająca RSP wezła na teren bazy ZGR, utworzonego w ramach Spółdzielni Kółek Rolniczych, chłopcy zaczęli ostrzyć kosi. Bo przecież z rozkazu eks-premiera Piotra Jaroszewicza SKR zagarnęła maszynę chłopskiego kółka rolniczego, które przestało istnieć, a także wniesione przez rolników szklarnie z kotłownią. Ponadto Kółko Rolnicze odparzyło i zagospodarowało 70 ha ziemi na Retkini przy torach kolejowych. Ziemi tej rolnicy do dziś nie odzyskali. Za to do dziś śmieją się lub zgryzają zębami, jak spółdzielcy przeżywają horror, nie mogąc wejść na tamte pola nawet kombajnem na podwójnych kołach, bo grunty nie zmeliorowane, zamienili się w topieliska i wiele prac trzeba wykonywać ręcznie.

Alle swoje go majątku w Chocianowicach o wartości 8,5 mln złotych rolnicy nie darowali, bo za te pieniądze mogli wtedy kupić 50 hektarów. Sprawa stała się w sądzie i chciał nie chciał RSP musiała się przenieść z rzeki, do zrujnowanego folwarku Charzew.

Zapowiadano wówczas, że rolnictwo będzie jedno, ale nikt nie przewidywał, że indywidualnych i spółdzielców połączy wkrótce graniczna rzeka.

Wróćmy jednak na Chylońską, cichą, odludną uliczkę, ukrytą wśród drzew za stawami. Gospodarowało tutaj Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnictwa, i to w sposób tak efektywny, że w końcu z serca i dobrej woli przekazało nową RSP w dożywotnie użytkowanie ponad dwa hektary ziemi i ok. 3 tys. metrów kw. szklarni. I jak w 1982 r. na walnym zgromadzeniu prezesem wybrano Andrzeja Czernka, zorganizował on na Chylońskiej centrum bazowe i biura spółdzielni. Tylko najpierw trzeba było część szklarni rozebrać, żeby nie przynęcały ludzi, a część wyremontować.

Chłopi mówią, że oni w tych szklarniach zawsze będą do tyłu, bo zatrudniają ośmiu palaczy w kotłowni i tyluż dozorców.

A Czernek na to, że na tym uroczym odludziu każdy może wleźć na teren spółdzielni, więc w nocy musi czuwać dozorca. Prywatny ogrodnik mieszka na miejscu i sam wszystko załatwi, a tutaj trzeba zatrudniać zgodnie z przepisami trzech palaczy na trzy zmiany, no i księgowości na gwoździu też się nie poprowadzi. A dochodzą przecież jeszcze różne głupie sprawozdania...

Powiedzmy sobie szczerze: gdyby Andrzej Czernek był właścicielem tych szklarni, nie otwierałby biura i nie zatrudniał kadry urzędniczej. Ale on i tak myśli, jak o swoim. Oplacalność w ogrodnictwie jest straszna. Kiedy koszt samego opatu stanowi dziś 60 proc. wartości produkcji, trzeba jak najmniej spalać, remontować belgijski, myśleć o zmianie profilu produkcji, przechodzić na warzywa gruntowe albo włączyć się za uprawę mięty i traw na nasiona.

Idą ciężkie lata, ale pocieszająca jest to, że choć w spółdzielni pracuje 80 członków bez wkładów ziemi, to ona się jakoś trzyma, podczas gdy trzy spółdzielnie powstałe w podobnych warunkach już dawno upadły. Kiedy na początku lat 80. weszło w życie nowe prawo spółdzielcze, spółdzielnia zaczęła działać w ramach reformy. Jest samodzielną, nikt jej nie dotuje, ale — podobnie jak chłopcy — sprzedaje po cenach urzędowych, kupuje zaś po cenach umownych. Mimo to z roku na rok zwiększa odpisy na fundusz własny, nie ma długów, bank jej nie gnębi, a za 1987 rok dniówka obrachunkowa wzrosła do 390 zł, przy czym na każdego pracownika przypada średnio trzy takie dniówki dziennie. Faktem jest, że źródło tych dochodów tkwi gdzieś indziej, ale o tym nieco później.

W dniu 25 marca Andrzej Czernek był na tyle pogodny, że po 10 kwietnia zapowiada zniesienie kartek na mięso, bo w telewizji Zeb pędzi wielkie stado bydła do Polski. Byłby weselszy, gdyby nie te 116 ha ziemi do obrobienia. Do pierwszego pola w Charzewie jedzie się 6 kilometrów, ulicą Długą, Pabianicką, Chocianowicką. A to drugie, na Retkini, leży w odległości 11 kilometrów. Na terenie wsi powstało miasto, które teraz okrada wieś. Prezes Andrzej Czernek nie zebrał tam ani jednej kolby kukurydzy, taka ta szarażucha łakoma. Rolnicy zauważa, że po sąsiedztwa ma-

ją ZOMO, które mogłoby dopilnować. Ano tak, dwa razy omal nie przejechał ciągnikiem zomowca na przepustce, jak randkował z panną na miedzy.

Jedziemy, a z prawej toczy coraz barwniejsze fale Ner.

— Sześć razy dziennie zmienia kolor — mówi Andrzej Czernek — fenolek nie rzeka. W starej oczyszczalni na Lublinku były takie grabie do wybierania na łuskijskich kasków z nieczystości, a teraz i to w remoncie, toteż ścieki wala kanałem prosto do Neru. Chłopi gadają, że gdyby rzeka wyrzucała na pola same czyste gówna, to byłoby dobrze, ale wyrzuca trucinę.

Tylko, że to się zaczyna już za tamą zamykającą akwen w parku 1 Maja. Ścieki komunalne z Rudy Pabianickiej, ścieki ze stojącej na brzegu „Białej Fabryki” i z zajeźdni MPK. A do Olechówki, co wpada do Neru, zrzucają odpady zakłady Armii Ludowej, Piwarsza Rudzka i inne, aż po głębokie Chojny.

Marek Kokoszka, który zajmuje się z ramienia WK ZSL problemami rolników na Górnej, i to nie tylko ludowców, stwierdza, że tej dzielnicy zagraża kolejny śmieszkiel w postaci fabryki azbestu za wiaduktem na Dąbrowskiego. Poza tym rolnicy doceniają nowy Szpital Pomnik, który będzie leczył tysiące kobiet, ale w zamian znacznie spuszcza tysiące ton ścieków do Olechówki, które znajdują się w Nerze.

Zjeżdżamy wybitą drogą w dolinę Neru. Mostek w Charzewie nie przepuszcza nadmianu wód, toteż taki na prawo wyglądają jak ryżowiska, tylko że pokrywa je kolorowa warstwa chemicznych nieczystości, na których jeszcze przez lata nic nie wyrośnie. A przecież spółdzielnia w rekultywację 10 ha łąk wiozła już grube miliony. Żywe czarnozielne nadrzeczne, na których rosną wspaniałe warzywa. Nie wyrośnie nawet ryż do zupy pomidorowej.

Na lewo zabudowania folwarczne — baza RSP. W samym końcu stara chałupa otoczona śmietniskiem, którą okupuje babcia — dzika lokatorka.

Idziemy pod górę. Rozciąga się stąd widok, o jakim mieszkańcom Śródmieścia nawet się nie śniło. W granicach Łodzi są tak dziewicze, niedostępne uroczyska, pełne piaszczystych wzgórek, dzikich dolinek, bagien, krzewów i zagajów, że nie, tylko kłócić westerny. Na razie kręcą filmy mocno wojenne, bo spółdzielcy długo potem zakopywali rowy strzeleckie, leje i bunkry. Aby wycisnąć coś z tej podłej ziemi, spółdzielnia wykarczowała trochę zakrzaczonych gajów olechowych, zasyłała dzikie wysypisko śmieci, a nawet postawiła groble, żeby nie pusić wylewów na pola.

Na niżej położonej łące, gdzie już wysiano nawóz, jeździ ciągnik z bronami, rozbijając przy okazji kretowiska. Płynię tamtejszy strumyk z czystą wodą, mający źródło z dala od Neru. Zrobiono przepustę, zastawki, żeby nawadniać łąkę, ale gdy któryś z wawozów między pagórkami przedrze się wylew z Neru, to wszystko zśląga trafia. Nie tak dawno trochę bliżej rzeki posadzono 3,5 ha ziemniaków i zgnyli. W blocie i fekaliach zostało z pół miliona złotych...

W podwórzu bazy RSP też często stoi woda. Wzniesiono kilka niezbędnych, prowizorycznych pomieszczeń, ale reszta budynków kruszeje i sypie się ze starości. Piękny murywany młyn z brązową tablicą, na której wybito datę 1880, z konieczności zamieniono na magazyn. Pozostałe budynki folwarczne wzniesiono w tym samym roku. Wacław Górecki z Chocianowic powie później, że przed laty na Nerze od Charzewa do Konstanczyna stały cztery młyny wodne i trafiały się ryby, a teraz można tylko popętnić samobójstwo poprzez zanurzenie.

Spółdzielnia brała z wylęgarni pisklety, tzw. jednodynki, i od stycznia do czerwca czepiała je i podkarmiła w cyklach 4-tygodniowych,

po czym sprzedawała z zyskiem działkowcom i KGW. Rolę odchowni kurczą pełnił młyn, ale ponieważ zaczął się walić, trzeba było z tego zrezygnować.

Dzisiaj głównym źródłem dochodu RSP nie jest produkcja typowo rolnicza, lecz usługi świadczone przez własne brygady: mechanizacyjno-naprawczą, rekultywacyjną i remontowo-budowlaną. I jest to uzasadnione, bo gdy z walejącej starej obory wiatr zerwał dach, trzeba było także zrezygnować z hodowli jajówek. Tym bardziej, że brakuje trawy i siana. Bo wskutek wylewów można wprawdzie coś skosić, ale nie nie zebrać. No i w ten sposób pozbawiamy się nie tylko żywności, ale i zabytków.

Zaraz, zapyta ktoś, a czemu RSP nie zbuduje nowych budynków, czemu nie remontuje starych? Ano dlatego, że nie może zszasta pieniędzy, których nikt jej potem nie zwróci. Zaciągniętych kredytów także nikt nie umorzy. Spółdzielnia nie może inwestować ani budować, ponieważ Charzew jest terenem zagrożonym! Przed laty ktoś wpadł na pomysł, że powstanie tu zalew, z ośrodkiem wypoczynkowym dla Łodzi i ten plan oraz związane z nim zakazy do dziś pozostają w mocy!

Podobne zgryzoty z Nerem oraz problemy inwestycyjne, tylko nieco innej natury, mają rolnicy z rzeki, toteż prezes Andrzej Czernek wchodzi do bazy Kółka Rolniczego jak sąsiad do sąsiada, których łączy wspólne interesy. Senior wśród kółkowców, Wacław Górecki, opowiada, że KR przekazało aktem notarialnym tutejszej OSP odwieczną działkę gromadzką, ale z zastrzeżeniem, że KR może korzystać z niej na równych prawach. Trzy lata temu wieś wystąpiła o budowę nowego budynku dla organizacji wiejskich i sklepu, bo stary liczy 60 lat. Wykonano dokumentację i zaczęły się pierpałki, czyli odbijanie piętelki od UML do Urzędu Dzielnicowego na Chęnej i z powrotem. A to, że na starych fundamentach nie wolno budować, a to, że za blisko między sąsiadów, a to znowu, że budynek wysoki. Wreszcie wyszło na to, że bez kanalizacji ani rusz, chociaż sąsiad puszcza ścieki pod stary sklep, i że konieczna jest strefa ochronna w promieniu 30 m od decybeli z dyskoteki. A przecież w tym budynek nikt by nie mieszkał na stałe, nie urządził kapieli ani nie sprowadzał na noc orkiestr, jak to bywa w knajpach, nad którymi mieszkają w miastach lokatorzy.

Ludzie byli cierpliwi, zmieniali dokumentację, tracili pieniądze i nie mogli popracować społecznie, chociaż akces zgłosiło 180 obywateli. Radna DRN Górna, Zofia Hajdler jest mocno wzburzona i rozgoryczona. Ludzie przywiązali się do placu gromadzkiego, jak się im nie zezwoli na budowę domu dla KGW, KR, ZSL, OSP, jak nie będzie sklepu ani sali na kursy, ani gdzie się zebrać, to się to wszystko rozleci. Najgorsze, że budowę blokuje jedna osoba...

I teraz wybucha Julia Kozielewa. A wszystko przez tego niedźwiedzia, co teraz ma prywatną firmę i mieszka lepiej od prezydenta! Po nazwisku walić? Miś się nazywał? Po wodę gadał przy świadkach, że my tu głównie co postawimy. Taki ważny, bo pracował w wydziale kontroli UM, ma powiązania z innymi wydziałami i nie, tylko chłopu szkodzi...

Radna Zofia Hajdler mówi, że przed wyborami do nowych rad postawił wniosek o kanalizację ulicy Chocianowickiej, to może zezwolił im na budowę gromadzkiego domu.

A Wacław Górecki wraca do wylewów i nieszczęsnego Neru. Kiedyś zdarzało się to parę razy w roku, a teraz to już parę razy na tydzień. Bo zaczęli niby tę regulację, a jak geodezja wbiła kolki na miarę, to wyszło, że koryto rzeki jest o cztery metry za wąskie, a na dodatek zawalone korzeniami, gałęziami i całymi zgnyłymi drzewami. Górecki od trzech lat nie wjeżdża na łąkę, bo dalsza regulacja wstrzymana i wciąż zalewa. Jak się zbierze trochę siana, to człowiek musi się dezynfekować, bo cały przesiąka płynem z trujących o-

sadów chemicznych. Ludzie Mkwidują krowy, trzymają po parę świń, bo dla świń można kupić paszę.

W zlewni w Chocianowicach było po kilka tysięcy litrów mleka dziennie, a teraz bywa zaledwie 700 litrów i zlewnię chcą zlikwidować.

Bogdan Tosik w pełni to potwierdza. Kiedyś zaczął padać ulewny deszcz, więc Tosik ukrył się pod mostkiem. Po dwunastu minutach musiał uciekać, bo poziom wody podniósł się o metr i te spienione brudy poniosłyby go chyba do Lutomska. Tosik miał 6 krowy, a została mu jedna. No bo jak dawniej wylało, trzy kupki siana stały w wodzie, a teraz połowa łąki.

Zdzisław Kaczorowski to już posiwał z tego strapienia. Spożycie ma takie sennie, zmęczone, ale wszystko się w nim gotuje. Była nadzieja, że jak powstanie ten pierścień mleczny, to będzie pożytek dla rolnika i dla rolnika w mieście. No i Kaczorowski postawił piękną oborę, wyposażając ją w nowoczesne stanowiska dla bydła, zakupił dojarki, zainstalował chłodniarkę i poidła. W oborze było 12 dobrych krow mlecznych. Z braku trawy i siana miliony włożone w oborę poszły na straty, a Kaczorowski kupuje mleko w sklepie...

Julia Kozielewa jeszcze trzyma bydło, ale sąsiedzi się z niej śmieją. Połączyła się na siano z zalewanymi łąkami i teraz wyrzuca je do gnoju, bo zaczęły jej chorować cielęta i krowy. A u Józefa Banaszczaka jak się dwie cielne krowy zażarły trawki zjadł Neru, to zaraz poroniły.

Aby zasmakować tej gorzkiej rzeczywistości, ruszamy na kolejną wizję lokalną. Takim wielkim zielonym wozem, za który fabryka w Bielsku otrzymała błogosławieństwo z Watykanu, bo jest to jedyne auto na świecie, w którym nie sposób zgrzeszyć. Docieramy aż do pasów startowych na lotnisku, a potem w bok, do Neru. Wąska droga między gajami olch, brzozy, osiki jest podmokła i nieprzejezdna, a kiedyś wywożono tędy trawę i siano. Teraz to wszystko, co wyrzuciły łódzkie fabryki, stoi nawet między drzewami. A na zrudziałej, zmniejszonej trawie leży szarobura klaczasta skorupa, sięgająca miejscami skraj zagajników. To pasakudztwo tak oblepia buty, że waz specjalny wysiannik musiał stawać w domu pod prysznicem. Na wszelki wypadek sekretarka Bogusia musi wystąpić w roli czujnika, czy ten królik doświadczałaby nie przywiłół aby z sobą jakiegosyafa.

Brodzimy po tym puszystym kobiercu przekątanym cewkami, krochmalem, strzępami przędzy, a z dołu już zalatuje smrodem. Andrzej Pycio, młody rolnik, który do niedawna trzymał trzy krowy, a teraz żadnej, pokazuje nadbrzeżne bagno o szerokości dwudziestu metrów. Utworzył je wpadający do Neru rów ściekowy z Lublinka. Dezynfekcja na sto procent, samą mydło i proszek, po prostu drogeria na łące. A dalej, gdzie kosić się nie daje od lat, szumi coś niby łan dojrzalego żyta. To trzcina...

Andrzej Pycio mówi ze złością, że regulacja rzeki była, a jakże, ale od trzech lat pasy gruntu po obu stronach koryta, z pięćdziesiąt metrów szerokości każdy, nie nadają się do użytku. Przedsiębiorstwo, które sparało robotę, twierdzi, że najwyżej 15 metrów, i że niemożliwość użytkowania chce zapłacić chłopu po 16 zł za metr kwadratowy. Mój ojciec, powiada Andrzej Pycio, przez 60 lat uprawiał dobrą ziemię III klasy, płacił ubezpieczenie i podatki. To nie ojciec zdegradował tę ziemię, więc niech nikt nie wazy mu się teraz zapłacić za tę ziemię jak za nieużytki.

A Józef Banaszczak dodaje, że po drugiej stronie rzeki wylewy podchodzą do zabudowań. U niego, u Brycha i Nowaka smrody wdzierają się na głębokość 150 metrów w uprawne działki. Banaszczak dwa lata temu zrehabilitował swoją ziemię, a teraz ma w tym miejscu stumetrowy pas bagna. Mógłby polować, ale w takiej truciźnie kaczkę się nie zagnieżdża...

Prezes Kółka Rolniczego, Bogdan Łukasiewicz, oświadcza ze smutkiem, że pewna część Chocianowickiej pójdzie chyba pod miejską zabudowę, ale większość ulicy to prawdziwa wieś i rolnicy są wściekli, że traktuje się ich jak uciążliwych intruzów w mieście. Rekultywacja I i II klasy łąk jest szalenie kosztowna, do tego dochodzi przymusowe ubezpieczenie, a tymczasem PZU nie chce płacić odszkodowań za straty po wylewach. PZU wzmawia chłopom, że jak nie chcą płacić składek, to niech się postarają o wyłączenie zniszczonych łąk i pól z użytków rolnych. Chłopi poszli z tym do sądu i sąd orzekł, że skoro rolnicy płacą składki ubezpieczeniowe, to PZU ma obowiązek wypłacać odszkodowania i kwita. Rolnicy są zdania, że jeśli miasto zniszczyło im łąki, to proszę bardzo, niech miasto uzna je za nieużytki i wykupi je sobie od chłopów, ale po cenach, jakie obowiązują za grunty I i II klasy, bo tak są one w ewidencji skłasyfikowane.

Inż. Bogdan Łukasiewicz jest człowiekiem młodym, ale doświadczonym, opanowanym i zrównoważonym. Pomija fakt, że doprowadzeni do rozpacz chłopi działając w trybie ustawy o społeczno-zawodowych organizacjach rolników (DU 32/82) mogą skorystać z ostatniej szansy, tj. z ogłoszenia akcji protestacyjnej i strajku. Gdyby jednak działali zgodnie z prawem, wyznaczając właściwe terminy na spełnienie swych postulatów, i jakie by nie stawali warunki, to niewiele wyskają, gdyż w ciągu roku nie usunie się zanieczyszczeń powstałych w ciągu 100 lat. Skażeń nie uniknie się natychmiast, bo na Grupową Oczyszczalnię Ścieków trzeba chyba będzie poczekać jeszcze ładnych parę lat. Ale nie nie stoi na przeszkodzie, aby natychmiast przystąpić do regulacji Neru i zapobiec groźnym wylewom. Chodzi o to, żeby ta rzeka połączyła nie tylko spółdzielców z rolnikami indywidualnymi, ale wszystkich uprawiających ziemię w dolinie Neru z tymi, co rządzą — z władzami miasta. Po to, abyśmy mogli w miarę spokojnie i zdrowo żyć.



Rys. Rafał Ciesielski

RYSZARD BINKOWSKI

Umieć rozmawiać z drugim człowiekiem, to przede wszystkim umieć go wysłuchać.

Czy ty nie myślałeś o tym, aby ze sobą skończyć?

MAREK MAMOS

— Czy ty nie myślałeś czasami o tym, aby ze sobą skończyć? — pytała samarytanie swojego rozmówcę po drugiej stronie telefonu zafania, jeżeli tylko zauważa, że w jego głosie brzmi coś podejrzanego.

Sens tej prowokacji jest jasny. Trzeba zmusić go do zaprzeczenia samemu sobie, do znalezienia argumentów przeciw tej ostatecznej decyzji, do obrony przed rozsyfrowaniem. Aha, skoro obcy człowiek zorientował się, że chce popełnić samobójstwo to co tu jest nie w porządku.

Samobójstwo pewnej młodzieńczej mieszkanki Londynu, która zgineła dlatego, że nie miała z nią kto porozmawiać, tak wstrząsnęło pastorem angikańskim Edwardem Chad Varah, że postanowił on ogłosić w dzienniku „The Times”:

„Zanim popełnisz samobójstwo zadzwoni do mnie”.

Było to w roku 1953. W krótkim czasie liczba telefonów do pastora przekroczyła wszelkie wyobrażenia. Powstała więc potrzeba wyszukania ochotników zdolnych do wysłuchiwania zwierzeń. W ten sposób powstało Towarzystwo Samaritanów.

W Polsce pierwszy telefon został zorganizowany w 14 lat później przez prof. Adama Bukowskiego przy Klinice Psychiatrycznej Akademii Medycznej we Wrocławiu. W tym samym roku z inicjatywy prof. Tadeusza Kielanowskiego założono społeczny telefon w Gdańsku oparty na zasadach brytyjskich.

Podobno pierwszy rozmówca, który zgłosił się do uruchomionego w Polsce telefonu zaufania powiedział:

— Jak to dobrze, że istniejecie. Wreszcie będzie miał kto gnać się balagnem w naszym zakładzie...

Nie o to oczywiście chodziło, by wysłuchiwać donosów. Do tego celu istnieją inne wyspecjalizowane instytucje.

Dzisiaj przy telefonie zaufania lekarze, psychologowie, pedagodzy bądź społecznicy pomagają ofiarować nieznajomemu swoją przyjaźń, czyli to co jest w życiu najpiękniejsze i to czego nam najbardziej brakuje. Wyrażają gotowość do rozmowy z człowiekiem, do wysłuchania jego problemów.

W Polsce najczęściej przez telefon zaufania rozmawia się o sprawach rodzinnych. O rozkładzie małżeństwa, o kłopotach z dziećmi, o alkoholizmie jednego ze współmałżonków. Osoby zagrożone samobójstwem stanowią około 1 proc. dzwoniących.

— My uważamy — mówi Bogusław Moraczewski, współzałożyciel telefonu zaufania w Piotrkowie Trybunalskim — że bardzo skutecz-

na formą pomocy człowiekowi, który myśli o samobójstwie jest spokojne wysłuchanie tego człowieka. Czy pan się nigdy nie spotkał z taką sytuacją, kiedy chciał pan coś powiedzieć, tak jak to przychodziło na myśl, ale rozmówca nie chciał tego słuchać? On chciał pana naprawić. I dlatego nie mogliście nawiązać ze sobą kontaktu.

Wystarczy podtrzymywać rozmowę.

Jeżeli rozmówca powie o sobie i o swoim problemie wszystko, co mu się kłębi w głowie często od wielu lat, to właśnie jest wspólna terapia.

— Słuchanie w dzisiejszym zaganianym świecie nie jest wcale takie proste — mówi Bogusław Moraczewski. — Na co dzień jesteśmy bardzo rozgadani, bo żyjemy szybko. Tego, kto stara się opowiedzieć o swoich problemach, uważamy najdelikatniej za nudziarza. Natomiast telefon zaufania daje możliwość kontaktu bardzo intymnego. Ja swój czas i siebie dobrowolnie ofiaruję drugiemu człowiekowi.

Czasami zdarza się, że słuchawka zostaje odłożona. Jest to dla dyżurującego przy telefonie ogromny dramat, zwłaszcza wtedy, gdy z rozmowy wynikało, że dzwoniący zagrożony jest samobójstwem. Ważny jest każdy akcent, barwa głosu, każde wypowiedziane słowo, aby tamten człowiek nie stracił zaufania. Jest to ogromne obciążenie psychiczne.

Zdarza się tak że osoba, która dzwoni do telefonu zaufania oczekuje potwierdzenia prawidłowości swojego postępowania. Nie wolno spełniać tych oczekiwań. Nie powinno się też udzielać porad.

Na przykład telefonuje młoda dziewczyna i pyta: — Co zrobić z niechcianą ciążą? — Czy ktoś, tym bardziej przez telefon może powiedzieć jej, czy ma rodzić czy usunąć płód? Przecież to jest jej ciąża. To jest tylko i wyłącznie jej sprawa. Można tylko dziewczynie przekazać wszelkie informacje na temat ciąży i macierzyństwa, aby ona w pełni świadomie dokonała wyboru. Nikt jednak nie może zastąpić jej w podjęciu decyzji.

Nawet jeżeli jest to decyzja dotycząca spraw życia i śmierci.

Chad Varah w czasie jednej ze swych brytości w Polsce opowiadał:

— Zadzwonił do mnie człowiek i powiedział tak:

— Wziąłem takie i takie proszki.

— Więc dlaczego do mnie dzwonił? Przecież wiesz, że zagraża to twojemu życiu.

— Dzwonił do ciebie nie po to, abyś mnie ratował, tylko dlatego, że nie chce umierać samotnie. Chce z kimś porozmawiać w ostatniej godzinie.

Chad Varah twierdził, że była to najtrudniejsza rozmowa jego życia. Z jednej strony chciał, aby ten człowiek się ujawnił i poprosił o konkretną pomoc, na przykład o sprowadzenie lekarza. Z drugiej strony wiedział, że wszystkie natrętne pytania, czy jakiegokolwiek postępowanie wbrew woli rozmówcy może zakończyć się odłożeniem słuchawki. I tak upływały minuty. Ten człowiek pomału umierał. Jego głos stawał się coraz mniej wyraźny, bełkotliwy. Chad Varah bał się jakiegokolwiek błędu; bo wierzył, że tak długo jak trwa rozmowa jest jeszcze szansa, że rozmówca zmieni swój zamiar.

Po upływie kilkudziesięciu minut Chad Varah usłyszał jakiś łomot. Później okazało się, że tamten człowiek spadł z krzesła i podciągnął za sobą aparat. Na szczęście telefon nie wyłączył się. I wtedy ostatnim tchnieniem swojej świadomości wyszeptał numer. Był to sygnał do podjęcia akcji. I człowiek został uratowany.

Ale Chad Varah powiedział jeszcze:

— Gdyby tak się nie stało, to moja powinność było trwać przy nim do końca. Ten człowiek cierpił. Umierał. Nie chciał być sam w ostatniej chwili swojego życia, a ja skoro się zdecydowałem na rozmowę, muszę mu towarzyszyć. I nie mogę próbować ratować go na siłę.

Nie wolno nikogo ratować na siłę!

— Jak to, nie ratować, kiedy widzi się człowieka usiłującego skoczyć do rzeki, powieść się, zażyć truciznę, to trzeba natychmiast interweniować.

— Tak, Racja, ale my mówimy teraz o rozmowie telefonicznej.

Swego czasu, było to w Polsce, młody człowiek zadzwonił z automatu i poinformował osobę dyżurującą, że właśnie kończy życie. Po przez placówkę, do której dzwonił podjęto natychmiastowe działania pozwalające ustalić budkę, w której się znajduje. Uruchomiono milicję, pogotowie i straż. Trzy wozy na sygnale otoczyły chłopaka. Przy pomocy toporków i łomów udało się wylamać zabarykadowane drzwi. Wyciągnięto go. Założono kaftan bezpieczeństwa. Przewieziono do szpitala i uratowano. Czy takie działania można nazwać moralnym? A jaki był finał? Chłopak próbował jeszcze raz.

Dlaczego nie chciano z nim rozmawiać? Zawsze przecież życie jest silniejsze od śmierci i w człowieku, nawet wtedy, gdy ma już swojego życia dosyć, zawsze tli się mała iskierka, z której może wybuchnąć płomień. Dlaczego nie skorzystano z tej szansy?

Przykłady podane przez współpracowników telefonów zaufania są bardzo wymowne. Samarytanie uważają rozmowę za najskuteczniejszą formę terapii. Ich badania i statystyki potwierdzają, że przypadki niepowodzeń są niezwykle rzadkie. Niemniej zdarzają się.

Ryzyko zawsze występuje.

Aby ograniczyć to ryzyko do minimum, czy nie należy podejmować akcji ratowania człowieka nawet wbrew jego woli? Czy nie trzeba dać mu czasu potrzebnego do powtórzonego przemyślenia na zimno swoich problemów. Może, kiedy miną emocje, uzna je za błahe, niewarte opuszczania tego najpiękniejszego ze światów.

Dla współczesnych Europejczyków życie ma wartość największą. Nie zawsze tak było i nie wazędzie jeszcze tak jest. Nie rozumiemy na pewno hinduskiego rytuału „sati” polegającego na samospaleniu się wdowy, na stosie wraz ze zwłokami męża. Nie rozumiemy Japończyków popełniających „seppuku” w imię honoru ojczyzny, przywiązania do władcy.

Powołując się na książkę „Rozmyślenia o przemianach” prof. Tadeusza Kielanowskiego możemy opisać niezwykle dla człowieka cywilizowanego zjawisko „śmierci voodoo”, pojawiające się u ludów pierwotnych. Członek plemienia, który popełnił najcięższe przestępstwo, jakim było na przykład przekroczenie tabu, był sądzony przez grupę starszych i czarownika i skazywany na śmierć, ale wyroku nikt nie wykonywał. Skazany, świadomy winy i poczujący się do niej umierał w ciągu kilku do kilkunastu godzin z przyczyn dla Europejczyka niezrozumiałych. Siedział samotnie w milczeniu i umierał.

Podam te przykłady po to, aby uświadomić, że w zależności od miejsca, czasu i światopoglądu stosunek do aktu targnięcia się na własne życie ulegał zmianie. Seneka na przykład głosił, że:

„Staby to człowiek i tchórz, kto śmierć zadaje sobie z powodu bólu, ale głupi, kto żyje tylko po to, by znieść ból”.

Sila Platonskiej wizji nieśmiertelności duszy pchnęła niektórych jego uczniów do szukania śmierci w nadziei szybszego osiągnięcia szczęśliwości, jakie im ukazał.

Również pierwsi chrześcijanie popełniali samobójstwa bardzo często po to, żeby przyspieszyć moment wejścia do nieba. Jak pisał prof. T. Kielanowski — Filozofia chrześcijańska potępia samobójstwo, ale genera tego potępienia nie jest znana, a tym bardziej żaden fragment „Nowego Testamentu” wyraźnie tego nie czyni. W „Biblii” jest natomiast mowa o samobójstwie Samsona i trzech innych bohaterów. Dopiero w V wieku n.e. uznał św. Augustyn samobójstwo za grzech śmiertelny, porównał je do zabójstwa zabronionego przez przykazanie Mojżeszowe. Byli już wprawdzie święci, którzy zmarli śmiercią samobójczą i byli kłopotliwi Samson, ale święty Augustyn wyraził przypuszczenie, że tak Samson jak i święci działali na wyraźne polecenie Boga.

Czy wobec tych faktów i poglądów ma sens pytanie o prawo człowieka do dowolnego dysponowania własnym życiem. Otóż moim zdaniem ma sens, a w szukaniu odpowiedzi trzeba ustalić najpierw czas i miejsce akcji oraz doktrynę filozoficzną, moralną i etyczną, która uznaje za obowiązującą. Bada to jednak tylko rozważania teoretyczne.

Praktycznie bowiem każdy z nas sam musi dać sobie odpowiedź na to pytanie. A w konkretnych przypadkach o ostatecznej odpowiedzi nie decyduje ani ustrój, ani religia, ani bogactwo, tylko stan naszej duszy czyli tego co przeżyliśmy określać jako psychiczne wnętrze człowieka.

Jak powiedział mi na zakończenie rozmowy Bogusław Moraczewski:

— Moim zdaniem człowiek ma prawo do wszystkiego, co sam uważa za słuszne, łącznie z odebraniem sobie życia. Z drugiej strony — jestem za utrzymaniem tego życia. I dlatego istniejące od teoretycznych rozważań jest takie działanie, aby człowiek poczuł się istotą wartościową, żeby przez moment chociaż był szczęśliwy i żeby nie był samotny.

ze str. 1

ganizacji związkowej, zatrudniona w mleczarni od 12 lat. — Nie tylko w zakresie jakości. Także stawki poszły w górę...

I proszę bardzo, na potwierdzenie tych słów otrzymuję do dyspozycji komputerowy wydruk z faktami i komentarzem. W rubryce „wynik finansowy” czytamy: 1985 — 3 mln straty, 1986 — spółdzielnia wychodzi na „zero”, 1987 — bilans po raz pierwszy od wielu lat dodatni, zysk do podziału przekroczył 26 mln zł. Z rubryki „placę” dowiaduję się z kolei, że w ciągu ostatnich trzech lat średnie zarobki podniosły się z 18 do 30 tys. zł, co wysunęło spółdzielnię na pierwsze miejsce w województwie!

Nadзор PKMII zakończył się z chwilą, gdy zgodność z normą mikrobiologiczną przekroczyła 80 procent. Z tego samego powodu nie żąda się w Prokuraturze comiesięcznych sprawozdań. W listopadzie 1987 roku Bank Gospodarki Żywnościowej w Łodzi zrezygnował z nadzorowania programu sanacji. Uczynił to na rok przed terminem, uwzględniając dobre wyniki gospodarowania. Wraz z zaufaniem banku, spółdzielnia odzyskała zdolność kredytową.

3.

Powróćmy jeszcze na moment do początków urzędowania prezesa. Jakże miał wtedy największe smartwienie? Odpowiedź jest raczej niespodziewana: kłopotów przysparzała mu tajemnicza niezgodność z podstawową zasadą fizyki — prawem zachowania materii. Konkretnie, chodziło o materię w postaci jednostek tłuszczowych, których nie można się było miesiąc w miesiąc doliczyć. Gineły gdzieś wyroby o różnym stopniu przetworzenia, zawierające 400-700 tys. jednostek tłuszczowych miesięcznie. Ile to jest? Ogromnie dużo! Litr mleka „zwykłego” zawiera tylko dwie jednostki tłuszczowe!

Do dziś dnia nie wiadomo na pewno, gdzie to wszystko gineło. Kursują na ten temat różne teorie. Mleczarz z dziada pradziada, stojący na czele koła ZSL w spółdzielni, uważa na przykład, że większość gineła w transporcie, zaś reszta wędrowała przez ploty. Przypomina sobie z tych czasów rozmowę pomiędzy sekretarzem KM PZPR a poprzednim prezesem mleczarni:

— Jak to się dzieje, że wasze kakao, niedostępne w sklepach, można bez trudu dostać na rynku? — spytał sekretarz.

— Nie można wszystkiego upilnować — beznadziejnie odparł prezes. Jego następca postanowił jednak upilnować. Udało się, choć nie do końca. Zmienił w tym celu szefa produkcji. Zmienił go w sumie dwukrotnie, podobnie jak kierowników. Metoda szybkich zmian kadrowych okazała się przydatna w dziele uzdrowienia spółdzielni. Prawie 10 osób odeszło z kierowniczych stanowisk. Nie wszystkim się to podobało. Prezes zbierał ujemne punkty.

Zebrał ich jeszcze więcej za ogrodzenie siatką i zamknięcie na kłódkę „obiektów strategicznych” w mleczarni, a to mianowicie: zbiornika z tysiącami litrów śmietany o wysokiej zawartości tłuszczu oraz boksów z pojemnikami.

— Wymusił mi nadzór — tłumaczył wiceprezes — podpisywanie umów o wspólnej odpowiedzialności materialnej. Wtedy kierownicy sami zaproponowali: skoro mamy odpowiadać, to musi być zamknięte. Były przecież wypadki, gdy ładowano pokątnie na samochód całą paletę (216 litrów) śmietany! Kradzieże zdarzają się teraz podobno sporadycznie, ale nieza-

Wszystko stało się pod znakiem zapytania

dowolonych przybyło. Prezes zrobił z produkcji więzienie — szepczą. Nie tylko zresztą szepczą. Są i tacy, co wzięli się za pióro, zapominając jedynie o własnym nazwisku. Najnowszy anonim w sprawie „ogrodzeń” trafił do pami redaktor z „Życia Pabianic”. Podpisali go „uciemnieni pracownicy”.

— Drastyczne metody nie przysparzają przyjaciół — komentuje to wiceprezes.

4.

Anonimowy szły falami po każdej „wstrząsowej” zmianie. Trafiły również na milicję. Zadzwonił kiedyś do prezesa znajomy funkcjonariusz:

— Co tam, prezese — sągał tartobitwie — słyszałem, że nieścisłe sobie podciągacie...

Prezes opowiada mi o tym, lecz nie potrafi — jak wtedy do słuchawki — po prostu się roześmiać. Niezrozumie się teraz roześmiać, niezrozumie zachować kamienną twarz. Wychodzi nam jakiś pół uśmiech, pół skrzywienie.

Sikoro już i tak jesteśmy przy alkoholu, wypada przedstawić kolejne zestawienie. Dotyczy ono kar i zwolnień m. in. za pijaństwo w pracy. Było ich wcale niemało, jak na niedużą w końcu jednostkę produkcyjną (około 400 osób załogi). Ograniczając się do ostatniego okresu: 1986 — 23 kary i 8 zwolnień, 1987 — 10 kar i 8 zwolnień, pierwsze miesiące 1988 — 6 kar i 4 zwolnienia.

— Proszę sobie uświadomić mentalność części załogi — przerywa mi lekturę wiceprezes. — Na jednym z pierwszych spotkań na produkcji zadano mi następujące pytanie: czy naprawdę nie będzie wolno już pić, nawet z okazji imienin?

Zarząd spółdzielni nie poprzestał na samych kontrolach. Postanowiono nie tylko karać, ale i wychowywać. Zorganizowano w mleczarni dwa wyjazdowe posiedzenia Sądu Pracy. Zjawiała się spora publiczność...

Słuchając tej relacji, nie mogę się powstrzymać od pytania, które powinienem — mam obowiązek — prezesowi zadać, choć zrywam w ten sposób naszą umowę: — Prezesie, co sobie pomyśleli ukarani przez pana ludzie, ci niepijący także, gdy usłyszeli o 4 marca? Cokolwiek pan powie na swoją obronę, fakt pozostaje faktem: byli we krwi promille... Chwila milczenia.

— Nie zaprzeczam, że naruszyłem ustawę. Odsuwam to bełędnie jako własną niekonsekwencję. Dalem temu wyraz w jedyny możliwy w mojej sytuacji sposób: składając rezygnację.

5.

Pabianicka spółdzielnia wysunęła się na czoło nie tylko w dziedzinie plac. Posiadając 8 mikrokomputerów dzięży obecnie

branżowy prym w komputeryzacji. Jest także bez wątpienia w czołówce, jeśli chodzi o współpracę z naukowcami. Współpracuje intensywnie z Zakładem Ekspertyz Gospodarczych PTE „Pete”, który wykonał na jej zlecenie kilka dość kosztownych ekspertyz. Kosztownych — ale pożytecznych i opłacalnych — zastrzegają się w zarządzie. Jeden z najnowszych przykładów współpracy — tym razem z TNOiK — dotyczy organizacji i wprowadzania grup partnerskich, które zastępują w mleczarni dawne zespoły gospodarcze. Również i w tej dziedzinie OSM ma już duże doświadczenie. Pierwszą grupą partnerską „ruszyła” od 1 listopada 1987 r., są i następne. Ludzie zgłaszają się sami, gotowi są łączyć wyższą odpowiedzialność z większymi zarobkami.

Dowiaduję się o tym wszystkim od prezesa, który rozstrząsa następnie przede mną wizję dalszego rozwoju spółdzielni. Mówiąc o przyszłości, pytamy się jednak o czas przeszły. Prezes poprawia „zamierzamy” na „zamierzaliśmy”; mówi „zrobię”, i zaraz przechodzi na „zrobilibym”. Kilkakrotnie zniechęcony macha ręką. Co tu mówić o planach, jeśli nie wie, jak potoczą się w najbliższym czasie jego losy...

Losami prezesa interesują się w spółdzielni wszyscy. Po wypadkach z 4 marca 1988 r. szef mleczarni otrzymał poręczenia społeczne. Udzielili go: Prezydium Rady Nadzorczej, zakładowe koło ZSL, związki zawodowe i organizacja młodzieżowa. Z poręczeniem nie wystąpiła jedynie organizacja partyjna.

Najbardziej wymowny jest przedstawiciel ZSL: — Z prezesem mnie nie wiąże. Przeżyłem już tutaj 4 prezesów, mam rentę i nie boję się mówić prawdy. Powiem więc, co myślę: nie mieliśmy jeszcze tak dobrego prezesa.

Wtórę mu przewodnicząca organizacji związkowej:

— Chcemy, aby prezes pozostał. Taka jest związkowa opinia. Nie wybrałabym sobie — odpuka! — gdyby miał odejść.

Sekretarz organizacji partyjnej jest oszczędny w sformułowaniach:

— Mówiliśmy o poręczeniu na egzekutywie. Postanowiliśmy nie udzielać. Nie chcę podawać powodów. Nie mogę się w tej sprawie wypowiedzieć, dopóki Prokuratura nie zakończy postępowania.

6.

Przypadek prezesa skierowany został początkowo w trybie przyspieszonym do rozpatrzenia przez Sąd Rejonowy w Pabianicach. Sędzia uznał jednak, że na podstawie przedłożonych mu faktów nie może rozstrząść o stopniu i rodzaju winy. Sprawę przekazał więc Prokuraturze, do postępowania zwyczajnego. Postępowanie trwa.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

T

o mogło zdarzyć się w każdym mieście, więc nieważne, gdzie się naprawdę zdarzyło. Tacy ludzie jak pani Janina są wszędzie. Mijamy ich obojętnie na ulicy, stoimy za nimi w kolejce, mieszkamy w tym samym domu, może na tym samym piętrze, za ścianą. Nie wiemy o nich nic, a jeśli nawet słyszeliśmy coś przypadkiem, zazwyczaj mówimy: przecież właściwie nie się nie stało. Tak to już w życiu bywa. I spokojnie kładziemy się spać. A oni nie. Oni tak nie potrafią, nie mogą. Duszą się w atmosferze zakłamania, zawiści, bezsilności. Zepchnięci na margines życia, osamotnieni coraz bardziej zamykają się w sobie, chociaż chętnie szeroko otworzyć serca i usta, wraz ze słowami wyrzucić z siebie to, co tak boli. Ale nikt nie ma dla nich czasu, nikt nie chce wysłuchać do końca, zrozumieć.

Potrzebują tego nie mniej niż chleba.

Pani Janina jest nauczycielką. To znaczy, była nauczycielką.

Właściwie nie się nie stało. Ktoś chciał dobrze, miał siły i zapał, miał sukcesy, ale... zjawili się — jak zwykle — ludzie zawistni. I zaczęła się cicha tragedia...

Człowiek nie może być sam

PAWEŁ TOMASZEWSKI

ka, bo już nie pracuje, mimo że z powodzeniem mogłaby jeszcze uczyć. Na pewno przydałaby się w niejednej szkole — doświadczona, sumienna... Myślała, że dotrwa jakoś do emerytury. Nawet jeszcze całkiem niedawno tak myślała. Próbowła wrócić, znów chciała stanąć przed klasą, zasiąść do sprawdzania zeszytów, choć przez nie własnie musi dziś nosić grube szkła. Ale coś znaczącego, wieczorne zmęczenie, które sprowadza twarde, zdrowy sen, gdy człowiek wciąż czuje się potrzebny, gdy może robić to, co naprawdę lubi?

Pani Janina nigdy nie widziała się w innym zawodzie. To było jej powołanie — od najmłodszych lat, od czasu, gdy sama siedziała jeszcze w szkolnej ławce. Dlatego od razu wybrała liceum pedagogiczne. I nie żałowała ani chwili — poziom był wysoki, „przedwojenny” nauczyciele, młodzież — jak ona — głodna wiedzy. Miło wspominała. Ale i trudno niekiedy wyzbyć się myśli, że gdyby nie zaszczytowało tam w niej tak poważnego traktowania pracy, takiej rzetelności, ławiej może byłoby później przystać na to, że tak w szkole, jak w życiu wcale nie zawsze dobro triumfuje.

Pierwszy raz przekonała się o tym na własnej skórze prowadząc pewnego roku kolonijne letnie wydziały oświaty. Miała wtedy ponad dziesięcioletni już staż pracy w szkole, dobrą opinię oraz perspektywę awansu na kierownicze stanowisko. Prowadziła je dobrze, a w każdym razie na tyle dobrze, że nie znajdowała powodu, dla którego miałaby wydać wszystkie powierzone jej pieniądze, skoro nie było takiej potrzeby, i po powrocie zwrócić do biednej przecież zawsze oświatowej kasy kilkanaście tysięcy złotych. Wizytujący kolonijny inspektor Wojciech J. nie stwierdził przy tym, aby dzieciom czegoś brakowało, nie odnotował żadnych uchybień. To on jednak niedługo potem wycofał się ze złożonej pani Janinie obietnicy awansu, gdyż — jak wyznał otwarcie w cztery oczy — nie posiada ona zdolności wydawania państwowych pieniędzy i napelniania sobie nimi prywatnej kieszeni. Cóż więc byłaby z niej za kierowniczką?

Niektóre koleżanki pani Janiny przyjeżdżały to zapewne bez zdziwienia i wielkich emocji. Bo choć kierownicze stanowisko przeszło koło nosa, na razie, to przecież właściwie nie się nie stało. Ona — nie. Dla niej to był szok. Co prawda, słyszała wcześniej to i owo o dziwnych zwyczajach inspektora, ale co innego słyszeć, a co innego osobiście doświadczyć

skutków jego chciwości i podłości.

Więc powinna była za parawanem jakiegoś „lewego” rachunku wziąć te pieniądze i podzielić się nimi z Wojciechem J.? Żeby awansować, powinna zacząć kraść? Dlatego, że inni kradną?!

Kiedy wyszła z jego gabinetu na ulicę, trafił chłód, że jej wzrok najpierw zatrzymał się na milicyjnym mundurze. Zrobiła nawet w jego kierunku krok czy dwa. Stała jednak, uświadamiając sobie, że nie ma to żadnego sensu. Bez dowodów, bez świadków... Zduśliła gniew w sobie, choć silnie pchał się do gardła. Przez kilka następnych nocy nie zmusiała oka.

Innym razem... Sprawowała akurat funkcję I sekretarza POP w swojej szkole. Zbliżał się Dzień Nauczyciela, z okazji którego wyróżniający się pedagodzy otrzymać mieli nagrody. Dyrektorka szkoły, Stanisława S. w porozumieniu z organizacją partyjną, jak było przyjęte, ustaliła listę kandydatów, jednakże do wydziału

niż w szkole, a ludzi zawistnych, bezdusznych spotkać można w każdym środowisku. Co gorsza, jest ich coraz więcej. Po rocznym urlopie „dla poratowania zdrowia” pani Janina wróciła do swojej dawnej szkoły. Bardzo dłużył się jej ten rok, mimo że nie siedziała w domu z założonymi rękami. Urządziła na nowo mieszkanie, o czym myślała już od dawna, sięgnęła do odkładanych na później lektur, więcej czasu mogła poświęcić synowi... Nie nudziła się ani chwili, ale jednak to nie było to. Teskniała za klasą, za swoimi uczniami, głosem dzwonka na lekcje... Bała się powrotu „pod skrzydła” Stanisławy S., a jednocześnie nie wyobrażała sobie dalszego życia bez szkoły.

Wróciła mądrzejsza, wyciszona... Unikala konfliktów z dyrektorką, udawała, że nie dostrzega wielu spraw, nie komentowała głośno jej błędnych decyzji, czy drobnych złośliwości, chociaż gdzieś w środku... Dobrze, że brała cały czas środki uspokajające przepisywane przez lekarzy. Bez tego nie wytrzymałaby następnych siedmiu lat. Ale i one nie pomogły, kiedy

Koleżanki pani Janiny miały podobne zdanie.

Szeptaly między sobą:

— Ale stara załatwiła Jankę! To za to, że tak ją bezbłędnie rozszyfrowała.

Myślały też zapewne: czy warto mimo wszystko brać sobie to do serca? Przecież właściwie nie się nie stało, to tylko służbowe przeniesienie. I chyba miały rację.

Pani Janina tak jednak nie potrafiła. Przeniesienie odebrała jak celnie wymierzony policzek, by po kilku koszmarnych dniach i nocach powtórnie trafić do szpitala. Niestety, nie był to już ten sam szpital, nie te same pielęgniarki, nie takie podejście do chorych.

Kiedy mimo środków uspokajających nie mogła zasnąć w nocy, zamiast ciepłej rozmowy w dyżurce, czekały ją teraz zimne pasy krepujące całe ciało. W sali — staruszek, których od lat nie było dokąd wypisać. Też powiązane, robiące pod siebie... Kiedy wołała dla nich o basen, siostry gromiły ją:

— A co panią to obchodzi! To nie pani sprawa!

Zupełnie jak dyrektorka, gdy będąc jeszcze I sekretarzem POP, stawała często w obronie krzywdzonych koleżanek. Nie umiała inaczej. Uważała, że to jej obowiązek. Tak samo w szpitalu. Ale i tu niewiele mogła zrobić: była przecież „psychiczna”, a „psychiczna” można traktować, jak się chce.

Przeżyła swój „Lot na kukulczym gniazdem”. Przeżyła więcej — utratę syna. Nagle przestali się rozumieć. Zupełnie jak by mówili dwoma różnymi językami. Chociaż — czy nagłe? Może tak naprawdę nie rozumieli się już dużo wcześniej, zachowując jedynie pozory? Może oboje tylko udawali, bo tak było im wygodniej? Zawsze na pierwszym miejscu stawiała pracę, była w nieustannym biegu... Gdzieś musieli się minąć. Nawet nie zauważyła, kiedy. No, i stało się...

Z perspektywy szpitalnego łóżka świat wygląda całkiem inaczej. Staje się płaski, daleki, obcy... Nawet kwiaty przyniesione przez najbliższych tracą swe barwy i zapach, a słowa — dawne znaczenie. Niektóre zamieniają się w puste dźwięki. Serce zalewa żal.

Po opuszczeniu oddziału psychiatrycznego pani Janina skierowana została na rentę. Dla rodziny było to potwierdzenie, że nie wszystko jest w porządku, że trzeba na nią uważać, że może się zdarzyć... Nie sposób było tego nie odczuć. Najczęściej — w drobiazgach, aluzjach, żartach... Władze oświatowe odetchnęły z ulgą. Ona — również, choć z drugiej strony wcale nie odpowiadała jej ten boczny tor. Próbowала się bronić, podejmując pracę na pół etatu — w jednym miejscu, drugim, trzecim... Szło jej nawet nieźle, ale nie dawało już takiej satysfakcji, odbierało resztki sił. W końcu musiała się poddać.

Została sama.

Z dawnymi koleżankami bliższych kontaktów nie utrzymuje — są zapracowane w szkole i w domu, mają dosyć własnych problemów... Wspominają ją ciepło, do dziś żalują, że tak odeszła. Miłe to, jednak niczego nie zmienia. Partia pamiętała jedynie o składkach. Syn uamodzielnił się, ma swoje życie, swoje towarzystwo. Niekiedy przypominają ją do siebie dalsi krewni, starają się być taktowni, usłużni... Ale to tylko niekiedy, od święta. Dni powszednie toną w ciszy niemych ścian i czasie przeszłym dokonany, z którym pani Janina wciąż jeszcze nie umie ostatecznie się pogodzić. Więc chciałaby przed kimś szeroko otworzyć serce i usta, wraz ze słowami wyrzucić z siebie to, co tak boli.

Rozmawiała kiedyś o tym ze swoją lekarką. Lekarka powiedziała:

— Ten świat jest zbyt okrutny jak dla pani — i zapisała kolejną porcję tabletek. To wszystko. Przecież, właściwie nie się nie stało.



Mówi: Marek Tumanowicz

— Ile lat pracuje pan w tv?
— W tym roku mijają piętnaście. I od początku w dzienniku.
— Jaka była pańska droga do telewizji?
— Dwuletnie podyplomowe studia dziennikarskie, dwa lata w PAP, a potem niespodziewana propozycja do tv. Próby wypadły nieźle i tak to się zaczęło.
— Zaczynał pan jako prezenter?
— Jako reporter, właściwie jako praktykant reporterski. Pierwszy materiał, jaki musiałem zrobić, to tuż obok, pod siedzibą PZU, w poniedziałek po weekendzie sobotnio-niedzielnym. Króciutki, 20-sekundowy program pt.: „Czy PZU odczuwa skutki weekendu”. Tekst napisany pod film, żadnych wywiadów, żadnego pojawiania się przed kamerą. Później dłuższy czas: praca reporterska i dopiero po trzech latach ówczesny naczelny Stanisław Cześnin zaproponował, abym się poddał próbom w studio. Było to w lutym 1976 r.
— Po czym został pan prezenterem dziennika tv...
— Tak, ale cały czas pełniłem funkcję dziennikarza. Oczywiście nabierałem z czasem umiejętności i już zacząłem robić nawet „zadówki”. Później zostałem wprowadzony przez Witka Stefanowicza do Sejmu.
— Jakże trzeba mieć predyspozycje, aby zostać prezenterem telewizyjnym?
— Ja interpretuję to żartobliwie w ten sposób: trzeba być człowiekiem pozbawionym wyobraźni.
— Nie rozumiem...
— Chodzi mi o to, że stając przed kamerą trzeba umieć wyłączyć wyobraźnię, skoncentrować się na tym, co w danym momencie należy robić, a nie myśleć o tym, że kiedy się zapala czerwona lampka na kamerze, to z drugiej strony jest 12–13 milionów ludzi. Jeśli się ma tego świadomość to dochodzi do szczytów, do niemożności wydobyć z siebie głosu. Żart, który się robi początkującym kolegom polega na tym, że mówi mu się nieustannie: nie pomylić się, nie pomylić się, nie pomylić się... I jeśli ktoś zasiadając przed kamerą powtarza sobie te słowa, to jak amen w pacierzu, pomyli się.
— Wiadomo, że kandydatów na prezenterów poddaje się różnym zaskakującym testom. Jakim?
— Rutynowa próba wygląda tak: należy przeczytać kawałek jakiegoś tekstu z właściwym akcentem, z wymawianiem liczebników, plyninie. To jedno. Potem daje się tekst, w którym są błędy. Prezenter nie wie o tym. Sprawdza się więc, na ile ten człowiek potrafi korygować na bieżąco. A wszystko odbywa się w majestacie studia: światła, lampki na kamerach itp. Kolejna sprawa, to umiejętność opowiadania tego, co się przed chwilą przeczytało, ale już bez kartki. A więc mówienie bez tekstu. No i jakiś fragmentek z nazwami obcojęzycznymi i to z różnych języków. Chodzi o jakieś ogólne osłuchanie się z językami obcymi.
— W stanie wojennym był pan chyba pierwszym prezenterem?
— Pierwszym był Witek Stefanowicz, już w mundurze, prowadził on dziennik o dwunastej z minutami. Decyzja o umundurowaniu nas zapadła jakieś 40 minut przed pierwszą anteną. Dlatego też wystąpiliśmy na początku w mundurach dość przypadkowych. Chodziło, aby było zielono. Dopiero po kilku dniach wyfasowaliśmy mundury z Jednostki Reprezentacyjnej WP, już dopasowane. I tu wówczas powstał dowcip o stopniach: że najniższy stopień w wojsku to prezenter telewizyjny. Ja chodząc w pelnym umundurowaniu miałem dystynkcie na czapce i piaszczu: podporucznik. Alłici wtedy, gdy nas mundurowano gwałtownie, nie było dostępu do magazynu mundurów oficerskich. Więc dano nam pierwsze z brzęgu. Ja dostałem dystynkcie kaprała. Zaprotestowałem. Ja podporucznik — kapralem! Ale wówczas w wojsku nie było już gwiazdek blaszanych, tylko haftowane. W związku z tym wystąpiłem bez stopnia. No bo jak to tak: po kilku dniach zjawić się z gwiazdkami. Byłoby to kompromitacja stopnia oficerskiego. Dla zwykłego telewidza wyglądałoby to tak: przez 4 dni facet czyta jako szeregowiec, a piątego pojawia się z dwoma gwiazdkami. Co to za wojsko? I jak łatwo ci z TV awansują!
— Teraz jest pan dyrektorem...
— Wicedyrektorem do spraw kraju w Dyrekcji Programów Informacyjnych. Czuję się różnie. W momencie, gdy otrzymałem nominację, wyraziłem opinie, z którą dyrektor Andrzej Bilik się zgodził, że powodów do satysfakcji zapewne mam wiele, natomiast do radości znacznie mniej. Podstawowa trudność nie polega na znajomości warsztatu, czy nieznajomości prawideł rządzących propagandą, ale najtrudniejsze jest to, że przez 15 lat pracowałem z wieloma ludźmi, z niektórymi z nich zaprzyjaźniłem się, a teraz nagle zostałem ich szefem. Zapewne będę słyszał opinie: zważniał! odbił! nie ten człowiek! co to! wiada robi z człowieka! itp.
— Odbiorcy TV mają dość silne pretensje do głównego wydania dziennika. Jest on statyczny.
— Uważam, że „Teleexpress” i „Panorama Dnia” są tym; czym są, dziennik o 19.30 jest właśnie dziennikiem o 19.30. Z tych dwóch programów zdejmujemy ogromną masę informacji, protokolarnych, oficjalnych, informacji najcięższego kalibru. Gdyby je pozostawić „Teleexpressowi” i „Panoramie Dnia”, to ich lekkość, szybkość skończyłyby się od razu. Po drugie: waga tych informacji wymaga też odpowiedniej formy przekazu. Oczywiście staramy się główny dziennik rozluźnić jak tylko to jest możliwe. Pojawili się rozmowy w studio na żywo. Ponadto eksperyment koszański. Sądziły, że ta forma pracy wpuszcza nam trochę świeżego powietrza. Wreszcie staramy się, aby niektóre tematy podsuwane nam przez naszych decydentów mogły pojawiać się niekoniecznie w głównym wydaniu dziennika TV.
— Czego się pan dorobił?
— Tej niedawnej nominacji, poza tym dwukrotnych nagród prezesa Radiokomiteu. Ponadto mieszkania M-4 w osiedlu Wilanów II. Malucha. Pierwszej żony i jedynego syna Rafała. Po tatulusiu dziecko odziedziczyło antytalent matematyczny.
— Czego się pan jeszcze spodziewa?
— Wierzę, że uda mi się ułożyć współdziałanie z zespołem.
— Czy mam życzyć panu stolika dyrektorskiego w przyszłości?
— Nie mam takich ambicji. Po szkoleniu wojskowym, które kiedyś tam odbywałem, wpisało mi do akt: „Nie zdradza predyspozycji dowódczych”. Myślę, że w tym coś jest. A patrząc na swojego pryncypala, chce się powiedzieć: „Wrogowi tego nie życzyć”. Jest to bowiem straszliwie obciążenie psychiczne. Andrzej Bilik przyjął taki sposób: sukcesami dzielił się wspólnie, natomiast za wpadki ponosił ja odpowiedzialność.
— Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Biały i rymowany poranek wielkanocny

Znowu oczyszczam się z kamieni piekła,
Ze zwirowi czyści i posadzki nieba,
Stopa dotyka kwiatów stokrotki,
Obmywam oczy w lagunie kaczeńców.

A pszy skowronek, co nade mną stoi,
O mnie się troszczy, Pana Boga boi,
Jak trzepoczące moje serce w klatce
Śpiewa przyrodzie, Przenajświętszej Matce.

Półka z książkami

O GENERALE DĄBROWSKIM

Ukazało się, już drugie, wydanie obezernego dzieła Jana Pachonńskiego poświęconego legendarnemu twórcy i wodzowi Legionów Polskich we Włoszech i Francji w latach 1797–1806 generałowi Janowi Henrykowi Dąbrowskiemu. Był postacią wybitną: twórca wspomnianych legionów, dowódca V korpusu w czasie kampanii Napoleona na Moskwę, wódz wojsk polskich w latach 1813–1814, organizator Księstwa Polskiego. Mimo tylu zasług nie osiągnął Dąbrowski u potomnych takiej sławy jak książę Józef Poniatowski czy Tadeusz Kościuszko, choć jego nazwisko na zawsze zostało związane z naszym hymnem narodowym.

Jan Pachonński: *General Jan Henryk Dąbrowski 1755–1818*. MON 1987. Str. 636. Cena 1.250 zł.

LEGENDA O TRZECH KRÓLACH

Zmarły przed czterema laty zachodni Niemiec, pisarz Rudolf Hagelstange nie jest szerzej znany polskiemu czytelnikowi. Ukazanie się jego minipowieści będzie tym większym zaskoczeniem dla tych, którzy problemy etyczne i moralne przedkładają nad dynamikę udramatyzowanej fabuły. Prezentowana książka posiada ponadto swoisty subtelny urok przeplatany niebanalnym humorem, a jej treścią jest przybycie Trzech Królów do Betlejem, by złożyć hołd nowo narodzonemu Mesjaszowi.

Przekład Ireneusza Maślara.

Rudolf Hagelstange: *Było to w Askalonie pod wielorybem czyli legenda o Trzech Królach*. WL 1987. Str. 100. Cena 140 zł.

WYZNANIA HOCHSZTAPLERA

Ta książka nie wymaga specjalnej rekomendacji: nazwisko jej autora jest gwarancją dobrej prozy. Ponadto starsi czytelnicy zapewne pamiętają jeszcze głośny swego czasu film pod tym samym tytułem. I choć książka — dzieło człowieka starającego się zafascynować własną tożsamością — jest pamfletem na otaczający bohater realny świat, to przecież są w niej elementy dramatycznego sarkazmu i jakby ostrzeżenia.

Przekład Andrzej Rybicki.

Tomasz Mann: *Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla*. LSW 1987. Str. 384. Cena 560 zł.

Oprac.: E. IW.

Powieść Mariana Zdrojewskiego „Valse à la polacca, czyli kłótnie do nieba?” na niejednym czytelniku sprawiła może wrażenie prozy obcojęzycznej. Powiedźmy zatem od razu: to tylko barwny kostium. Autora, który po dłuższej przerwie

był umysłowo do czego zdolny jest człowiek: od podłości po najwyższe bohaterstwo. Podobnie wygląda zresztą rzeczywistość powojenna: z rzetelnym wysiłkiem idą w parze postawy destrukcyjne. Triumfuje fałsz i zakłamanie, osiagając rozmiary monstrualne: „Granice cudzej roli należy u nas do dobrego to-

niez aspektu bardziej ogólne. Jeden z nich przybiera wymiar poniekąd katastroficzny. — Świat staje się coraz bardziej szizofreniczny, a raczej my, jego mieszkańcy — sugeruje rezo-

niez aspektu bardziej ogólne. Jeden z nich przybiera wymiar poniekąd katastroficzny. — Świat staje się coraz bardziej szizofreniczny, a raczej my, jego mieszkańcy — sugeruje rezo-

Wieczne złudzenia

dał znać o sobie nową książką, interesuje przede wszystkim coś, co zwykło się określać potocznie mianem polskiego charakteru narodowego. Osobiście nie bardzo wierzę w istnienie takiego fantomu. Wierzę za to w trwałość, a nawet niemiłosierną pewność przywar czy wad, które przylgnęły do naszego narodu i w żaden sposób nie potrafimy się od nich uwolnić. I ta właśnie kwestia leży na sercu autorowi książki, której tytuł sugeruje swoisty polski kolowrót.

Bohaterem powieści Zdrojewskiego jest Hrabia — człowiek o wykwintnych manierach, prawdziwy bon vivant oraz bon viveur. Ow „związanym trwania, witalności i nieprzemijalności” to postać na polu realna, na polu symbolicznym; ktoś, kto posiadał klucz do rzeczywistości, zechciał wspaniałomyślnie uchylić rąbką tajemnicy. To człowiek swobodny, a przecież upożowany, arystokrata ducha zbratany poniekąd z pospólstwem, posiadający własny, niepowtarzalny styl, a przecież wcielający się co i rusz w odmienną za każdym razem rolę życiową. To ktoś na pozór monolityczny, w istocie zaś popękany i obolawy jak rzeczywistość, w której przyszło mu się poruszać. Wieczna młodość, jakiej pragnie doświadczyć Hrabia czyniłaby zeń dalekiego kuzyna Fausta. Mocny piekielnych jednak w powieści Mariana Zdrojewskiego nie zauważamy, za to rozmaitych sił demonicznych tu nie brakuje, jak choćby owa realna siła, jaką dysponuje brutalny pan Oleś, stanowiący niejako swoistą przeciwwagę szlachetnych poczyną Hrabiego.

Stan ducha tego ostatniego wynika z znacznym stopniu z wojennego patosu. Zdrojewski wykorzystuje w swym tekście autentyczne zdarzenia wojenne,

nu. Tę umiejętność opanowaną w stopniu doskonałym. Rzecz oczywista: bez przedylek — dających się wywieść historycznie — byłoby to nie możliwe, lecz bez talentu w żadnym razie! Wskaż mi drugi taki naród, w którym tak genialnie wprost potrafią kreować: dziewczęta rolę ladać, kurwa rolę przywołują, łobuz — pocziwca, głupiec — władca, miernota — utytułowanego medrca, czy biedak rolę panika, a prowincusz światowca? To potrafiła tylko ludzka genialność! Ooo, wśród takiej czeredy geniuszów trafiają się pajacyki i hezaleńcy, zrozumiałe. To wyjątki potwierdzające regułę. Cały szkółki w... niechciały rachować! W mieszanin gatunków! No i... ta mała, obskurna, prowincjonalna scena, na której przyszło grać! Tkwiła w tej wypowiedzi Hrabiego hiperbolizacja wynika zarówno z emocjonalnego zaangażowania mówcy, jak i z pragnienia wywołania zbliżonej reakcji odbiorcy. Właściwie to powieści w wilekskiej polskości, z jaką mamy tu do czynienia, służy także ironia. Ujawnia się ona jako sprzeczność między naiwną wizją świata dobrodusznego narratora — Kaliksta a wizją właściwą, jaką odbiera czytelnik na skutek rezonansowej, ale jakże urokliwej, działalności Hrabiego. Ironia przybiera tu zresztą różne kształty: bezpardonowej satyry, zresztą parodi, a nawet ukrytego szyderstwa, czy raczej autozderstwa. Ukazuje bowiem Zdrojewski łatwość, z jaką człowiek z prawdziwego króla życia potrafi przekształcić się w błazna (uwaga na szekspirowskie aluzje!).

Powieść Mariana Zdrojewskiego można odczytywać na wiele sposobów, nie tylko poprzez rozpatrywanie różnych form polskości. Powieść ta posiada rów-

no. Tę umiejętność opanowaną w stopniu doskonałym. Rzecz oczywista: bez przedylek — dających się wywieść historycznie — byłoby to nie możliwe, lecz bez talentu w żadnym razie! Wskaż mi drugi taki naród, w którym tak genialnie wprost potrafią kreować: dziewczęta rolę ladać, kurwa rolę przywołują, łobuz — pocziwca, głupiec — władca, miernota — utytułowanego medrca, czy biedak rolę panika, a prowincusz światowca? To potrafiła tylko ludzka genialność! Ooo, wśród takiej czeredy geniuszów trafiają się pajacyki i hezaleńcy, zrozumiałe. To wyjątki potwierdzające regułę. Cały szkółki w... niechciały rachować! W mieszanin gatunków! No i... ta mała, obskurna, prowincjonalna scena, na której przyszło grać! Tkwiła w tej wypowiedzi Hrabiego hiperbolizacja wynika zarówno z emocjonalnego zaangażowania mówcy, jak i z pragnienia wywołania zbliżonej reakcji odbiorcy. Właściwie to powieści w wilekskiej polskości, z jaką mamy tu do czynienia, służy także ironia. Ujawnia się ona jako sprzeczność między naiwną wizją świata dobrodusznego narratora — Kaliksta a wizją właściwą, jaką odbiera czytelnik na skutek rezonansowej, ale jakże urokliwej, działalności Hrabiego. Ironia przybiera tu zresztą różne kształty: bezpardonowej satyry, zresztą parodi, a nawet ukrytego szyderstwa, czy raczej autozderstwa. Ukazuje bowiem Zdrojewski łatwość, z jaką człowiek z prawdziwego króla życia potrafi przekształcić się w błazna (uwaga na szekspirowskie aluzje!).

Nie dajmy się zwieść dociętnemu i urokliwemu stylowi powieści Mariana Zdrojewskiego! „Valse à la polacca, czyli kłótnie do nieba?” to nie literatura rozrywkowa, lecz pełna gryzącego sarkazmu proza, której sens najlepiej oddaje finalne zdanie: „Latamy jak ptaki, pływamy pod wodą jak ryby, żebyśmy jeszcze chodzili po ziemi jak ludzie...” Ale czy to w ogóle możliwe?!

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

Marian Zdrojewski: „Valse à la polacca, czyli kłótnie do nieba?”. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1988, nakład 10 000 egz., s. 153, cena zł 300.

Od kilku lat w pejzażu kulturalnym Łodzi, wydarzeniem o randze ogólnopolskiej, przysparzającym naszemu miastu splendoru, stała się Łódzka Aukcja Antykwareczna. W tych dniach — już po raz czwarty — spotkają się na niej przybyli z całego kraju bibliotekarze i indywidualni zbieracze starych, unikatowych wydawnictw.

Tegoroczna oferta aukcyjna zawiera 1451 pozycji, o zróżnicowanym charakterze.

IV Łódzka Aukcja Antykwareczna

Ze względu na zachowaną oryginalną okładkę projektu Władysława Strzemińskiego — przyciągnęła moją uwagę wydana w 1932 r. broszura Eugeniusza Debuskiego „Stulecie gospody stołarskiej w Łodzi” (cena wywoławcza b. niska — tylko 400 zł).

Pod miotek literatury, pójście również cenne opracowanie Przemysła Smolika — wielce zasługującego dla łódzkiego bibliofilstwa okresu międzywojennego — pt. „Jana Bukowskiego prace graficzne” (wydanie numerowane z 1930 r., cena wywoławcza 12 000 zł).

Największych emocji spodziewać się należy w trakcie licytacji z działy starodruków — nie pojawiających się dotąd w komplecie na powojennych aukcjach — dzieł zebrań (8 t.) niemieckiej teorii sztuki, malarza i stycharza — Josepha von Sandrara. Cena wywoławcza tego zdobionego unikatowym między innymi źródła do historii sztuki niemieckiej (pochodzącego z drugiej połowy XVIII w.) pobita rekordy aukcyjne — wynosi bowiem 1,5 mln złotych!

Aukcja odbywa się w scenarii Muzeum Historii Miasta Łodzi, pod patronatem Antykwaryatu Naukowego „Domu Książki”, przy placu Wolności. Jego pracownicy, z kierownikiem Januszem Płoceniakiem, wiele wysiłku włożyli, dla sprawnego przygotowania tej znaczącej antykwarecznej imprezy.

JANUSZ KOZŁOWSKI

Biblioteka dla wszystkich

charakter środowiskowy — wyjaśnia kierowniczka mgr Elżbieta Sibińska. — Niewiele mniej niż połowa czytelników to osoby, w ogóle nie związane z „Obrońcami Pokoju”. Mają do dyspozycji 34 tys. wolumenów w 5 punktach Bibliotecznych, rozrzuconych po wszystkich wydzielach produkcyjnych. Biblioteka przy Przedzłazianej pracuje na dwie zmiany (I) od 8 do 20, a każdy z punktów ma innego dnia 2,5-godzinny dyżur. Mają półkę w „Europe”. Do tej pory kupowali 1100–1200 egzemplarzy w ciągu roku. Absurdalne podwyżki cen spowodują zapewne ograniczenie zakupów. Ale rzecz nie tylko w cenie. Wbrew pozorom czytały i klasyki literatury zachodniej nie wystarczyła dla zaspokojenia apetytów czytelników. Coż to jest 1–3 egzemplarzy „Tomka w Gran Chaco” Szklarskiego (o którego młodzież dowiadywała się... kilkanaście lat), czy pare przebojów Flaszewej-Muskat, kiedy trzeba do rozdzielić sprawiedliwie pomiędzy filie? Cóż, szczerze, że po „Skrolawki” nie ma już tajemniczych kolejek.

Oprócz powołań ratuje się rocznie po 500 rozlatujących się pozycji. Introligator solidny. Cena to po prostu, gdy usługa kosztuje 350 zł. Z miejscem na regał nie jest najlepiej. Zdeakualizowanych książek ubywa rocznie, znacznie mniej niż rośnie księgozbiór.

Wychodzą z działalności na zewnątrz. Ale mniej niż w poprzednich latach. Spotkania z pisarzami nie bardzo mają sens. Honoraria dla literatów są bowiem śmieszne, a i o kibiców ciężko (w dobre wideo i mikrokomputerów w co dziesięć mieszkani). Ostatnio w czasie ferii trzy panie bibliotekarki zorganizowały spotkanie dla maluchów na temat baśni i podań dla starszych — lekcje korzystania z księgozbioru podrocznego.

Czego im życzyć w przeddzień jubileuszu? — Wiele zapachu i nowych pokoiów, aby książki nie gnieździły się w korytarzach.

WŁODZIMIERZ KUPISZ



Rys. Stanisław Buczyński

SKARBY KULTURY

Bibliotheca patria — biblioteka ojczysta, tak nazywano niegdyś biblioteki, gromadzące i przechowujące cały narodowy dorobek intelektualny utrwalaony w księgach. Polska Biblioteka Narodowa, licząca sobie ponad 240 lat, posiada w swoich zbiorach ponad 4,328 tys. jednostek katalogowych. Wiele z nich to bezcenne skarby kultury. Sam dział reko-

Do najstarszych wiekiem należą rekopisemnie księgi średniowieczne, z których najstarszymi zabytkami są: powstały na przełomie VIII i IX w., pochodzący z Trewiru kodeks zawierający „Nowy Testament”; niewiele młodszy iluminowany Sakramentarz tyński z połowy XI w. oraz XI-wieczny Kodeks z Supraśia spisany w języku staro-cerkiewno-słowiańskim. Największą szlachę biblioteki są unikatowe zabytki języka polskiego — Kazania Świętokrzyskie i Psalterz

Floriański z XIV w. oraz siedemnaście kodeksów reprezentujących historiografię polską wieków średnich, zawierające m.in. wczesne odpisy kronik Galla Anonima i Wincentego Kadłubka.

Z późniejszych rekoisów, jakie posiada Biblioteka Narodowa to korespondencja fundatorów biblioteki — braci Żabskich oraz jedyny zachowany, wczesny odpis „Pamiętników” Jana Chryzostoma Paska, a także autograf „Pana Podstolego” Ignacego Krasińskiego i korespondencja Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Najliczniejszy jest zbiór rekoisów XIX i XX-wiecznych. Najcenniejsze to „Oda do młodości” Adama Mickiewicza, „Ballady” Juliusza Słowackiego, niemal cała zachowana spuścizna Cypriana Kamila Norwida, autografy utworów Józefa Ignacego Krasińskiego („Stara baśń”), Hen-

ryka Sienkiewicza („Kryżacy” i „Quo vadis”), Bolesława Prusa („Faraon”), Elżby Orzeszkowej („Nad Niemnem”), Stefana Żeromskiego („Uroda życia”) i „Dzienniki”), a z nowszych — Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Gajcego.

DAR SPADKOBIERCÓW CHAGALLA

O cenne dzieła Marca Chagalla wzbogacił się muzeum Francji. Licząca 464 prace kolekcję otrzymało państwo francuskie od spadkobierców zmarłego przed trzema laty artysty, który w ten sposób zapłacił za prawo przejęcia rezerwy spadku. Szacowana na dziesiątki milionów franków kolekcja obejmuje 46 obrazów, 151 grafik, 229 rysunków i 27 projektów dekoracji i kostiumów scenicznych, a także 11 ilustracji do książek. Dzieła Chagalla wzbogaciła m.in. zbioru Centrum Beaubourg oraz Muzeum w Nicei.

TAJEMNICA MUMII

W jednej ze starych pagód w okolicy Hanoi natrafiono na mumię buddyjskiego kapłana. Waży ona siedem kilogramów i liczy sobie ok. trzysta lat. Nie było-

Pierwsza fala wojennej emigracji dopłynęła do klasztoru wrocławskiego do brzozy Francji. Wspominaliśmy już nieraz tych, co chcieli nadal walczyć o Polskę, mniej lub bardziej odmiennie, pamiętamy o tym, że istnieć też musi dla których emigracja była stała się miejscem kontynuacji przedwojennych studiów i mitów.

Półmrok sceny rozjaśnia w głębi reprodukcja „Polonii” Jana Styki — wymarzone dla wspomnień w duchu „bogojęzycznymi”.

nażają zupełne wyobcowanie historycznej emigracji, wyobrażając sobie, że stanowią „całą Polskę”, a reprezentowane przez ziemian, fabrykantów, dyktatorów i działaczy. Holubi się tu sanacyjna wizja Polski, mocarstwa od morza do morza, która nastanie po wzajemnym zniszczeniu się na szczytach dwóch odwiecznych wrogów, co zapewni emigrantom powrót na utracone miejsce.

Jakieś niejasne przecucie kaza- im jednak kokietał (jednym w tajemnicy przed drugim) auten- tycznego polskiego chłopca, repre-

juś wtedy nie czuł się bliski swo- lenikom zachowawczych tendencji społecznych i estetycznych. Nie bez kozery konieczne natrąca- szc obraz uchodzący za „knot”.

Młodszy widz pewnie nie zdaje sobie sprawy, że dla przedwojen- nej — liberalnej i lewicowej — polskiej inteligencji humanistycz- nej typowa była zbieżność poste- powych sympatii społecznych i po- litycznych demokratyzmu z za- interesowaniem artystycznym awangar- da. Rozumiano w tych środowis- kach konieczność uwolnienia lite- ratury i sztuki od — siegających

Maciej Prus wypunktowuje z prze- nikliwością i precyzją, stroniąc od pustej szarży. Świetny teatr! Dowcipnie, z kulturą i smakiem przekazuje niuansy znaczeniowe tekstu zespołu wykonawczy i można by tu przepisać całą obsadę. Z ról męskich dwie pierwszoplano- we to Odpowiadające (sceniczny temperament, sprawna technika, brawurowa rola ZBIGNIEWA RIELSKIEGO) i Nowaka (pre- biegły, nieufny, wazowy myśli i słowa ZBIGNIEW JOZEFOWICZ). Wzajemnie różnicowane i konse- quentnie przeprowadzone role ko- bie stworzyły — ALICJA KRAW- CZYKOWA — Kustosz, EWA MI- ROWSKA — Szczęśliwa, ALI- CIA ZOMER — Lilienherzanka i ZOFIA TOMASZEWSKA — Zofia Królińska.

Jest to przedstawienie nietawne w odbiorze, które być może nie zyska powszechnej akceptacji i z innych względów. Nie tak ma- ją przecież część widzów i żyje je- szcze w kręgu tych wyobrażeń i poglądów, co ówczesni mieszkańcy „Hotel de la Poste, Restaurant”. Czy nie ma jeszcze wśród nas takich co uwarpują sobie prawo wyłączo- ności do opinowania — jaka ma być Polska i kto jest „prawdzi- wym” patriotą?...



Na zdjęciu: Ewa Mirowska i Andrzej Głogowski

Foto: Romuald Sakowicz

Stefan Themerson: „Siedziwo”. Adaptacja — Zbigniew Maciak. Reżyseria — Mariel Prus, scenografia — Grzegorz Malecki, mu- zyka — Piotr Hertel, plastyka ruchu — Leszek Czarnota. Pra- premiera polska, 27 marca 1988 r. w Teatrze im. Jaracza w Łodzi.

Mit „całej Polski”

I rzeczywiście rozpoczyna się na- rodowa celebra, w stylu dawniej- szych „żywych obrazów”, którymi aż do pierwszej wojny ludzie z „towarzystwa” pokrzepiali się pa- triotycznie, przetrząsając zasady, by role ważniejszych osobisto- ci historycznych przypadały obywa- telom o wyższej pozycji spo- łeczno-majątkowej. Znamy to z rodzinnych przekazów...

Rzecz dzieje się zresztą w kla- sycystycznej dekoracji, która symbolicznie przemienia hall schro- niska w teatr narodowych dzieł, ale od początku do końca jest w tym gryzący sarkazm i drwina z iskierką współczesności. Odgrywane tu bowiem alegoryczne sceny ob-

zentowanego przez tułacza rodzi- ne Nowaków z dawnego zarobko- wego wychodźstwa. Ten jednak odnosi się nieufnie do prób po- zyskania go dla obcej mu sprawy, czy może tylko chwilowego obla- kawienia. W tym obrazie Polski nie ma bowiem miejsca dla plebe- jusza, przewidziano dla niego tylko rolę widza obserwującego nieznajomą tragedię.

Może się to wydać zaskakujące, że utwór ten wyszedł spod pióra emigracyjnego pisarza, Stefana Themersona, którego początki twór- czości sięgają czasów przedwojen- nych. Wyjechał zresztą z kraju na rok przed wojną w celach artystycznych, ale najwidoczniej

czasu zaborów — funkcji służeb- nych, zwłaszcza wobec konserwa- tywnej postaci patriotyzmu na rzecz prądów uznających suweren- ność formy. Odrzucono w malar- stwie kierunek szkoły historycznej Matejki i kontynuatorów, a co do Styki to bardzo popularny był na- pisany przez Boya-Zelenskiego wierszyk na wieść o zamierzonym przyzobieniu krakowskiego bar- bakanu panoramą grunwaldzką, za- mówioną u Jana i Tadeusza Sty- ków (drwiący refren brzmiał: „Ra- zem z Tadeuszem, moim synem”).

I właśnie ten system wartości społecznych i estetycznych pragnął wskrzesić pensjonariusze schronis- ka dla emigrantów, co reżyser

JERZY KWIECIŃSKI



nia. Myślę nawet, że od czasu do czasu taka przerwa jest dobra — żeby nie znużyć publiczności.

— Po tylu wizytach w naszym kraju być może widzi pani jakieś różnice w sytuacji, piosenkarzy czeskosłowackich i polskich?

— Nie mam zbyt wielu okazji obserwować kto, co i jak robi. Mam wielu przyjaciół, których długo znam, na przykład Maryle Rodowicz, Halinę Frackowiak... Widać tylko to, co dzieje się na

w tym mistrzem?

— Uczylam się intensywnie trzy, cztery lata, a potem to już tylko trening i praktyka.

— Którego miastem w naszym kraju jest pani oczarowana?

— Bardzo piękny jest Kraków. Chętnie przyjeżdżam do Sopotu i w ogóle do wszystkich nadmorskich miejscowości.

— Jak w takim razie, na tie tamtych miejscowości, znajduje pani Łódź?

— Cóż, nie jest najpiękniejszym

— Myślę, że nie. Ja niestety

dzieci jeszcze nie mam, ale nie dlatego, że bym się bała o swoją karierę. Na razie z mężem czeka- my, może coś z tego wyjdzie.

— W takim razie co pani powie o Maryli Rodowicz, która docho- wała się już trójką dzieci?

— No widzi pani, nie przeska- dzała. Myślę, że to normalna, od- ważna dziewczyna. Dziecko zmie- nia człowieka całkowicie. To przecież nie jest pies albo kot. Nie można wtedy oczywiście wyjeżdżać

Z Heleną Vondračkovą

O POLSCE, KARIERZE I DZIECIACH

— Który raz jest pani w Pols- cie?

— Teraz to już trudno policzyć, ale myślę, że co najmniej dwu- dziesiąt. Pierwszy raz przyjechałam do Polski jakieś 15 lat temu.

— Jak sądziła kilkunastu prze- rwa w przyjazdach do Polski była spowodowana naszą nie uregulo- waną sytuacją. Czy nie miała pani obaw, że przez ten czas trochę o pani zapomnieli?

— Nic z tych rzeczy. Wiedziałam i byłam informowana, że w pol- skiej telewizji są programy ze mną jeszcze z poprzednich wizyt, że są u was moje płyty. Do Polskiego Radia, w którym mam wielu zna- jomych przysyłałam swoje nagra-

scenie i dlatego nie mam okazji do porównań.

— Czy trudno jest w Czechosło- wacji zadebiutować i wybić się?

— Myślę, że trudno, dlatego, że u nas jest teraz dużo młodych wy- konawców, którzy chcą się piąć coraz wyżej. Niektórym może się udało, ale zobaczymy co będzie da- lej, bo nie trudno zrobić jeden przebój i być pierwszym, ale u- trzymać się dwadzieścia, trzydzie- ci lat to dopiero sztuka.

— Kto stepuje lepiej od pani?

— Jiri Korn bardzo dobrze ste- puje. W Polsce Andrzej Rosiewicz, w NRD nikt... U nas już nikt wię- cej.

— Nie trzeba ćwiczyć, żeby być

miastem, ale za to ludzie są tu w długie trasy, ale można nagry- wać płyty, dla telewizji, radia. Na pewno można pogodzić dzieci i karierę.

— Czego pani jeszcze brakuje w życiu?

— Tego, o czym teraz mówili- my. A oprócz tego chciałabym ty- lko, żeby ludzie, którzy mnie lubią i są moimi fanami nadal byli mi wierni.

— W takim razie żyć spełnie- nia... ahaj.

Rozmawiał: BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Sa szalenie aktywni. Gdyby byli młodzi byłoby to natural- ne. Ale ich wiek waha się w granicach 58-80 lat! — Ta ak- tywność ich rozbiega, wiele chcą zmieniać, dodawać tak, że czasem demontują program — mówi Marek Grondas, instruktor DK „Energetyk”, prowadzący kabaret starszych „Seniorita”, i- stniejący od 1984 r. — Potrafią nie tylko rozbać publiczność.

„Seniorita” w objeździe

jako że łatwo nawiązują z nią kontakt, ale również sami tra- ktują program jak zabawę. Wykazuje nerw sceniczny — impro- wizują na przedstawieniach nader dowcipnie.

Ich publiczność to osoby w podeszłym wieku. Doskonale zna- ją jej gusty, niepokoją, smutki i radości. Montaż słowno-mu- zyczny „Seniority” ze scenkami satyrycznymi, bazują na pro-

blemach codziennosci. Humor jest dobra odtrutka na samotność i kłopoty podeszłego wieku. Ale ten humor jest trwale za- pisany w mentalności narodowej, a istnieje może tylko dla- tego, że tak nam ciężko...

Do każdej sceny mają toby pełne kostiumów. Przygotowa- ją je we własnym zakresie. Przebiegają się w nie w istic mło- dzieżnym tempie. Kiedy bratni kabaret „Złota Jesień” nie mógł dać swego programu, zastąpili ich z marszu” bo o waszy- stkim dowiedzieli się na 2 godziny przed przedstawieniem.

„Seniorita” istnieje przy Kole Emerytów i Rencistów w świe- tlicy społecznej na Górnie. Zapotrzebowanie na ich występy — a mają już za sobą 7 premier — jest tak duże, że czasami wy- stępują po 2 razy na dzień! To namacalny dowód niesamowitej vitalności. Jest ich czternaścioro. Liderem grupy jest naj- starsze małżeństwo: Helena i Tadeusz Kowalewscy. Przy for- tianie akompaniują im Jerzy Salski, instruktor domu kultury.

KUP

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

by w tym znalezisku nie szcze- gólnego, gdyby nie to, że ciało kapłana nie poddawano było żad- nym zabiegom, jakie np. stosowa- no w starożytnym Egipcie. Po- kryło je przed trzystu laty tylko ko- wałwa subsancji złożonej z naturalnych smół i gliny z kop- ców termalów. Dzięki któremu ze składników mumia zachowała się tak znakomicie w wilgotnym klimacie wietnamskim, trudno dziś powiedzieć. Na to pytanie nie odpowiedziały. Jak dotych- czas, ani badania rentgenowskie ani specjalistyczne badania labo- ratoryjne.

NOWE ŚLADY?

W Związku Radzieckim poja- wily się nowe dokumenty, które być może rzucą nowe światło na miejsce ukrycia Bursztynowej Komnaty zarobowanej przez hit- lerowców z Jekatierinburskiego Pa- lacu. Lenini rezydentem carskiej pod Leningradem. Ofiarodawcą dokumentów jest baron Falz z Lichtensteinu, który kupił je od spadkobierców zamieszkałego pod Hamburgiem ogrodnika Johanna

Georga Steina, tropiącego przez wiele lat ślady tego zabytku.

Dokumenty, które poddano spe- cjalistycznym badaniom wskazu- ją, że skarbu należy szukać na terenie obwodu kaliningradzkiego, a więc dawnego Królewca-Kos- nigsbergu, dokąd Bursztynowa Komnata została przywieziona latem 1942 r. i gdzie w kwietniu 1943 r. widziano ją po raz o- statni.

REPRINT RĘKOPISÓW LEONARDA DA VINCI

Po raz drugi od wynalezienia druku, a po raz pierwszy w na- szym stuleciu, opublikowane zo- stały rękopisy Leonarda da Vin- ci tworzące tzw. Kodeks Francus- ki. Zbiór ten, przechowywany w Mediolanie, wywieziony został przez wojska napoleońskie do Pa- ryzu. Składają się nań wzboga- cone rysunkami notatki Leonar- da da Vinci dotyczące różnych zagadnień m.in. anatomii, astro- nomii, techniki, a nawet sztuki kulinarnej.

NOTOWANIA NA GIELDACH KSIĄŻKOWYCH

Stanisław Rutkiewicz „Ency- klopedia ryb morskich” — 12000 zł; „Pamiętniki żołnierzy Baonu „Zośka” — 2000 zł; Emil Zagadłowicz „Motory” — 800 zł; KTT „Gorący kartofel” — 300 zł (cena nominalna 200 zł); Leonard „Matnia” — 1800 zł; tegoż „Upiór” — 1800 zł; Michał Wołędzki — Akcja VI, V2 — 800 zł; „Popularny atlas świata” — 2500 zł; „Ku- chnia polska” 6000 zł; Stani- sław Mackiewicz „Zielone o- czy” — 600 zł (cena nominalna 420 zł); Tadeusz Siefak „Pusty- nia” — 500 zł (cena nominal- na 300 zł); Alistair MacLean „Tylko dla orłów” — 1000 zł; Stanisława Lewandowska „Pol- ska prasa informacyjno-polity- czna 1939-1945” — 600 zł (cena nominalna 250 zł); Witajki La- riew „W poszukiwaniu przed- ków człowieka” — 1200 zł; „Z mądrości Talmudu” — 2500 zł (cena nominalna 1100 zł).

Fraszki

ROMAN GORZELSKI

MODELKA Z „TELIMENTY”

Od stóp do głowy — Miała listek figowy!

ŁÓDŹ EN VOGUE

Tylko pro forma: Pro reforma...

KRZYKACZ

Zachowujcie ciszę, Kiedy donosicie pisać.

DŁA WPRAWY

Nawet na urlopie Z nudów „dołki kopie”.

NA ZIEMI

Na naszej ziemi Ogrzewanej słońcem Trudno jest czasem Związać koniec z końcem.

W MOSKWI odbył się polsko-radzieckie spotkanie „okrągłego stołu” filmowców — na temat „Kino historyczne — od tematów tabu do jawności”.

Wiele uwagi w dyskusji poświęcono likwidowaniu „białych plam”.

Na czele 11-osobowej delegacji polskiej stał prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich — Janusz Majewski.

DUŻE ZAINTERESOWANIE wzbudziła zapowiedź ukazania się w Związku Radzieckim — na wiosnę przyszłego roku — politycznej biografii Józefa Stalina.

Pracuje nad nią Dimitr Wolkogonow.

Wydawcy z różnych krajów, już teraz, usilnie zabiegają o nabycie praw autorskich.

W STOLICY OBRADOWAŁ (31 III. — 1 IV bm.)

41. Walny Zjazd Związku Artystów Scen Polskich (ZASP). Prezesem został wybrany wybitny twórca teatralny, dyrektor Teatru Polskiego w Warszawie — Kazimierz Dejmek.

INTERESUJĄCY WYWIAD Z JERZYM KOSIŃSKIM,

autorem „Malowanego ptaka”, został opublikowany w ostatnim numerze „Przeglądu Tygodniowego”.

Wśród celów jakie sobie stawia, pisarz m. in. wymienił: „przeciwstawianie się takim zjawiskom, jak chociażby podły stereotyp Polaka-antysemity kolaborującego z Niemcami i odpowiedzialnego za holocaust”.

Jednym z jego marzeń jest przełożenie samemu „Malowanego ptaka” na język polski. „Byłoby to dla mnie — powiedział — najsłodszy w życiu egzamin nie tylko sprawności językowej, ale i mojej prywatnej historii”.

ZBIGNIEW ŚWIECH, krakowski dziennikarz, autor popularnego przed laty cyklu telewizyjnego „Sensacje z przeszłości” — został członkiem rzeczywistym nowojorskiego Klubu Odkrywców (The Explorers Club).

Członkiem Klubu przysługuje prawo do udziału w organizowanych ekspedycjach oraz w wydawanym przez jego prezydenta raz do roku, wykwinym obiedzie w hotelu Waldorf Astoria w Nowym Jorku.

Szkopuł tkwi jednak w tym, że bilet do Stanów Zjednoczonych trzeba samemu opłacić!

Opracował: JAK

— Ależ skąd, Josifie Wissarionowiczu, czy ja mam czas się nudzić? Tuż tuż morze, plaża, w dodatku, patrzę, na biurku leży papier, zatem- perowane ołówki, siadłem do pisania.

— A co piszesz?
— Specjalistyczną pracę z zakresu protetyki.
— Życzę powodzenia.

Obiad i kolację Stalin jadł sam: nie chciałby jeść bez zębów przy wspólnym stole. Ale pracować trzeba. Wieczorem przyszedł do niego Zdanow i Kirow. Siedzieli na werandzie, prze- glądali gazety.

— A więc Hitler jest dożywnym fuhrerem narodu niemieckiego i kanclerzem Rzeszy.

— Tylko patrzeć, jak się ogłosi cesarzem — zaśmiał się Kirow.

— Tego głupstwa nie zrobi — zauważył Zdanow.

— Tak — zgodził się Stalin — nie ma sensu: cesarz było wielu, a dożywnym fuhrerem jest tylko on jeden. Poza tym nie ma dzieci, dynastii nie stworzy... Jego oczy ślizgały się po płaszczyźnie gazety.

— Znowu Zinowjew rozszalał się w artykule, co dzień pisze. Jaka- kolwiek gazetę otworzysz, obowiązkowo trafisz na Zinowjewa, na Kamieniewa, na Radka, Fi- sza, pisa, pisa...

— Nie mają nic do roboty, to piszą — po- wiedział Zdanow.

— Ale co jest w tym ciekawe — ciągnął Stalin — w każdym artykule pochwały dla towarzysza Stalina — że taki, że siaki, że wielki, że genialny, że mądry, prawie że wybitniejszy od Marksa, Engelsa, Lenina. Dia- czego chwała? Czyżby to było możliwe, żeby Zinowjew szczerze wychwalał towarzysza Sta- lina? Nie, to niemożliwe! On nienawdzi to- warzysza Stalina. Znaczący, kłamie, pisze co in- nego niż myśli. Dlaczego kłamie? Przecież do- brze wie, że nikt, w tej liczbie też towarzysze Stalin, nie wierzy mu. Boi się? Kogo się boi, przecież nikt go nie rusza.

— Chce udowodnić, że złożył broń, że do niczego nie pretenduje — rzekł Kirow.

— Przypuśćmy — zgodził się Stalin — wąt- pie, no ale przypuśćmy. Jednak się poniża. A własnego poniżenia nikt nigdy nie zapomina. Wszystko można zapomnieć: krzywdy, obrazy, niesprawiedliwość, ale nikt nie zapomina po- niżenia, to leży w naturze człowieka. Zwie- rzęta atakują się nawzajem, walczą, zabijają się, zjadają, ale się nie poniżają. Tylko ludzie się poniżają. I nikt nie zapomni swojego poniżenia, i nigdy nie przebaczy temu, kto go poniżył. Przeciwnie, zawsze będzie go nienawdził. I im bardziej Zinowjew wychwala Stalina, tym bardziej będzie towarzysza Stalina nienaw- dził. Radek też się wysila, też wychwala, ale Radek to gaduła, człowiek niepoważny, wczor- raj wychwalał Trockiego, dzisiaj Stalina, fu- tro, jak będzie trzeba, będzie wychwalał Hit- lera. Dać mu kanapkę z musztardą — prze- knie. obliże się, jeszcze powie dziękuję. Ale Zinowjew Kamieniew — o, nie, ci mają am- bicje, całe życie celowali w pozycje przywódc- ów i teraz także. Tym bardziej, że ich kom- pania się powiększyła, przybył im Bucharin i Rykow z towarzysztwem.

Kirow wzruszył ramionami.

— Zinowjew i Bucharin — jak związek?

— Siergieju Mironowiczu — miękko powie- dział Zdanow — a przecież Bucharin pchał się do Kamieniewa kuchennymi drzwiami, szukał z nim kontaktu.

Zdanow podobał się Kirowowi, ale jednak sa zagadnienia, które członkowie Biura Poli- tycznego omawiają tylko w swoim gronie. Zdanow nie jest członkiem Biura Politycznego. Stalin specjalnie zainicjował rozmowę przy Zdanowie, żeby pokazać, że nie dostrzega róż- nicy między Kirowem i Zdanowem.

— Widzicie, towarzyszu Zdanow — sucho zaoponował Kirow — to było osiem lat temu, kiedy kierownictwo partyjne jeszcze się nie ustabilizowało, kiedy Zinowjew i Kamieniew pretendowali do władzy. Teraz rozumieją do- brze, że już nie mają szans, pogodzili się ze swoją sytuacją, ze swoją klęską, chociażby i dlatego, że przez wiele lat pokutowali, są skompromitowani i na nie już, jak sądzę, nie liczą.

Zdanow chciał odpowiedzieć. Stalin pow- strzymał go ruchem ręki.

— Politycy zawsze pretendują do władzy. I czym bardziej się poniżają, tym większe na- dzieje włączają z myślą o zemście za swe po- niżenie. Swojego poniżenia nie wybaczą niko- mu, a mnie i tobie w pierwszym rzędzie. Zi- nowjew uważał Leningrad za swoje dziedzic- ne włości, w przeddzień Czternastego Zjazdu organizacja leningradzka głosowała za Zino- wjewem, przeciw partii. A teraz już osiem lat na czele organizacji leningradzkiej stoi towa- rzysz Kirow i organizacja leningradzka idzie za towarzyszem Kirowem. Organizacja lenin- gadzka już nie zna Zinowjewa, zna tylko to- warzysza Kirowa. Czy ci to Zinowjew wyba- czy? Nie, nie wybaczy. I zemści się przy pierwszej okazji.

— Mówicie rzeczy niepojęte — Kirow wzru- szył ramionami. — Nie rozumiem, nie widzę, nie domyślam się, jak, w jaki sposób, czymśi rektoma mają zamiar zemścić się na mnie.

— Ręce się znajdują zawsze — odrzekł Stalin — do takiej sprawy ręce zawsze się znajdują. Tym bardziej znajduje się w Leningradzie, zo- stało tam wiele korzonków po Zinowjewie, nie chcesz ich wyrwać, wierzysz wszystkim, któ- rzy jakoby okazali skruchę i jakoby złożyli broń.

Stalin uporczywie patrzył na Kirowa. Obce, oczy, ospowata twarz. Jednak ślady po ospie szpecą twarz. I zrobiło się nieprzyjemnie. Wy- dawałoby się: co za sprawa — ślady po ospie! Ale jednak nieprzyjemnie! Ospowata twarz Kirowa przypominała mu, że i on ma taką samą.

— Towarzyszu Stalin — twardo powiedział Kirow — w dwudziestym piątym roku orga- nizacja leningradzka głosowała za Zinowjewem. Ale przecież już w dwudziestym szóstym gło- sowała za nami. Za Komitetem Centralnym. To są szeregowi członkowie partii. W dwu- dziestym piątym kierownictwo partyjne od gó- ry do dołu namawiało ich, a jeśli już powie- dzieć wprost, nakazywało im głosować na przywódców leningradzkich, nie głosować — to znaczyło naruszyć dyscyplinę partyjną. Takie są następstwa centralizmu demokratycz- nego: każda organizacja partyjna może chwi- lowo pójść za swoim kierownictwem, błędna droga Szeregowi członkowie partii nie są te- mu winni i karać ich za to nie mamy pra- wa.

— „Szeregowi członkowie partii” — uśmie- czał się Stalin — fili to są członkowie partii, jeżeli sekretarz komitetu dzielnicowego może skierować ich przeciw partii, przeciw jej Ko- mitetowi Centralnemu. Komuniści leningradz- cy nie są tak prości, jak chcesz to nam tutaj przedstawić. Przecież to dziś uważają swoje miasto za kolebkę rewolucji, a sami siebie za awangardę rosyjskiej klasy robotniczej. Poza tym: w Leningradzie zostali nie tylko ci, któ- rzy głosowali w ramach dyscypliny partyjnej, ale także ci, którzy zmuszali do takiego gło- sowania. Też są uważani za skruszonych, ale ich skrucha nie różni się niczym od skruchy Zinowjewa i Kamieniewa, czekają, aż wybij- ie ich godzina, pojmują, że ta godzina może wy- bić przy najbliższym zamęcie w partii, w kraju, w państwie. Wystarczy sprzątnąć mnie, ciebie, dwóch-trzech członków Biura Politycz- nego, jak się zacznie taki zamęt, i nie omiesz- kają tego wykorzystać — to są doświadczeni politycy. I już ani ty, ani ja nie znamy z ich rąk litości. Jeśli się dorwa do władzy, wy- biją nas wszystkich do trzeciego pokolenia. A ty im dowierzasz, popisujesz się wobec nich liberalizmem. Myślisz, że ci powiedzą dzięk- uję? Nie, mój kochany! Przecież spacerujesz po ulicach, w teatrze siedzisz na parterze. To nieostrożne, to bardzo nieostrożne. Czy sam tego nie rozumiesz? Czy Biuro Polityczne po- winno podjąć specjalną uchwałę o twojej o- chronie?

— Proszę nie podejmować żadnych uchwał — pośpiesznie powiedział Kirow — moja o- chrona jest wystarczająca! Pewna.

— To ty tak uważasz — sprzeciwił się Sta- lin — a Biuro Polityczne może mieć na ten

wków, natychmiast wszystko mu było wyba- czone, wszystko zapomniane. Naród interesuje nie przeszłość, działość, ale to, co sobą repre- zentuje teraz, w tym momencie. Wszystko to Zinowjew, Kamieniew, Bucharin świetnie ro- zumieją — to elementarna strategia. Najważ- niejsze dla nich jest uchronienie się, doczeka- nie swojej godziny. W tym są sprytniejsi od Trockiego. Trocki był złym politykiem, szedł przebojem, i jego kadry szły przebojem, zna- my ich wszystkich, wszyscy są pod nadzorem. Zinowjew i Bucharin są sprytniejsi, skapitulo- wali w porę, nie ujawnili swoich kadr, te kadry przycisnęli się i są gotowe wystąpić w każdej chwili. Są liczne, bardzo liczne: wszy- scy ci, których skrzywdziła partia, wszyscy ci, których skrzywdziło państwo. Wielka i groźna siła. No a my ten potencjał ochraniać, strze- żemy go, nie pozwalamy skrzywdzić.

— Macie na myśli Leningrad? — spytał Kirow.

— Tak — szorstko odpowiedział Stalin — mam na myśli Leningrad, jako nie zlamaną ostoję opozycji i towarzysza Kirowa jako człowieka, nie życzącego sobie zniszczenia te- go bastionu.

— To nie tak — zaoponował spokojnie Ki- row — historia partii uczy nas także czego innego. W partii zawsze były różnice zdań w sprawach strategii i taktyki, były spory i dys- kusje. Ale kiedy partia podejmowała decyzję, dyskusje się kończyły, wszelkie opozycje zni- kały i nikt z byłych opozycjonistów nie odci- nał się od partii. Przeciwnie, Lenin uczył nas koleżeńskości, żył z ludźmi, do tych, którzy zblądli w takich czy innych kwes- tiach. Twierdził z całą odpowiedzialnością: za-

kretny KC powinien mieszkać w Moskwie. Przeprowadzisz w Leningradzie likwidację kar- tek, niech leningradzcy zapamiętają cię na tym, niech to będzie twoim, że tak powiem, aktem pożegnania — i przenoś się do Mos- kwy.

Opanowując wybuchającą w nim wściekłość, Kirow spuścił oczy. Aluzja do tego, że pra- gnie popularności, była wyraźna. Wszystko jest jasne: Stalin chce go zabrać z Leningradu, chce go mieć pod bokiem, w Moskwie, chce absolutnego podporządkowania.

— Towarzyszu Stalin — rzekł Kirow — z Le- ningradu proszę mnie nie odwoływać, póki nie zostanie zakończona przebudowa miasta. Ja ją zacząłem, ja chcę ją zakończyć.

Kirow powiedział to tonem świadczącym, że- jest to jego ostateczna decyzja.

Stalin wszystko zrozumiał i spytał spokoj- nie:

— A kiedy ma się zakończyć przebudowa?

— Mam nadzieję, że do końca tej pięciolet- ki.

— No cóż — zaśmiał się Stalin — postaramy się zakończyć pięcioletkę w ciągu czterech lat, żeby jak najszybciej mieć cię w Moskwie. (...)

13.

Do Michaiła Michajłowicza Masłowa przyje- chała żona — Olga Stepanowna. Z Kalinina do Krasnojarska pociągami, statkami po Jeni- seju, potem okazją łódkami w górę Angary przez wiry i porohy. I to wszystko dla trzech dni widzenia się z mężem.

Mila kobieta o niespiesznych ruchach, o ży- czliwym spojrzeniu. Nie widzieli się siedem lat. Mają dwoje dzieci. Gdzie, kiedy, w jakich oko- licościach się pobrali? On był oficer, ona księżową.

Patrząc na nią, Sasza nagle jasno i wyraź- nie ujrzał Michaiła Michajłowicza w młodości, przystojnego, zobaczył u jego boku Olgę Ste- panowną, młodą, pełną nadziei i radości, ich zgrabne figury, twarze, rozjaśnione szczęściem. I tak samo wyraźnie i jasno, z najdrobniejszy- mi detalami, zobaczył ich prawdziwe życie, sprasowane w siedem okropnych lat.

Olga Stepanowna przyjechała rano, łodzią z pocztą, a wieczorem Michaił Michajłowicz za- prosił wszystkich na preferans. Zdziwilo to Saszę, wydawało się, że trzy dni Michaił Mi- chajłowicz i Olga Stepanowna spędzą we dwoje. Oczywiście, nowy człowiek tutaj, zwa- szcza z wolności — to jest wydarzenie, no ale jednak... Tyle lat się nie widzieli i być może, jeszcze drugie tyle się nie zobaczą, a on za- prasza na preferans.

Jeszcze bardziej zdziwilo Saszę rozdrążnienie, z jakim Michaił Michajłowicz rozmawiał z żo- ną. To nawet nie była jego zwykła zgrzyliwość, ale zamierzona, demonstracyjna ordynarność, zimne oczy stawały się wściekle.

Nie grała, siedziała obok męża, zaglądała mu w karty, milczała, ale było widać, że umie grać. I tylko raz po tym, jak Michaił Michaj- łowicz nie zagrał, powiedziała:

— Lepiej było grać bez atutu.

Michaił Michajłowicz szarpnął się.

— Pprro-szszę nie podpowiadać! Sam wiem, jak mam grać.

— Wcale nie podpowiadam, partia jest skoń- czona — odpowiedziała, z łagodnym uśmie- chem, wybuchając mężowi i prosząc wszystkich o przebaczenie dla tego zdeformowanego przez życie charakteru.

Wszyscy poczuli się niezręcznie. Piotr Kuz- micz chrząknął. Wsiewołod Siergiejewicz za- częł rozmowę o czym innym i tylko Sasza ki- piąc gniewem, ale się opanowując, wstał i poprosił o rozpięcie pulki.

Razem z Saszą wyszedł także Wsiewołod Sier- giejewicz. Po drodze Sasza powiedział do nie- go:

— Masłow to bydlę! Kobieta ta pokonała dla niego taką drogę, jest mu wierna, a on rozma- wia z nią w ten sposób!

— Tak, jest w niej tyle samozaparcia — zgodził się Wsiewołod Siergiejewicz. I dodał ze swym dwuznacznym uśmiechem: — Ale czy jest mu wierna, tego nie wiemy.

— Jak teściowa grzeszy, to synowa zawsze ma w podejrzeniu.

— To o mnie? — uśmiechnął się Wsie- wołod Siergiejewicz. — ja wysoko oceniam po- stępowanie Ołgi Stepanowny. Ale niech pan pomyśli o jej życiu tam, w Kalininie. Młoda, piękna, samotna.

— Świńska pan opowiada.

— Jest pan romantykiem, Sasza — bez gnie- wu zaoponował Wsiewołod Siergiejewicz — zresztą, za to pana lubię. W pańskiej naiwno- ci jest coś z bezinteresowności tamtych, pierw- szych... Olga Stepanowna, bez wątpienia, jest typem kobiety ofiarnej, a to najwyższy moral- nie typ kobiety. Ale niech pan nie zapomina, że jest matką dwojga dzieci, musi pracować, a nasz pracodawca nie żałuje kontrrewolucjo- nistów, ich żon i ich dzieci. I tu przychodzi mo- ment zastanowienia, drogi Sasza! Zwłaszcza, kiedy dzieci chcą jeść, przy czym, niech pan zauważy, nie raz dziennie, ale trzy razy dzien- nie. Mój drogi, pan jeszcze nie zna prawdziwe- go życia, pan jeszcze buja w obłokach.

— Są sprawy — powiedział Sasza — na które nie należy się godzić w żadnych okolicz- nościach. I nie ma pan podstaw do twierdze- nia, że Olga Stepanowna dopuściła się jakiej- kolwiek zdrady.

— Nie twierdź tego, ale możliwości takiej nie odrzucam.

— I do tego nie ma pan podstaw. Wiemy je- dno: nie porzuciła Masłowa, nie wyrzekła się go, nie wyszła za innego, pokonała taką drogę, żeby go zobaczyć, a on odnosi do niej po cham- sku.

— W jakim sensie?

— Zinowjewa i Kamieniewa widziałeś tylko na trybunach zjazdów, a ja z nimi beczkę so- li zjadłem, a z Kamieniewem byłem razem na zesłaniu. To łgarze, kłamczuchy, oszuści i fary- zeusze. I ci, którzy stoją za nimi, to też dra- nie, łgarze i faryzeusze. Nie wierz im, są zdolni do wszystkiego. I nienawidzą cię. Na- wiasem mówiąc, jest to jedna z przyczyn, dla których chciałoby się twojego przeniesienia się do Moskwy. Jeśli zamiast ciebie przyjdzie in- ny człowiek i tak samo dobrze będzie sobie radził z Leningradem, to zrozumiesz, że chodź- nie tylko o towarzysza Kirowa, ale chodzi o partię, komuniści leningradzcy nie po prostu idą za towarzyszem Kirowem — idą za partią. I na twojego następcę już nie będą ostrzyć zębów. Jesteś przecież sekretarzem KC, daw- no powinienesz przenieść się do Moskwy, a-

— W jakim sensie?

— Zinowjewa i Kamieniewa widziałeś tylko na trybunach zjazdów, a ja z nimi beczkę so- li zjadłem, a z Kamieniewem byłem razem na zesłaniu. To łgarze, kłamczuchy, oszuści i fary- zeusze. I ci, którzy stoją za nimi, to też dra- nie, łgarze i faryzeusze. Nie wierz im, są zdolni do wszystkiego. I nienawidzą cię. Na- wiasem mówiąc, jest to jedna z przyczyn, dla których chciałoby się twojego przeniesienia się do Moskwy. Jeśli zamiast ciebie przyjdzie in- ny człowiek i tak samo dobrze będzie sobie radził z Leningradem, to zrozumiesz, że chodź- nie tylko o towarzysza Kirowa, ale chodzi o partię, komuniści leningradzcy nie po prostu idą za towarzyszem Kirowem — idą za partią. I na twojego następcę już nie będą ostrzyć zębów. Jesteś przecież sekretarzem KC, daw- no powinienesz przenieść się do Moskwy, a-

— W jakim sensie?

— Zinowjewa i Kamieniewa widziałeś tylko na trybunach zjazdów, a ja z nimi beczkę so- li zjadłem, a z Kamieniewem byłem razem na zesłaniu. To łgarze, kłamczuchy, oszuści i fary- zeusze. I ci, którzy stoją za nimi, to też dra- nie, łgarze i faryzeusze. Nie wierz im, są zdolni do wszystkiego. I nienawidzą cię. Na- wiasem mówiąc, jest to jedna z przyczyn, dla których chciałoby się twojego przeniesienia się do Moskwy. Jeśli zamiast ciebie przyjdzie in- ny człowiek i tak samo dobrze będzie sobie radził z Leningradem, to zrozumiesz, że chodź- nie tylko o towarzysza Kirowa, ale chodzi o partię, komuniści leningradzcy nie po prostu idą za towarzyszem Kirowem — idą za partią. I na twojego następcę już nie będą ostrzyć zębów. Jesteś przecież sekretarzem KC, daw- no powinienesz przenieść się do Moskwy, a-

— W jakim sensie?

— Zinowjewa i Kamieniewa widziałeś tylko na trybunach zjazdów, a ja z nimi beczkę so- li zjadłem, a z Kamieniewem byłem razem na zesłaniu. To łgarze, kłamczuchy, oszuści i fary- zeusze. I ci, którzy stoją za nimi, to też dra- nie, łgarze i faryzeusze. Nie wierz im, są zdolni do wszystkiego. I nienawidzą cię. Na- wiasem mówiąc, jest to jedna z przyczyn, dla których chciałoby się twojego przeniesienia się do Moskwy. Jeśli zamiast ciebie przyjdzie in- ny człowiek i tak samo dobrze będzie sobie radził z Leningradem, to zrozumiesz, że chodź- nie tylko o towarzysza Kirowa, ale chodzi o partię, komuniści leningradzcy nie po prostu idą za towarzyszem Kirowem — idą za partią. I na twojego następcę już nie będą ostrzyć zębów. Jesteś przecież sekretarzem KC, daw- no powinienesz przenieść się do Moskwy, a-

— W jakim sensie?

— Zinowjewa i Kamieniewa widziałeś tylko na trybunach zjazdów, a ja z nimi beczkę so- li zjadłem, a z Kamieniewem byłem razem na zesłaniu. To łgarze, kłamczuchy, oszuści i fary- zeusze. I ci, którzy stoją za nimi, to też dra- nie, łgarze i faryzeusze. Nie wierz im, są zdolni do wszystkiego. I nienawidzą cię. Na- wiasem mówiąc, jest to jedna z przyczyn, dla których chciałoby się twojego przeniesienia się do Moskwy. Jeśli zamiast ciebie przyjdzie in- ny człowiek i tak samo dobrze będzie sobie radził z Leningradem, to zrozumiesz, że chodź- nie tylko o towarzysza Kirowa, ale chodzi o partię, komuniści leningradzcy nie po prostu idą za towarzyszem Kirowem — idą za partią. I na twojego następcę już nie będą ostrzyć zębów. Jesteś przecież sekretarzem KC, daw- no powinienesz przenieść się do Moskwy, a-

— W jakim sensie?

— Zinowjewa i Kamieniewa widziałeś tylko na trybunach zjazdów, a ja z nimi beczkę so- li zjadłem, a z Kamieniewem byłem razem na zesłaniu. To łgarze, kłamczuchy, oszuści i fary- zeusze. I ci, którzy stoją za nimi, to też dra- nie, łgarze i faryzeusze. Nie wierz im, są zdolni do wszystkiego. I nienawidzą cię. Na- wiasem mówiąc, jest to jedna z przyczyn, dla których chciałoby się twojego przeniesienia się do Moskwy. Jeśli zamiast ciebie przyjdzie in- ny człowiek i tak samo dobrze będzie sobie radził z Leningradem, to zrozumiesz, że chodź- nie tylko o towarzysza Kirowa, ale chodzi o partię, komuniści leningradzcy nie po prostu idą za towarzyszem Kirowem — idą za partią. I na twojego następcę już nie będą ostrzyć zębów. Jesteś przecież sekretarzem KC, daw- no powinienesz przenieść się do Moskwy, a-

— W jakim sensie?

— Zinowjewa i Kamieniewa widziałeś tylko na trybunach zjazdów, a ja z nimi beczkę so- li zjadłem, a z Kamieniewem byłem razem na zesłaniu. To łgarze, kłamczuchy, oszuści i fary- zeusze. I ci, którzy stoją za nimi, to też dra- nie, łgarze i faryzeusze. Nie wierz im, są zdolni do wszystkiego. I nienawidzą cię. Na- wiasem mówiąc, jest to jedna z przyczyn, dla których chciałoby się twojego przeniesienia się do Moskwy. Jeśli zamiast ciebie przyjdzie in- ny człowiek i tak samo dobrze będzie sobie radził z Leningradem, to zrozumiesz, że chodź- nie tylko o towarzysza Kirowa, ale chodzi o partię, komuniści leningradzcy nie po prostu idą za towarzyszem Kirowem — idą za partią. I na twojego następcę już nie będą ostrzyć zębów. Jesteś przecież sekretarzem KC, daw- no powinienesz przenieść się do Moskwy, a-

ANATOLIJ RYBAKOW

(43)

Dzieci Arbatu



temat inny pogląd. Istnieją określone zasady ochrony członków Biura Politycznego, ty jeden je naruszasz.

— Jestem w Leningradzie osiem lat — rzekł Kirow — w ciągu tych ośmiu lat nic się nie stało. Nawet cienia takich zamiarów nie było.

— Wczoraj nie było, dzisiaj nie ma, jutro może się zdarzyć — zaoponował Stalin — nic nie jest wieczne, wszystko się kończy. Dojście Hitlera do władzy kardynalnie zmienia sy- tuację. Teraz siły opozycyjne w naszym kraju zyskują oparcie w militarystycznych dążeniach Niemiec. Bez względu na to, że dążenia military- styczne skierowane są przede wszystkim na Zachód. Ale Zachód usiłuje przelać się na nas. Taki zwrot wydarzeń może stworzyć u nas sytuację kryzysową. Kto w pierwszym rzędzie wykorzysta? Siły opozycyjne... Jakie siły opozycyjne mamy u nas w kraju? Monar- chistów? Kadetów? Eserów? Mieniszewików?

Ich nie ma, zostali zmiećni na zawsze, nie są w stanie się odrodzić, naród na zawsze się związał z systemem radzieckim. To znaczy, że jedyne niebezpieczeństwo stanowią siły opozy- cyjne wewnątrz systemu radzieckiego, wew- nątrz partii. Kim są? Trockistami, zinowje- wcami, bucharinowcami. Czy sami oni to rozumieją? Bez względu na to, rozumieją. A na razie manewrują. Ich głównym zadaniem jest u- chronienie się, swoich kadr. Że jest ich mało? Kilka tysięcy osób? A ilu było nas, bolszewi- ków, w siedemnastym roku? Także kilka ty- sięcy osób. Ale wykorzystaliśmy sytuację bez- blednie i zwyciężyliśmy. Jakże mamy podstawy do przypuszczenia, że tacy, jak Zinowjew, Ka- mieniew, Bucharin, nie będą umieli wykorzy- stać sprzyjającej sytuacji, mając za sobą nie- tysiące, lecz dziesiątki tysięcy utajonych stron- ników? Czyż nie popra Zinowjewa wszyscy byli mieniszewicy? Czyż nie popra Bucharina rozkułaczni chłopci, eserzy, kadeci? Będą trak- tować Zinowjewa i Bucharina jak trampolinę, jak postacie tymczasowe, ale w określonej sy- tuacji kryzysowej jedyne możliwe do przyję- cia. Zna ich naród, zna ich partia. A o tym, że się kają i przyznawali do popełnienia błędów, o tym nikt nie wspomni. Przecież ta- kie błędy popełnił Zinowjew i Kamieniew w siedemnastym roku i nic, wszyscy przebaczyli, wszyscy zapomnieli. Pignacie lat walczyli Trocki z Leninem, a jak przeszedł do bolsze-

nych trockistów, zinowjewowców, bucharinow- ców nie ma w organizacji leningradzkiej. Nie- wątpliwie, stykamy się z pojedynczymi przeja- wami antypartyjnych, antyradzieckich nastro- jów, ale pojawiają się w zasadzie w środowis- kach burżuazyjnych i nie mają żadnego zwią- ku z była opozycją. I leningradzcy robotnicy- komuniści, którzy w dwudziestym piątym ro- ku głosowali za Zinowjewem, dawno z Zino- wjewem zerwali i dawno o nim zapomnieli. I represjonować ich po ośmiu latach za to, że w ramach dyscypliny partyjnej głosowali na swoje kierownictwo, nie mogą i nie będą. Je- śli uważacie moją politykę za niestuszną, mo- żecie odwołać mnie z Leningradu, ale, dopóki jestem w Leningradzie, polityki tej nie zmie- nię.

Napięcie, które cały czas odczuwało się w Stalinie, nagle opadło i powiedział spokojnie, prawie obojętnie:

— Partia nie może mieć w każdym mieście swojej partykularnej polityki, partia ma jed- ną politykę dla całego kraju i każdy sekretarz komitetu obwodowego powinien podporządko- wać się tej polityce. Linie wobec zinowjewow- ców rozpatrzmy na Biurze Politycznym. Ale, zanim ją rozpatrzmy, chce, żebyś był ostro- żny, żebyś wziął pod uwagę moje ostrzeżenia, zinowjewowcy się aktywizują. Dysponuję szerszym zakresem informacji niż ty. Zbyt ufa- sz, Siergieju Mironowiczu. Uważaj, żeby zbyt ufać cię nie zawiodła.

— W jakim sensie?

— Zinowjewa i Kamieniewa widziałeś tylko na trybunach zjazdów, a ja z nimi beczkę so- li zjadłem, a z Kamieniewem byłem razem na zesłaniu. To łgarze, kłamczuchy, oszuści i fary- zeusze. I ci, którzy stoją za nimi, to też dra- nie, łgarze i faryzeusze. Nie wierz im, są zdolni do wszystkiego. I nienawidzą cię. Na- wiasem mówiąc, jest to jedna z przyczyn, dla których chciałoby się twojego przeniesienia się do Moskwy. Jeśli zamiast ciebie przyjdzie in- ny człowiek i tak samo dobrze będzie sobie radził z Leningradem, to zrozumiesz, że chodź- nie tylko o towarzysza Kirowa, ale chodzi o partię, komuniści leningradzcy nie po prostu idą za towarzyszem Kirowem — idą za partią. I na twojego następcę już nie będą ostrzyć zębów. Jesteś przecież sekretarzem KC, daw- no powinienesz przenieść się do Moskwy, a-

W słoneczne dni spacerowaliśmy z Milczkiem wzdłuż torów, chodziliśmy po rozgrzanych słońcem podkładach, a ostre kamyki raniły boleśnie nasze bosy stopy. Czasami, jeżeli koło torów bawili się dzieci z pobliskich osad, urządzaliśmy dla nich z Milczkiem przedstawienie. Na kilka minut przed nadejściem pociągu kładłem się na torach twarzą do ziemi, z rękami splecionymi nad głową, przypłaszczając ciało do podkładów ze wszystkich sił. Czekaliśmy cierpliwie, podczas gdy Milczek gromadził widownię. Gdy pociąg był już blisko, słyszałem i czułem dudniący ryk kół biegnących po torach, aż w końcu zaczynałem drżeć wraz z nim. Kiedy lokomotywa znajdowała się już niemal nad moją głową, jeszcze bardziej rozplaszczając się pomiędzy szynami, i starałem się o niczym nie myśleć. Owiewało mnie gorące tchnienie paleniska, i olbrzymi parowóz wściekle przetaczał się tuż ponad moim grzbietem. Potem słychać było rytmiczne grzechotanie długiego szeregu wagonów, a ja czekałem, aż przejeżdżą ostatni. Przypominałem sobie podobne zabawy na wsi. Zdarzyło się kiedyś, że pewien maszynista, przejeżdżając akurat nad leżącym na torach chłopcem, wypuścił z paleniska płonące popioły. Kiedy pociąg przejechał, okazało się, że chłopiec nie żyje. Plecy i głowę miał spalane niczym zwęglony ziemniak. Kilku chłopców, będących świadkami tej sceny, twierdziło, że palacz wychylił się przez okno, zobaczył leżącego chłopaka i później celowo wypuścił na niego rozżarzone węgle. Innym razem dłuższe niż zazwyczaj sprężki zwisające luźno z tyłu ostatniego wagonu strzaskwały głowę chłopcu, leżącemu pomiędzy szynami. Jego wgnieciona czaszka wyglądała jak zmiażdżona dynia.

Pomimo tych ponurych wspomnień było coś niezwykle kuszącego w leżeniu pomiędzy szynami i oczekiwaniami na przejazd pociągu. Tuż nad głową. W chwilach dzielących przejazd lokomotywy od przejazdu ostatniego wagonu czułem w sobie życie tak czyste jak mleko, starannie przefiltrowane przez kawałek płótna. W tym krótkim czasie, kiedy nad ciałem człowieka huczą pedzące wagony, nie liczy się nic oprócz faktu własnego istnienia. Zapominałem wtedy o wszystkim: o sierocińcu, o Gawrylu, o Milczku, o tym, że byłem niemowa. Na dni swoich doznań odnajdywałem ogromną radość z tego, iż pozostawałem nietknięty i nie ponosiłem na ciele żadnego szwanku.

Gdy pociąg już przejechał, unosiłem się z ziemi na drżących rękach i miękkich nogach i rozglądałem się wokół z zadowoleniem wiekszym niż to, jakie odczuwałem kiedykolwiek po dokonaniu najokrutniejszej nawet zemsty na którymś z moich wrogów.

Próbowałem zachować na przyszłość to uczucie, uczucie bycia żywym. Sądziłem, że może mi się przydać w chwilach strachu i bólu. W porównaniu ze strachem, ogarniającym mnie kiedy czekałem na nadejście pociągu, strach pływający z każdego innego źródła wydawał się zupełną białostką.

Schodząc z nasypu udając obojętność i znużenie. Pierwszy podchodził do mnie Milczek, z opiekuńczo, choć wyszukiwanie niezainteresowania miną, i pomagał oczyścić mi ubranie z grudek żwiru i drzazg. Powoli udało mi się opanować drżenie rąk, nóg i kącików spierzchniętych warg. Pozostałe dzieci stały w kółko, przyglądając mi się z podziwem.

Potem wracałem wraz z Milczkiem do sierocińca. Byłem dumny, i wiedziałem, że także Milczek jest ze mnie dumny. Żaden z chłopców nie ośmieliłby się dokonać tego, czego ja dokonałem. Z czasem przestali mi dokuczać. Wiedziałem jednak, że muszę powtarzać swoje przedstawienie co kilka dni: w przeciwnym wypadku zawsze znalazłby się jakiś sceptyk, który nie uwierzyłby w mój wysiłek i otwarcie zakwestionowałby moją odwagę. Dlatego przychodziłem do sierocińca co kilka dni, i czekałem na grzmiący nadjeżdżający pociąg.

Spędzałem z Milczkiem sporo czasu na torach kolejowych. Przypatrywałem się przejeżdżającym pociągom, i czasami wskakiwałem na stopnie któregoś z ostatnich wagonów; wtedy pociąg zwałniał na przejeździe, zeskakiwałem.

Przejazd znajdował się w odległości kilku mil od miasta. Dawno temu, przypuszczalnie jeszcze przed wojną, rozpoczęto budowę bocznicy, której nigdy nie ukończono. Zarządca zwrotnice zarosły mchem, ponieważ nigdy nie były używane. Nie dookończona bocznica urwała się kilkaset jardów dalej na krańcu występu skalnego, z którego planowano kiedyś przerzucić most. Kilkakrotnie badaliśmy z Milczkiem zwrotnice, próbując poruszyć dzwignię, ale skodorodowy mechanizm ani drgnął.

Któregoś dnia zobaczyliśmy w sierocińcu, jak ślusarz otworzył zablokowany zamek po prostu amarując go olejem. Następnego ranka Milczek skradł z kuchni butelkę oleju, a wieczorem polaliśmy nim obficie kozyka zwrotnice. Odczekaliśmy trochę, aby olej przeniknął we wszystkie zakamarki urządzenia, a potem całym ciężarem uwiesiliśmy się na dzwigni. W środku coś zaskrzypiało, poczuliśmy szarpnięcie, i dzwignia poruszyła się, zmieniając ze zgrzytem położenie zwrotnicy. Wystraszeni tym niespodziewanym sukcesem szybko przestawiliśmy dzwignię z powrotem.

Od tego czasu Milczek i ja wymienialiśmy porozumiewawcze spojrzenia, kiedy tylko zdarzyło się nam przechodzić koło rozwinięcia. To była nasza wspólna tajemnica. Gdy siedziałem w cieniu drzewa i patrzyłem na wylaniający się zza horyzontu pociąg, ogarniało mnie zawsze uczucie niezmierniejszej władzy. Życie tych ludzi w pociągu znajdowało się w moich rękach. Wystarczyło tylko zbliżyć się do przesuwanego dzwignię i przestawić zwrotnice, by posłać pociąg w przepaść, do płynącej spokojnie w dół rzeczki. Wystarczyło tylko jedno pchnięcie dzwignię...

Przypomniałem sobie pociąg wiozący aresztowanych do krematoriów i komórek gazowych. Ludzie, którzy wymyślił i zorganizował to wszystko, prawdopodobnie również posiadali podobne poczucie nieograniczonej władzy nad swymi zdezorientowanymi ofiarami. Ci ludzie mieli w swych rękach los milionów osób, których twarze, nazwiska i zawody nawet nie znali, ale którym mogli pozwolić żyć lub też mogli zamienić ich w drobniutką sadzę rozproszoną na wietrze, wedle swej woli. Musieli tylko wydać odpowiednie rozkazy, by w niezliczonych miastach i wsiach specjalnie wyszkolone oddziały wojska i policji rozpoczęły aresztowania ludzi,

Publikujemy ostatni fragment powieści Jerzego Kosinińskiego „Malowany ptak”. Jest to fragment rozdziału 18 i 19. Ponieważ opublikowany pod koniec roku 1987 fragment tej powieści wywołał sprzeczną opinię Czytelników „Odgłosy”, postanowiliśmy przedstawić inne fragmenty powieści, która zresztą w całości — po raz pierwszy po polsku — ukazuje się nakładem „Czytelnika”. Chcielibyśmy, aby nasi Czytelnicy, nim sięgną po książkę, mieli choć w części wyrobiony na nią pogląd. Pamiętajmy przecież o tym, że zawsze, aby sądzić należy wiedzieć.

JERZY KOSINIŃSKI

Malowany ptak



Rys. Janusz Szymański-Glanc

przewożonych później do gett i obozów śmierci. Mieli moc decydowania, czy przesunąć tysiące zwrotnic i skierować pociąg na tory prowadzące ku życiu lub zagładzie.

Moc decydować o losie wielu ludzi, których się w ogóle nie zna, to było wspaniałe uczucie. Nie byłem pewny, czy przyjemność płynąca z tej świadomości zależeła jedynie od samego poczucia władzy, czy też od możliwości jej wykorzystania.

Kilka tygodni później poszliśmy z Milczkiem na miejscowy targ, gdzie raz na tydzień zjeżdżali się chłopcy z okolicznych wsi, by sprzedać swoje produkty rolne i wyroby rzemieślnicze. Zwykle udawało się nam wydebić jabłko lub dwa, pęczek marchwi czy nawet kubek śmietany w zamian za uśmiechy, jakimi hojnie obdarzaliśmy hoże chłopki.

Targ roił się od ludzi. Rolnicy głośno zachwalali swoje towary, kobiety, przymierzając kolorowe spódnice i bluzki, ryczały jaskółki, a pod nogami kupujących paletały się kwiczące świni.

Przyglądałem się lśnącemu rowerowi jakiegoś milicjanta i wpadłem na wysoki stół, na którym ustawione były rozmaite produkty mleczne. Stół przewrócił się, mleko, śmietana i masłałka powylewały się z wiader i kubków. Nim zdolałem uciec, purpurowy z wściekłości postawny chłop mocno uderzył mnie pleścią w twarz. Upadłem, wypluwając trzy zęby wraz z krwią, która rzuciła mi się ustami. Mężczyzna chwycił mnie za kark jak królika i bił mnie dalej, dopóki jego koszula nie pokryła się krwią. Potem odpedził gromadzący się wokół nas tłumek gapiów i wsadził mnie do pustej beczki po kiszzonej kapuście. Beczkę potoczył kopniakiem na pobliskie wysypisko śmieci.

Przez chwilę nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Słyszałem śmiech chłopów; kręciło mi się w głowie od bicia, poza tym toczyłem się przecież w beczce. Zakrzuszyłem się krwią; poczułem, że puchnie mi twarz.

Nagle ujrzałem Milczka. Był blady, dygotał, kiedy próbował wydobyć mnie z beczki. Chłopi, którzy nazywali mnie cygańskim przybłądą, wysmiewali się z wysiłków Milczka. Obawiając się nowych napaści, Milczek potoczył beczkę w kierunku niedalekiej fontanny. Pobiegło za nim kilku wiejskich wyrostków, którzy próbowali podstawić mu nogę, i odebrał beczkę. Milczek ogarniał się od nich jakimś kijem, aż wreszcie dotarł do fontanny.

Mokry od wody i krwi, pokaleczony drzazgami, tkwiącymi w moich dloniach i plecach, w końcu wydostałem się z beczki. Wsparły na ramieniu Milorka odchodziłem kulejąc. Wróciłem do sierocińca całkiem obolały.

Lekarz opatrzył mi usta i policzek. Milczek czekał na mnie za drzwiami. Kiedy lekarz poszedł, Milczek długo przyglądał się mojej okaleczonej twarzy.

Dwa tygodnie później zbudził mnie o świcie. Pokryty był pyłem, koszula przykleiła mu się do spoczonego ciała. Zrozumiałem, że musiał spędzić całą noc poza sierocińcem. Milczek pokazał mi, abym poszedł za nim. Ubrałem się szybko i za chwilę byliśmy już na dworze. Nikt nie zauważył, jak wychodziliśmy.

Milczek zabrał mnie do opuszczonej chaty, położonej w pobliżu przejazdu kolejowego, tam, gdzie naoliwiliśmy zwrotnicę. Wdrapał się na dach. Milczek zapalił znalezione goździki pod drodze papierosa i na migi pokazał mi, że musimy czekać. Zupenie nie wiedziałem, o co mu chodzi, ale nie miałem przecież nic innego do roboty.

Rozpoczął się właśnie wschód słońca. Z pokrytego papą dachu parowała rosa, a spod rynn zaczęły wypęczać na świat brązowe glisty.

Dobiegł nas gwizd parowozu. Milczek resztę dnia w rękę wskazał nadejście pociągu. Patrzyłem, jak wylania się z odległej mgiełki i powoli zbliża się ku nam. Dziś był dzień targowy i wielu chłopów jechało właśnie tym pociągiem, który przejeżdżał przez większość okolicznych wiosek jeszcze przed świtem. Wagony były wypełnione ludźmi. Z okien wysta-

wały koszyki, grupki pasażerów wisiały nawet na stopniach. Milczek przysunął się bliżej do mnie. Pocił się, miał wilgotne ręce. Od czasu do czasu obliżywał spierzchnięte usta. Przyglądał się włosy. Uważnie wpatrywał się w pociąg, i nagle wydał mi się o wiele starszy.

Pociąg zbliżał się już do przejazdu. Stłoczeni chłopcy wychylali się z okien, ich jasne włosy powiewały na wietrze. Milczek ścisnął moje ramie tak mocno, że aż podskoczyłem. W tej samej chwili lokomotywa skręciła gwałtownie, jak gdyby porwana jakąś niewidzialną siłą.

Jedynie dwa pierwsze wagony posłusznie potoczyły się w ślad za parowozem. Pozostałe zaczęły najpierw dziwnie podskakiwać, a potem nicozym rozbrzykane konie wspiąć się na swoje grzbiety, staczając się jednocześnie z nasypu. Upadek nastąpił wraz z przeraźliwym chrobotem i zgrzytem. W niebo wyrzuciła chmura pyłu, przesłaniając wszystko. Z dołu słychać było jęki i krzyki.

Byłem całkiem oszołomiony i dygotałem jak uderzony kamieniem drut telefoniczny. Milczek oklapł zupełnie. Przez jakiś czas spazmatycznie ścisnął dłońmi swoje kolana, patrząc na opadający z wolna pył. Później odwrócił się i runął w kierunku schodów, podciągając mnie z sobą. Wróciliśmy szybko do sierocińca, starannie omijając po drodze tłumy ludzi, spieszących na miejsce wypadku. W całej okolicy rozlegały się dzwonki karatek.

W sierocińcu wszyscy jeszcze spali. Zanim wszedłem do sali śpiącej, uważnie przyjrzałem się Milczkowi. Na jego twarzy nie było widać napięcia. Spojrzał na mnie, uśmiechając się łagodnie. Gdyby nie bandaże, zakrywające mi usta i twarz, ja również uśmiechnąłbym się do Milczka.

Przez kilka następnych dni wszyscy w szkole mówili tylko o katastrofie. Obwiedzione czarną krechą gazety podawały nazwiska ofiar; milicja poszukiwała sabotażystów politycznych, podejrzanych na podstawie poprzednio popełnionych przestępstw. Na wozach dźwigił unosiły sześcienne z sobą i dziwnie powykrywane wagony.

W następny dzień targowy Milczek pobiegł ze mną na rynek. Przepchnęliśmy się przez tłum. Mnóstwo straganów stało pustych, a kartki z czarnymi krzyżami informowały ludność o śmierci właścicieli. Milczek spojrział na klepsydry i pokazał mi, że jest zadowolony. Poszliśmy tam, gdzie stał stragan mojego oprawcy.

Spojrzałem przed siebie. Ujrzałem znajomy kształt straganu, stały na nim kubki mleka i śmietany, kostki masła owinięte w płótno, leżały jakieś owoce. Z tyłu, jak w teatryku kukielkowym, wyskoczyła głowa mężczyzny, który wybił mi zęby i wepchnął mnie do beczki.

Popatrzyłem z bólem na Milczka, który z niedowierzaniem wpatrywał się we właściciela straganu. Kiedy napotkał mój wzrok, chwycił mnie za rękę i pośpiesznie opuściliśmy plac targowy. W chwili, gdy doszliśmy do drogi, Milczek padł na trawę i zaczął krzyczeć jak w okropnych meczarniach, choć ziemia tłumila jego słowa. To był jedyny raz, kiedy usłyszałem jego głos.

ROZDZIAŁ 19

Wczesne rano wywołał mnie któryś z nauczycieli. Zostałem wezwany do gabinetu dyrektorki. Z początku myślałem, że są jakieś wiadomości od Gawryli, ale już po drodze zaczęły ogarniać mnie wątpliwości.

Dyrektorka oczekiwała na mnie w swym gabinecie wraz z tym członkiem Komisji, który twierdził, że znał moich rodziców sprzed wojny. Oboje przywitani mnie wylewnie i poprosili, żebym usiadł. Zauważyłem, że byli trochę zdenerwowani, choć usiłowali to ukryć. Rozszalałem się wokół niespokojnie, i usłyszałem jakieś głosy dobiegające z przyległego pokoju. Członek Komisji wszedł do tego pokoju i rozmawiał tam z kimś. Potem szeroko otworzył

drzwi. W pokoju stał mężczyzna i jakaś kobieta.

Wydawali mi się jakby znajomi, słyszałem bicie swego serca pod gwiazdą na mundurze. Przybrałem obojętną postawę, i badawczo przyjrzałem się ich twarzom. Podobieństwo było uderzające; tych dwoje to mogli być moi rodzice. Chwyciłem się za włosy, myśli przemkły mi przez głowę jak rykoszetujące kule. Moi rodzice... Nie wiedziałem, co robić; przyznać, że ich poznałem, czy udawać że nie?

Podeszli bliżej. Kobieta pochyliła się nade mną. Jej twarz nagle wykrzywiła się od płaczu. Mężczyzna, nerwowo poprawiając binokle tkwiące na spocznym nosie, podał ramię kobiecie. On również szlochał, opanował się jednak szybko i zwrócił się do mnie. Mówił po rosyjsku i spostrzegłem, że jego mowa była równie płynna i piękna, jak mowa Gawryli. Poprosił mnie, abym rozpiął mundur; na piersi po lewej stronie powinno być zdjęcie.

Wiedziałem, że mam to zdjęcie. Wahałem się, zastanawiając się, czy mam je odkryć. Jeśli to zrobię, wszystko będzie stracone; nie będzie żadnych wątpliwości, że jestem ich synem. Myślałem nad tym przez kilka minut, ale zrobiło mi się żal placzącej kobiety. Powoli rozpiąłem guziki munduru.

Nie było wyjścia z tej sytuacji, jakby na to nie spojrzeli. Rodzice, jak często powtarzał mi Gawryla, mieli prawo do swoich dzieci. Nie byłem jeszcze dorosły: miałem zaledwie dwanaście lat. Nawet jeśli nie chcieli, to mieli obowiązek zabrać mnie stąd.

Popatrzyłem na nich znowu. Kobieta uśmiechnęła się do mnie zza rozmazanego przez łzy pudru na jej twarzy. Mężczyzna nerwowo zatarł ręce. Nie wyglądali na ludzi, którzy mogliby mnie bić. Wręcz przeciwnie, sprawiali wrażenie wstydliwych i chorowitych.

Mój mundur był już rozpięty i wyraźnie widać było zdjęcie. Pochylił się nade mną płacząc, całował i obejmowali mnie. Znowu byłem niezdeterminowany. Wiedziałem, że w każdej chwili mogłbym uciec, wskoczyć do któregoś z zatłoczonych pociągów i jechać tak daleko, że nikt by mnie nie znalazł. Ale ja chciałem, żeby odszukał mnie Gawryla, i dlatego nie postąpiłbym rozważnie uciekając. Wiedziałem, że wracając do rodziców musiałem rozstać się z marzeniami o karierze wielkiego wynalazcy, twórcy urządzenia do zmieniania koloru ludzkich włosów, oczu, skóry, musiałem rozstać się z marzeniami o pracy na ziemi Gawryli i Mitki, gdzie „dzisiaj” było już „jutro”.

Mój świat skurczył się do rozmiarów strychu w chłopskiej szopie. Człowiek zawsze ryzykował, że wpadnie w szpony tych, którzy go nie nawiądzają i pragną go przesładować, albo w ramiona tych, którzy go kochają i będą go bronić. Nie umiałem tak skwapliwie przyzwyczaić się do myśli, że nagle stanę się czymś prawdziwym synem, że ktoś będzie mnie pieścił, że będzie się mną opiekował, że będę musiał być posłusznym nie dlatego, że ci ludzie są silniejsi i mogą mnie skrzywdzić, ale dlatego, że są moimi rodzicami i posiadają prawa, których nikt nie mógł ich pozbawić.

Naturalnie rodzice mogli się na coś przydać małemu dziecku. Ale w moim wieku chłopiec nie powinien być już niczym skrepowany. Powinien sam wskazać ludzi, których pragnął naśladować i od których chciał się uczyć. A jednak nie mogłem zdecydować się na ucieczkę. Patrzyłem na zapłakaną twarz kobiety, która była moją matką, na drżącego mężczyznę, który był moim ojcem, nie byli pewni, czy powinni pogłodzić mnie po głowie, czy poklepać po ramieniu, i jakaś wewnętrzna siła powstrzymywała mnie i zabraniała mi odlecieć. Poczulem się nagle jak malowany ptak Lékha, którego jakaś nieznaną moc przyłączała do ptaków należących do jego gatunku.

Matka została ze mną sama w pokoju; mój ojciec wyszedł zalałabym wszystkie formalności. Matka mówiła, że będę szczęśliwy z nią i z ojcem, że będę mógł robić wszystko, na co będę miał ochotę. Usłyszałam mój nowy mundur, dokładnie taki sam jak ten, który mam na sobie.

Kiedy słuchałem tego wszystkiego, przypomniałem sobie zajaka, którego Makar schwytał kiedyś w pułapkę. Był to piękny, duży okaz. Czuło się w nim pech ku wolności, chciał na polach i łąkach wykonywać potężne susy, wyrwać koziołki, rzucać się do błyskawicznych ucieczek. Zamknęły w klatce szalał, tupał, tłukł się o prety. Po kilku dniach Makar, wściekły z powodu niesforności zwierzęcia, narzucił na niego duży kawałek brezentu. Zajaka szamotał się i walczył, wreszcie dał za wygraną. Po jakimś czasie oswoił się zupełnie i jadł mi z ręki. Któregoś dnia Makar upił się i zostawił otwarte drzwi od klatki. Zajaka wyskoczył i ruszył w kierunku łąki. Sądziłem, że jednym ogromnym suszem zanurzy się w wysokiej trawie i więcej go już nie zobaczymy. Ale on zdawał się smakować swoją wolność i tylko przysiadł, stawiając uszy. Z odległych pól i lasów dobiegały dźwięki syrenał i zrozumiałem tylko dla niego, wonie i aromaty, która tylko on mógł wyczuć i ocenić. To wszystko należało do niego; porzucił klatkę.

Nagle zaszło w nim jakaś zmiana. Czujne uszy opadły, zając oklapł jakoś i skurczył się. Raz skoczył i postawił wazy, ale nie uciekał. Gwizdałem głośno w nadziei, że przywiodę go do opamiętania, że uprzytomnię mu, iż jest wolny. Odwrócił się tylko, i jak gdyby nagle postarzały i zgrzybiały, ospale powlokł się w kierunku klatki. Po drodze zatrzymał się na chwilę, stanął słupka, i raz jeszcze postawił uszy i popatrzył za siebie; potem minął przyglądając mu się króliki i wskoczył do klatki. Zamknąłem drzwiczki, choć nie było to konieczne. On nosił teraz klatkę w sobie; krepawała jego móżg i serce i paraliżowała mu mięśnie. Wolność, która odróżniała go od reszty tych zrzęganowanych, sennych królików, opuściła go nicozym pędzony wiatrem zapach zmiażdżonego, wysuszonego kwiatu konicyzny.

Wrócił mój ojciec. On i matka obejmowali mnie, przyglądali mi się i wymieniali jakieś uwagi na mój temat. Nadszedł czas rozstania z sierocińcem. Poszliśmy pożegnać się z Milczkiem. Popatrzył podejrzliwie na moich rodziców, potrząsnął głową, i nie chciał się z nimi przywitać.

Przełożył:
MACIEJ ŚWIERKOCKI

Gieorgij Wasilewicz Cziczierin (1872–1936) był komisarzem ludowym (ministrem) spraw zagranicznych w najtrudniejszych latach kształtowania się państwa radzieckiego. Zajmował to stanowisko przez 12 lat. Zadzierał się z wieloma wielkimi politykami, a został zawodowym rewolucjonistą. Jednocześnie był wspaniałym pianistą, który przez całe życie zachował szczególną miłość do Wolfganga Amadeusza Mozarta i u schyłku swych dni napisał o nim wspaniałą rozprawę.

Utalentowany dyplomata

10 kwietnia 1922 roku w Genewie, w pałacu San Giorgio rozpoczęła się międzynarodowa konferencja. Przedstawiciele 29 państw z niecierpliwością oczekują wystąpienia przewodniczącego delegacji radzieckiej. Właśnie przed chwilą zażądali od rewolucyjnej Rosji zwrotu znacjonalizowanej po Rewolucji Październikowej zagranicznej własności, spłaty przedwojennych i wojennych długów rządu carskiego, długów burżuazyjnego Rządu Tymczasowego i innych kontrrewolucyjnych rządów oraz ich miejscowych organów — w sumie 18,5 miliarda rubli. Co więcej — wysunęli sprawę udzielenia cudzoziemcom w Rosji Radzieckiej praw eksterytorialności, tzn. ustanowienia takich warunków, jakie zazwyczaj narzucało państwu kolonialnemu.

Ale nie na próżno Georgij W. Cziczierin spędził wiele bezsennych nocy, przygotowując się do tej konferencji. W odpowiedzi delegacja radziecka wysunęła swoje kontropropozycje, poparte faktami nie do obalenia. Zachodnim mocarstwom przedstawiono rachunek za straty, spowodowane zagraniczną interwencją — 39 miliardów rubli. Jednocześnie komisarz ludowy powiedział:

Pozostając na stanowisku zasad komunistów, delegacja rosyjska uważa, że w obecnej, historycznej epoce, umożliwiającej równoległe istnienie starego i rodzącego się nowego ustroju społecznego,

mam rodzinę, nie ma mi kto przygotować kawy z tego owsa i ja go po prostu jem”.

A oto opowieść pracownika Ludowego Komisarzatu Spraw Zagranicznych, A. G. Glebova:

„W sierpniu 1921 roku przyniosłem zamówione przez Cziczierina dokumenty do jego gabinetu... Rozmawiał przez telefon głośno i ze wzburzeniem, siedząc w swoim zwykłym, domowym ubraniu — w samej kamizelce, z rudym szalikiem na szyi. Tworzył w czerwonych plamach, spojrzenie krótkowzrocznych, wylupiających, pionych oczu bez okularów, przemknęło po mnie, nie zauważył mnie. Rozmowa dotyczyła kaszy mian...”

— Nie, Włodzimierz Iljicz, nie! Proszę nie nalegać! Kategoriecznie proszę! — Wadliwie wymawiał, tak jak i Lenin „r”, „l”. — Stracił na siebie cały kilogram kaszy mian na zasadzie przywileju — nie, nie mogę sobie na to pozwolić. Jest to sprzeczne z moimi przekonaniami! Włodzimierz Iljicz, katar żołądka mam nie ja jeden. Niemowleża pozostają bez kaszy mian. Nie, nie! I proszę mnie nie namawiać. Znacnie sytuację nie gorzej, a lepiej ode mnie...”

Wyszedłem cicho, nie zauważony w końcu przez niego, położony przyniesioną teczką na stole...”

Jego druga pasja

Oprócz rewolucji, Georgij Cziczierin miał jeszcze jedną pasję — muzykę. Od młodości był wspaniałym pianistą, posiadającym znakomitą pamięć muzyczną. Cziczierin z pozazdrościł godną łatwością wykonywał najtrudniejsze utwory. Lubił zwłaszcza dzieła Mozarta, który stał się dla niego problemem piękna, najwyższej prostoty i prawdy w sztuce.

Jednak Georgij Cziczierin zupełnie nie miał czasu na muzykę. Wspominając lata emigracji, I. M. Majski pisze: „Kiedyś, 1 maja 1916 roku duża grupa emigrantów, którzy zebrał się w murach Klubu Komunistycznego (w Londynie —

Miał dwie pasje: rewolucję i muzykę Wolfganga Amadeusza Mozarta.

Ludowy komisarz Georgij W. Cziczierin

NIKOLAJ ŻYLCOW

współpraca gospodarcza między państwami, reprezentującymi te dwa systemy jest imperatywem, niezbędnym dla powszechnej odbudowy gospodarczej.

Tak oto, z trybunu genueńskiej konferencji po raz pierwszy w historii stosunków międzynarodowych zaprezentowano leninowskie idee pokojowego współistnienia państw o różnych systemach własności. Delegacja radziecka oświadczyła następnie, że zamierza również zaproponować powszechne zmniejszenie zbrojeń.

Georgij W. Cziczierin przemawiał w języku francuskim. Już choćby tego nie spodziewało się wielu spośród siedzących na sali: bolszewik, a zna świetnie francuski. Ale przed rozpoczęciem konferencji Georgij Cziczierin dowiedział się, że szef delegacji angielskiej nie włada tym językiem. I wówczas zdecydował się na krok, nie przewidziany żadnymi przepisami proceduralnymi, który jednak od razu przyciągnął do niego jeszcze większą uwagę: powtórzył swoje wystąpienie słowo w słowo dla Lloyd George’a w równie nieskazitelnej angielszczyźnie.

Pierwszy dzień prac konferencji przyniósł Georgijowi Cziczierinowi niebywałą popularność. Na przyjęciach zawsze otaczał go taki tłum, że trudno się było do niego przedostać. Cziczierin zadziwił wszystkich swoją erudycją. Z ekonomistami chętnie i długo dyskutował na temat ekonomii, z historykami — o historii, a ze smakoszami rozprawiał o subtelnościach kuchni i win.

Wiele plotek wśród genueńskich wyższych sfer spowodowało publikację, wydane przez króla włoskiego, Wiktora Emanuela, na pokładzie pancernika „Dante Alighieri”. Król pośmiał się do Georgija Cziczierina i z nieudawanym zainteresowaniem wdał się z nim w długą rozmowę, zapominając o dyplomatach z innych krajów.

W poszukiwaniu wielkiego celu

W tamtych latach w prasie zachodniej pojawiło się немало artykułów na temat osobowości Georgija Cziczierina. Wyrażano zdziwienie, że on, potomek starego arystokratycznego rosyjskiego rodu, którego początki sięgają XV stulecia, poświęcił się obaleniu ustroju, który na przestrzeni wieków umacniał jego rodzinę. Odpowiedź na to zaskoczenie łatwo znaleźć w jego listach do krewnych.

Jeszcze w 1894 roku, będąc dwudziestodwuletnim studentem uniwersytetu w Sankt-Petersburgu pisał do swojego wujka, znanego profesora Uniwersytetu Moskiewskiego, Borysa Nikolajewicza Cziczierina:

„Zbyt gorąco pragnę czegoś istotnego w życiu, prawdziwego, wielkiego celu, dla którego gotów byłbym poświęcić wszystko...”

W innym liście do żony Borysa Nikolajewicza, w listopadzie 1907 roku Georgij Cziczierin oznajmiał kategorycznie:

„Z poprzeciem środowiskiem zerwałem całkowicie. Gorąco kochany proletariacie, mili, mili, drodzy towarzysze, członkowie wielkiej jednej gromady — oto moi bliscy”.

Jaki był?

Znany radziecki dyplomata I. M. Majski, bardzo dobrze znający Georgija Cziczierina w okresie wielu lat w środowisku przedrewolucyjnej emigracji i następnie z pracy w Ludowym Komisarzacie Spraw Zagranicznych, pisał:

„G. W. Cziczierin był barwną i oryginalną postacią. Już sama jego powierzchowność zwracała na siebie uwagę: wysoki, krępek, szatyn z rudawą, spiczastą brodką; mądra, inteligentna twarz z wysokim czołem i małą łysiną, w całej postaci jakiegoś wrodzonego wyplegnięcia. Najwspanialsze w Cziczierinie były jego oczy: wyrażały, niespokojne, poszukujące. Ruchy miały nerwowe, szybkie, niespodziewane. Wszystko to razem czyniło wrażenie jakiegoś szczególnego „charmu” i jednocześnie, patrząc na Georgija Wasilewicz, człowiek mimo woli myślał: „Jaki to interesujący mężczyzna, jest w nim coś niepospolitego i niezwykłego”.

I rzeczywiście, Georgij Cziczierin był wielce oryginalnym człowiekiem... Postawiwszy krzyżyk na swojej przeszłości, Georgij Wasilewicz z jakąś nieokreśloną pasją oddał się temu nowemu światu, do którego wszedł... Po wstąpieniu do SDPRR Georgij Cziczierin uważał, że rewolucji i tylko jej powinna być poświęcona każda minuta z jego 24 godzin...”

O głodnych, porewolucyjnych latach opowiada W. D. Boncz-Brujewicz, zajmujący stanowisko kierującego sprawami Rady Komisarzy Ludowych:

„Bywały dni, kiedy nie wydawano żadnej racji żywnościowej. Kiedyś wszystkim dano zwykły, nie wymłócony owies i w domu staraliśmy się przygotować z tego owsa kawę, gotować z niego kisiel, brzoćkę i w ogóle w jakiś sposób go przystosować, aby przekształcić to ziarno w coś, co nadaje się do zjedzenia. Akurat wtedy musiałem pojechać do Ludowego Komisarzatu Spraw Zagranicznych, do Cziczierina, w jakiejś sprawie. Kiedy wszedłem do niego do gabinetu, zobaczyłem dziwną scenę: Cziczierin zajmował się swoją pracą, a obok niego na czystym talerzyku leżał nasypany zwykły owies dla koni. Brał go z talerza po kilka ziaren i przeżuwał.

— Co wy robicie, Georgiju Wasilewiczu?
— Używam do jedzenia ten przysiad, który mi przysłał. Co prawda, nie jestem koniem i spożywanie nie oczyszczonego owsa jest bardzo trudne, ale co robić — na wojnie, jak to na wojnie.
Powiedziałem mu, że moja rodzina przygotowuje z owsa kawę i inne potrawy i że nikt z nas nie upodoba się do konia i nie je owsa w czystej postaci.
— Co robisz — odpowiedział mi spokojnym głosem ten wytrawny dyplomata — moja sytuacja jest gorsza od waszej: nie

przyp. red.) z największym trudem wprosił go, aby siadł do fortepianu. Georgij Wasilewicz uniósł wieko i uderzył w klawisze. Zagrał nam marsz z „Fausta” — był to zdumiewający przykład wykonania muzyki”.

Pierwszy Maja 1922 roku zastał Georgija Cziczierina w Genewie. Na cześć święta delegacja radziecka urządziła przyjęcie w hotelu „Imperial”, na które przybyli przedstawiciele włoskich robotników. Radziecki dyplomata, A. N. Erlich wspomina:

„Wieczór miał charakter nieoficjalny, z amatorskimi występami członków delegacji radzieckiej. Jako pierwszy wystąpił G. W. Cziczierin. Wykonał „Sonaty księżycowej” Beethovena, utworów Czajkowskiego, Mozarta, Debussy’ego i innych kompozytorów wywołano powszechny zachwyt. Siedząc przy fortepianie, Cziczierin jak gdyby przeobrażał się. Jego twarz stawała się uduchowiona, poza była bardzo ładna, a ręce z długimi palcami — przepiękne. Gra Cziczierina sprawiała duże zadowolenie wszystkim obecnym na wieczorze. Długo go oklaskiwano i proszono ciągle o bisy”.

Uznanie dla talentu muzycznego Georgija Cziczierina można odnaleźć w wielu memuarach jego współczesnych. I tak, lotewski poseł K. Ozole wspominał:

„Kiedyś, z okazji koncertu w Moskwie znanego niemieckiego pianisty, ambasadora tego kraju, graf Brokdorf-Ramzau wydał oświadczenie, że on, potomek starego arystokratycznego rosyjskiego rodu, którego początki sięgają XV stulecia, poświęcił się obaleniu ustroju, który na przestrzeni wieków umacniał jego rodzinę. Odpowiedź na to zaskoczenie łatwo znaleźć w jego listach do krewnych.

Jeszcze jeden charakterystyczny epizod. Na początku listopada 1922 roku późną nocą Ludowy Komisarz Spraw Zagranicznych otrzymał informację, że ostatni interwencji — japoński imperializm — opuścił radziecki Daleki Wschód.

„Na Cziczierina — czytamy u Iwana Mojskiego — wiadomość ta podziałała jak kielich szampa”.

Zaprosił go i dziennikarza Michaiła Kolcowa, który zasiedzieli się w Ludowym Komisarzacie, do siebie do gabinetu, gdzie stał duży fortepian.

„Teraz, w sześć lat, jakie minęły od owego epizodu w Londynie — kontynuuje Majski — znowu zobaczylem go za fortepianem. Tym razem nikt go nie prosił, aby zagrał. On sam poczuł potrzebę wyrażenia swojego nastroju w muzyce. Widać, jego dusza była tak przepełniona szczęściem i uniesieniem, że nie potrafił milczeć. Nie wiem, co konkretnie grał, ale sądząc z ogólnego charakteru muzyki, pojąłem, że to jego ulubiony kompozytor, Mozart... Siedzieliśmy z Kolcowem i słuchaliśmy, a burzliwa fala dźwięków, radosnych, rześkich, podniosłych, słonecznych płynęła spod palców Cziczierina, napieniając gabinet i korytarze, pobudzając nasze dusze...”

W końcu lat dwudziestych wieloletnie przeciążenie komisarza ludowego dało o sobie znać. Ciężka niemoc (cukrzyca, skomplikowana przez rozległe zapalenie nerwu) coraz częściej odciąga go od spraw. Podczas kuracji w Niemczech (1927–1928) Georgij Cziczierin, aby nie dać chorobie zaważać swoimi myślami i uczuciami, rozpoczął studiowanie „mozartian”. Oto kiedy mógł wreszcie całkowicie zagłębić się w studia nad swoim ulubionym kompozytorem. Robił wypisy z tego, co przeczytał, opatrzone jego swoimi komentarzami. Możliwe, że właśnie wtedy powstała u niego myśl napisania książki o Mozarcie, w której mógłby zaproponować swoją interpretację największego z wielkich, jakim był dla niego twórca „Don Juana” i „Czarodziejskiego fletu”.

Georgij Cziczierin pracował dalej nad książką także po odejściu z powodu choroby w stan spoczynku w lipcu 1930 roku. Jego badania opierały się na fundamentalnej znajomości twórczości kompozytora. Studiował utwory Mozarta według partytur, dobrze orientował się we wszystkich perypetiach drogi życiowej kompozytora, doskonale znał jego upodobania, skłonności, charakter, epokę, otoczenie. Tak powstała ta zadziwiająca rozprawa o Mozarcie.

Georgij Wasilewicz Cziczierin o Wolfgangu Amadeuszu Mozarcie

„Mozart — wielki realista, człowiek rewolucji, obiektywny artysta, duchowy brat Goethe’go, twórca, łączący w dialektycznej jedności najostrzejsze sprzeczności życia, dla którego kosmiczny smutek (smutek nieosobisty, niesubiektywny, ale smutek jako czynnik życia, jako kosmiczna siła) jest nieodłącznie od optymistycznej afirmacji życia, w twórczości którego ucieleśniona jest pozytywna percepcja powszechnego życia i pokonanie w nim smutku bez zniszczenia tego ostatniego...”

Dla mnie Mozart był najlepszym przyjacielem i towarzyszem całego życia, przeżyłem je razem z nim, najbardziej złożonym i subtelnym, najbardziej syntetycznym spośród wszystkich kompozytorów, stojących na wieży światowej historii, na skrzyżowaniu prądu i wpływów historycznych...”

Mozart — kompozytor bardziej XX wieku, niż XIX i bardziej kompozytor XIX stulecia, niż XVIII, od którego oderwał się i wybiegł w przyszłość. Dlatego też umarł w nędzy, tak, że pod koniec życia stał się obcy swoim współczesnym. Jest z tych artystów, którzy odlatują się stopniowo... Mozart w pełnej skali zaczyna się ujawniać dopiero w XX wieku...”

Na sześć lat przed śmiercią, jakby oglądając się na przeżyte życie, Cziczierin pisał do swojego brata, Mikolaja:

„Miałem rewolucję i Mozarta, rewolucja — to rzecz obecna, a Mozart — przedsmak przyszłości”.

Przełożył: WITOLD DZIUBA

Panorama

CSRS

Nie tak dawno Alexander Dubczek — były i sekretarz KC KPCz. z okresu „Praskiej Wiosny” — udzielił wywiadu organowi Włoskiej Partii Komunistycznej gazecie „L’Unita”. Teraz wypowiedział się w wywiadzie udzielonym dziennikarzowi agencji „France Presse”. W wywiadzie tym podkreślił, że nie jest z zasady zwolennikiem wypowiadania się przeciw wszystkiemu krytycznie, gdyż „zbytby kochał mój naród i mój kraj”. Dlatego — „oceniam należycie każde pozytywne posunięcie KC KPCz., idące w kierunku zastosowania najnowszych doświadczeń komunistów radzieckich, odnoszących się do polityki odnowy. (...) Nie mogę jednak — oświadczył — nie widzieć tych braków, jakie wykazuje obecna oficjalna polityka (...) na drodze zmierzającej do podziwiania społeczeństwa czechosłowackiego w dziedzinie gospodarczej, kulturalnej, moralnej i humanistycznej, na drodze socjalizmu”.

Mówiąc o sobie i swoim położeniu Alexander Dubczek powiedział: — „Jak wiadomo, jestem nadal (podobnie jak wielu innych) klasyfikowany jako przedstawiciel nurtu antysocjalistycznego, antyradzieckiego i prawicowo-opportunistycznego.” Jego zdaniem komuniści, którzy w 1970 roku zostali usunięci z KPCz. powinni otrzymać prawo do obrony przed nieuzasadnionymi zarzutami.

WĘGRY

Na Węgrzech poinformowano, że Rada Ministrów WRL powołała specjalną komisję, której zadaniem jest niesienie pomocy tym obywatelom, którzy pragną osiedlić się na Węgrzech. Są to przede wszystkim osoby przybyłe do WRL z Rumunii. Ludziom tym trzeba załatwić mieszkanie, pracę, miejsca dla dzieci w przedszkolach i szkołach oraz prawo do korzystania z opieki lekarskiej. Z pomocą spieszy im też Węgierski Czerwony Krzyż, który udziela zapomóg pieniężnych oraz pomaga w zdobyciu mebli, sprzętu kuchennego i odzieży. WCK utworzył specjalne biura dla świadczenia pomocy potrzebującym obywatelom. W ciągu 10 dni pracy tych biur zgłosiło się do nich po pomoc 529 osób, a w następnych dniach przychodzi do biur dziennie po 70 — 80 osób. 145 osób zwróciło się do WCK z prośbą o pomoc w łączeniu rodzin. Dotyczy to 190 dzieci i 79 osób dorosłych. Prośbę tę przekazano Rumuńskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

ZSR

Na łamach „Sowietskij Rossii” 13 marca 1988 roku ukazał się list Niny Andrejewej pt. „Nie można wyrzec się zasad”. List ten jest znanym głosem w toczącej się dyskusji o przeszłości ZSR. Wywołał on zresztą replikę „Prawdy”. Nina Andrejewa jest chemikiem z zawodu, wykładowcą w Leningradzkim Instytucie Technologicznym im. Lenowskiego. Jej ojciec pracował w porcie, a matka była ślusarką w jednej z leningradzkich fabryk. Jeden z jej krewnych był represjonowany i zrehabilitowany po XX Zjeździe KPZR. Jej ojciec, matka i starszy brat zginęli w walce z hitlerowskimi Niemcami. Nina Andrejewa podkreśla: „...ani ja, ani członkowie mojej rodziny nie mieli żadnych powiązań ze Stalinem, jego otoczeniem, powiernikami, pochlebcami”.

Wśród młodzieży Leningradzkiego Instytutu Technologicznego im. Lenowskiego — jak i wśród młodzieży innych instytutów czy fabryk — toczą się żywe i burzliwe dyskusje. Padają zaskakujące pytania. Na przykład na spotkaniu studentów wspomnianego Instytutu z Bohaterem Związku Radzieckiego, pułkownikiem w stanie spoczynku W. F. Mołoziewem padło pytanie o represje w armii. „Weteran odpowiedział — pisze Nina Andrejewa — że nie spotkał się z represjami, że wielu z tych, którzy razem z nim zaczęli wojnę doszedł-

szy do jej końca stało się wybitnymi dowódcami wojskowymi... Niektórzy byli rozczarowani odpowiedzią. Sprawa represji stała się tematem dyskusyjnym i została wyolbrzymiona w wychowaniu części młodzieży, przysłoniła obiektywny obraz przeszłości”.

Nina Andrejewa podaje jako inny przykład pokazany niedawno film o Siergieju M. Kierowie, który w Leningradzie wzbudził żywe i uzasadnione zainteresowanie. Ale film rozczarował niektórych widzów, gdyż „tekst towarzyszący kadrom u niektórych miejscach nie tylko rozbiegał się z zdjęciami dokumentalnymi, lecz także nadawał im jakąś dwuznaczność. Powiedziałabym, że kadry filmowe ukazywały wybuch entuzjazmu, radości życia ludzi budujących socjalizm, zaś tekst czytany mówił o represjach, niedoinformowaniu...”

Nina Andrejewa występuje też z krytyką wielu publikacji między innymi z książki Szatrowa i ma za złe Anatolijowi Rybakowowi, że pisząc „Dzieci Arbatu” — do czego się przyczynił — korzystał z niektórych emigracyjnych publikacji. „Rozmawiając ze studentami — pisze dalej Nina Andrejewa — wspólnie z nimi rozmyślając o ostrych problemach, mimo woli dochodzę do wniosku, że nagromadziło się u nas wiele skrzywień i jednostronności, które wyraźnie wymagają sprostowania”. Zdaniem autorki listu do „Sowietskij Rossii” zatracono klasowy punkt widzenia, odrzucono idee walki klas, próbuje się przekreślić kierowniczą rolę proletariatu i jego partii, dokonuje się proces „wyrzekania się socjalizmu”.

Nina Andrejewa wystąpiła też w obronie roli i miejsca Józefa W. Stalina w historii ZSR. Przypomina wypowiedź Winstonona Churchilla, który uważał Józefa Stalina za wybitną osobowość. „Stalin — pisał Winston Churchill — był człowiekiem o niezwykłej energii, erudycji i nieugiętej sile woli, przynikłym, surowym, bezwzględnie żarłoczym w działaniu, jak i w rozmowie”. Podobnie charakteryzował Józefa Stalina Charles de Gaulle. A przecież Józef Stalin był dla nich „sojusznikiem militarnym i przeciwnikiem klasowym”, nie mieli więc powodów, aby dawać fałszywe świadectwo o nim.

Jej zdaniem to, co dzieje się obecnie w ZSR jest klasowym i politycznym atakiem na socjalizm. Pisz ona: „Z długich otwartych rozmów z młodymi rozmówcami wyciągamy takie wnioski, że ataki na państwo dyktatury proletariatu i ówczesnych przeobrażeń naszego kraju mają nie tylko polityczne, ideologiczne i moralne przyczyny, lecz także swe podłoże socjalne. Zainteresowanych tym, aby rozszerzyć poligon tych ataków jest немало i nie tylko po tej stronie naszych granic”. W dalszej części listu Nina Andrejewa wymienia różne, budzące jej niepokój, poglądy, jak na przykład „neoliberalizm”, „chłopski socjalizm”, „lewicowo-liberalny socjalizm”, „neostalinizm”.

Na zakończenie Nina Andrejewa przypomina słowa Michaiła Gorbaczowa wypowiedziane na posiedzeniu KC KPZR w lutym 1988 roku: — „powinniśmy również w sferze duchowej, a być może przede wszystkim tu, działać kierując się naszymi zasadami marksistowsko-leninowskimi. Od pryncypów, towarzysze, nie powinniśmy odstąpić pod żadnym pozorem”. List swój Nina Andrejewa kończy słowami: „Na tym stojmy i stać będziemy”.

Na zakończenie Nina Andrejewa przypomina słowa Michaiła Gorbaczowa wypowiedziane na posiedzeniu KC KPZR w lutym 1988 roku: — „powinniśmy również w sferze duchowej, a być może przede wszystkim tu, działać kierując się naszymi zasadami marksistowsko-leninowskimi. Od pryncypów, towarzysze, nie powinniśmy odstąpić pod żadnym pozorem”. List swój Nina Andrejewa kończy słowami: „Na tym stojmy i stać będziemy”.

JADWIGA M. NIEDŹWIECKA

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

„SZKOLNY ZAWRÓT GŁOWY”

Spłot dat przypadający na 1988 rok, takich jak: 700-lecie nadania praw miejskich memu grodowi, 70-lecie odzyskania państwowości przez kraj, którego jestem obywatelem oraz 70-lecie istnienia LO im. St. Staszica w Zgierz, to wspaniała okazja po temu, aby upamiętnić ją czymś w duchu nowego myślenia i działania, a więc nie tylko spektakularnymi uroczystościami, ale tym, co by pozostawiło trwały ślad w panoramie miasta i umysłach mieszkających tu ludzi. Zgierz bowiem z różnych przyczyn boryka się od dziesiątków lat z wielorakimi trudnościami w swym rozwoju.

Są w Zgierzu grona osób myślących śmiało, perspektywicznie, a więc mądrze. W ten oto sposób narodziła się cenna inicjatywa rozbudowania szkoły, której patronuje Stanisław Staszic. Związany w ostatnich miesiącach społeczny komitet posiada niekonwencjonalny, ambitny plan. Plan, który jest podyktowany alarmującą koniecznością. W murach obecnego Zespołu Szkół Ogólnokształcących pobiera naukę około 800 uczniów, w ogromnej ciśniecie, gdzie wiele zajęć odbywa się w piwnicy i na korytarzach, gdzie stołówka, poza swą podstawową funkcją, spełnia również cele dydaktyczne, świetlicowe, służy próbom chóru i spotkaniom rodziców.

Podstawowa miejska placówka średniego kształcenia nie posiada z prawdziwego zdarzenia sali gimnastycznej, basenu, nie mówiąc o profesjonalnych gabinetach do nauki języków i informatyki. Mimo to, grono pedagogiczne dokonuje, nie waham się stwierdzić, cudów. Świadczą o tym wyniki uczniów. Pokazny procent maturzystów (jeden z najwyższych w województwie) otrzymuje corocznie indeksy wyższych uczelni, łącznie z wojskowymi.

Pragnąłbym, by ten tekst zwrócił uwagę wszystkich, którym na sercu leży przyszłość kraju, dobro młodzieży, jej prawidłowe kształcenie i wychowanie. Tak cennej inicjatywy, niespokojnych duchem ludzi, nie należy przeszkadzać, ale wprost odwrotnie — pomagać i to ze wszystkich sił.

Pierwszy krok w tym kierunku uczyniono podczas ubiegłorocznego spotkania wojewódzkich władz polityczno-administracyjnych z gospodarzami Zgierza, gdzie fakt rozbudowy szkoły otrzymał pełną akceptację. Szkoda tylko, iż w budżecie miejskim na 1988 r. nie znalazła się zlamana złotówka na ten cel. Niech więc ten niemały apel podejmą, jak ryckała rekawice, wszyscy ludzie sprzyjający sprawie.

JERZY KRYSIEK

DLACZEGO DZIŚ PRZESZŁOŚĆ WIDZIMY INACZEJ?

Historia jest moją pasją, choć nie jestem profesjonalistą w tej dziedzinie, przeto manipulatory historią są dla mnie — delikatnie mówiąc — skrajnymi cynikami. Z osobnikami o takiej postawie bezsensowne jest dyskutować, czy układać się, a tym bardziej oczekiwać od nich zwykłej lojalności. Kto z dnia na dzień zmienia poglądy, ten nie może być obiektywnym wobec obiektywnej prawdy historycznej, „dosłownie” się do okoliczności, do sytuacji — to żonglerka, by się „przypodobać”, by przetrwać.

Utkwił mi w pamięci dzień 1 maja 1936 roku. Mieszkaliśmy wówczas w Bełchatowie. Starosta nie zezwolił na odbycie manifestacji pierwszomajowej, mimo to, „jednolitofrontowcy” — wziębrali zezwolenie na odbycie wiecu w lokalu zamkniętym — miejscowej remizie OSP. Sala była zapelniona do ostatniego miejsca. Nie brakło wśród uczestników wiecu „rozbijaczy” („czarnowców” i „endeków”), szpicli, policji. Z ramienia PPS przemawiali: Władysław Zelasko i prezydent miasta Piotrkowa — Uziembło. Rozbijacze, gdy zaczęło się przemówienie podnieśli tumult i gwizdali. Prezydent Uziembło prosząc o spokój zawołał:

„Widzę, że jest na sali wielu, którzy niedawno, z sympatii dla bolszewików, czuli się gotowi na brzuchu do Moskwy, dziś tu przeskakują na wiecu robotniczym”.

Nie pozwolono mi kontynuować przemówienia, podniósł się krzyki i gwizdy, zanosilo się na białą — obecna na sali policja rozpedziła wiec.

Po wiecu, wieczorem, odbyła się pierwszomajowa akademie „jednolitofrontowa”, na której między innymi recytowała „Imperializm” — Mieczysława Niedziałkowskiego. W czasie akademii od incydentów nie doszło.

Dziś u schyłku życia zastanawiam się, co zaważyło, że miliony (a może nawet miliardy) ludzi na świecie pragnęło choćby raz w życiu widzieć Józefa Stalina, a dziś często ci sami ludzie niekiedy gotowi są „ekshumować” go po raz wtóry, tym razem z niszy murów kremlowskich.

Do dziś wielu utytułowanych historyków twierdzi, że bez niewolnictwa antycznego (wschodniego i śródziemnomorskiego) nie byłoby współczesnej cywilizacji, za postępowe uznaje się feudalizm, kapitalizm, przy którego „narodzinach” połało się tyle ludzkiej krwi. Każda rewolucja i kontrrewolucja to nie są prośbienie na raut.

Dzisiejsi teoretycy marksizmu-leninizmu, wyposażeni w wiedzę, sprawujący władzę, żyjący w dostatku, powinni jeszcze raz zastanowić się nad tragedią jaką zawiła nad kielującą Republiką Rad. Po śmierci Włodzimierza Lenina zacierali z radości rece wrogowie wewnętrzni; jawni i ukryci często za legitymacją partijną (gdzie ich nie było i nie ma?). Jak skromna liczebnie była partia — WKP(b) — po śmierci wodza Rewolucji — Włodzimierza Lenina. Rewolucja Październikowa nie miała wzorców, kadr doświadczonych i wykształconych. Gdzie logika w tezie, że syn ubogiego szewca stał się bez niczyjej pomocy dyktatorem dwumilionowego narodu? Obwinia się go dziś o to, że nie znał losów każdego mieszkańca tego olbrzymiego wionarodowego kraju. Kto zbierał i gromadził materiały do zbrodniczych aktów oskarżenia przeciwko ludziom, czy to partyjnym czy naukowcom, specjalistom różnych dziedzin, którzy byli tak potrzebni partii i państwu radzieckiemu? Mechanizm ten znam z własnego doświadczenia. Jakimiż „siłami nieczystymi” musiał dysponować niedoszły pop, by zniewolić i podporządkować swojej woli partię, łącznie z BP, sztab i całą potężną armię, aparat bezpieczeństwa — słowem cały naród i ogromne państwo? Namnożyło się „Pilatów”, którzy głoszą: „Nie jesteśmy winni krwi sprawiedliwych”. Dalsze roztrząsanie epoki „stalinizmu” doprowadziłoby do prawdziwych wniosków z tego okresu, kompromitujących lekających się panicznie na samo wspomnienie o tamtych latach.

Faktów jak: rozgromienie międzynarodowego spisku Imperia-listycznego w latach 1941–1945, rozpad systemu kolonialnego panowania, wyzwolenie miliardów niewolnych i uciskanych ludzi, powstanie „Czerwonych Chin” — nie może ignorować żaden uczony „neofita”.

F.P.

OD REDAKCJI: Poruszyć tu został trudny i bardzo skomplikowany problem. Być może zaciekał o szersze rzesze Czytelników interesujących się historią. Nasz Czytelnik oburza się na to, że niegdyś chwalono Józefa Stalina, a dziś wypomina się jego tyrantstwo. Działło tu chyba naturalne prawo psychologiczne: ludzie muszą się wypowiedzieć na temat tego, co im dużo leżało na sercu i duszy, a o czym nie można było mówić.

Jeśli coś dzieje się obiektywnie, jeśli proces historyczny dokonuje się nieprawidłowo, to ludzie to widzą, odczuwają, rozumieją, choć nikt na ten temat głośno się nie wypowiada. Aż do mo-

mentu, kiedy taka możliwość powstaje. W założeniach radzieckiej pierestrojki nie przypadkiem zakłada się, że nie można będzie pójść naprzód, jeśli nie dokona się pełnego rozrachunku z przeszłością. I właśnie taki rozrachunek w ZSRR dokonuje się. Nas to też interesuje, bo wydarzenia tamtych lat miały również swoje odbicie w Polsce.

Józef Stalin był postacią złożoną i skomplikowaną. Czy wszystko, co robił, robił źle? Tak powiedzieć nie można. Ale żeby sprawiedliwie rozsądzić, oddzielić złe od dobrego, pokazać całą skomplikowaną prawdę o tej postaci, trzeba przejść przez okres bezkompromisowej, a niekiedy nawet wyolbrzymionej krytyki. I to, że taka krytyka teraz w ZSRR dokonuje się — a ludzie występują też w obronie Józefa Stalina — to bardzo dobrze świadczy o sile radzieckiego społeczeństwa.

I ostatnia uwaga. Obiektywne prawa historii oraz fakty historyczne to jedno, a sposoby ich interpretacji, wyjaśniania — to zupełnie coś innego. Marksizm wiele na ten temat już powiedział, często tylko niektórzy marksiści zapominali, że do epoki socjalizmu też stosuje się te same prawa historyczne. Ale czy to nadal był marksizm?

REDAKTOR DYŻURNY

CZY WARTO?

Przeczytałam artykuł pod tytułem „Z opaską PPS i karabinem” — w którym to jest nazwisko mojego męża Henryka Wdźwieżnego. Wzruszyło nas to bardzo. Mąż popłakał się, że jeszcze ktoś o nim pamięta — za co serdecznie pragniemy podziękować.

Piszę dlatego też, gdyż został przez wszystkich zapomniany, nie tylko z tamtych lat pracy społecznej, ale i później — a dziś takie odruchy pamięci są dla niego bardzo potrzebne, gdyż jest bardzo chory i zapomniany przez wszystkich. A przecież dla tej Łodzi zrobił wiele w swoim życiu, o czym świadczy Jego odznaki — ale tej dla rdzennego łodzianina „Honorowej Odznaki m. Łodzi” — brak.

Chcę poinformować, że obrońcą i poświęcenie dla kraju i miasta nie skończyła się na „opasce” — 28.II.1945 r. mając 17 lat zgłosił się do wojska i walczył w walkach o Berlin — otrzymał medal „Za udział w walkach o Berlin”. Nr leg. 93311. Po powrocie nie spoczął na laurach — organizował i pracował w organizacjach sportowych — za co ma sporo odznak. Długo pracował społecznie przy Komendzie Ruchu Drogowego.

Wszystko to jednak nie rekompensuje Jego wysiłku i straconego zdrowia. Jest członkiem ZBoWiD — ale to wszystko. Drobni sił renty 13.000 + 3.000 kombatanckiego. Bo nawet zakład, w którym pracował przeszło 20 lat, wyróżnił go odznaki „Zasłużonego pracownika PTŚB „Transbud — Łódź”. Nie potrafił mu dać żadnej podwyżki, żadnej nagrody, która podwyższyłaby mu rentę. Nawet dziś po tylu latach nie stał ich na ten gest.

Piszę o tym nie dlatego, by domagać się wyróżnień. Chcemy mieć siłę w młodzieży, która wychowuje się na takich przykładach, bo o tych dobrych nie mówi się nic. Oni mogą zapytać: czy warto być solidnym pracownikiem, obywatelem — czy warto?

R.W.

KTO POWIE PRAWDĘ?

Piszę w związku z artykułem „Czego może spodziewać się kandydat?”, który ukazał się w tygodniku „Odgłosy” z 1988.03.12. W artykule tym prezes Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej mgr Edmund Kempa twierdzi, że na mieszkanie w Łodzi czeka się 14 lat.

W związku z tym prosiłabym o wyjaśnienie pewnej kwestii. Do spółdzielni mieszkaniowej należą od 1976 r. (12 lat). W 1987 roku przydzielona została do spółdzielni „Chojny”. Pisałam podanie o przyspieszenie ze względu na trudne warunki mieszkaniowe (pięć osób zamieszkałych na 25 m kw.). Otrzymałam odpowiedź odmowną. Udałam się na rozmowę z prezesem spółdzielni „Chojny”. Prezes oświadczył mi, że nie ma szans na otrzymanie mieszkania z przyspieszenia, a w normalnym trybie będą oczekiwać na mieszkanie jeszcze 7 lat. Z tego wynika, że na mieszkanie w Łodzi czeka się 19 lat, a nie 14, jak twierdził mgr Edmund Kempa. Jeszcze raz proszę o wyjaśnienie tej sprawy.

ZOFIA MAŁEC

„ŚMIERDZĄCA SPRAWA”

W związku z artykułem Pawła Tomaszewskiego pt. „Śmierdząca sprawa”, który ukazał się w nr. 8 tygodnika „Odgłosy” 20 lutego 1988 r. Wydział Gospodarki Komunalnej i Infrastruktury Technicznej wyjaśnia:

Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania w Łodzi zostało zmuszone, w wyniku opóźniającego się przygotowania wysypiska w Pałczewie, do skierowania wszystkich odpadów komunalnych z terenu Łodzi na wysypisko przy ul. Zgierskiej w Nowosolnej, pomimo że wysypisko to nie zostało w pełni przygotowane do eksploatacji. Wysypisko w Nowosolnej zostało uruchomione z konieczności wobec braku jakiegokolwiek innego wysypiska na terenie województwa, za zgodą zarówno Gminnej Rady Narodowej i Naczelnika Gminy, jak i Głównego Inspektora Sanitarnego przy świadomości, że szereg problemów związanych z organizacją wysypiska będzie musiało być rozwiązanych w trakcie eksploatacji wysypiska.

Urząd Miasta dokłada starań, aby w jak największym stopniu zniwelować uciążliwość, jakie niewątpliwie występują przy skierowaniu wszystkich odpadów z terenu Łodzi na to wysypisko. W zakresie doraźnych działań inwestycyjnych już wykonano:

- bitumiczną drogę dojazdową do wysypiska od strony ul. Łódzkiej (735 mb.),
 - drogi technologiczne na terenie wysypiska,
 - drogę żużlową do wysypiska od strony północno-zachodniej (1800 mb.),
 - ogrodzenie wysypiska w części z elementów żelbetonowych, w części z siatki,
 - oświetlenie wjazdu na teren wysypiska.
- W zakresie dalszych działań inwestycyjnych przewiduje się wykonanie jeszcze w bieżącym roku:
- podwyższenia wysokości ogrodzenia siatką stalową,
 - oświetlenia ul. Zgierskiej od ul. Łódzkiej do ostatnich zabudowań,
 - ułożenie chodnika na trasie jak wyżej,
 - budowę drogi bitumicznej na ul. Zgierskiej na trasie dojazdu od strony północno-zachodniej.
- W zakresie działalności eksploatacyjnej Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania:
- przyjęło technologię załadowywania wysypiska od strony ul.

Zgierskiej, tak aby wysypisko oddalało się od ulicy, a przez to zmniejszała się jego uciążliwość dla otoczenia.

— uruchomiło dwa spychacze oraz kompaktor do rozścielania i ugniatania odpadów, a także do przykrywania ich ziemią,

— zapewniło okresowe zbieranie odpadów w rejonie wysypiska.

— zorganizowało brygadę do gaszenia pożarów,

— dokonuje okresowego, w zależności od potrzeb, oczyszczania drogi dojazdowej od strony ul. Łódzkiej (prace te każdorazowo są potwierdzane przez Urząd Gminy).

Przewiduje się, że wysypisko przy ul. Zgierskiej będzie eksploatowane co najmniej do 1990 r. Po tym okresie teren dotychczasowy nieużytkowy o powierzchni ponad 15 ha zostanie zrehabilitowany i przywrócony do produkcji rolnej.

Przekazując powyższe wyjaśnienia Wydział pragnie zapewnić, że zdaje sobie sprawę z niedoskonałości obecnej formy utylizacji odpadów komunalnych i wynikających stąd uciążliwości dla mieszkańców. Dlatego też prowadzone są wielotorowe działania dla poprawy obecnej trudnej sytuacji w tym zakresie. Najpilniejszym zadaniem w obecnej chwili jest lepsze wyposażenie Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania w sprzęt specjalistyczny, gdyż pozwoliłoby to na natychmiastowe zmniejszenie uciążliwości eksploatowanego wysypiska. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że starania o przydział nowego sprzętu jeszcze w bieżącym roku zostaną załatwione pomyślnie.

Mając na uwadze potrzeby, jakie wystąpią w najbliższych latach, już obecnie przygotowuje się dalsze dogodne tereny dla urządzenia z niezbędnym wyprzedzeniem nowych wysypisk śmieci. Niezależnie od tego podjęte zostały prace projektowe, — badawcze dla wdrożenia nowoczesnych znacznie mniej uciążliwych technologii utylizacji odpadów komunalnych, przez ich kompostowanie w odpowiednio przygotowanych i wyposażonych przetwornicach.

Wydział Gospodarki Komunalnej i Infrastruktury Technicznej jest przekonany, że w wyniku podjętych działań występujące jeszcze rozliczne trudności, w tym również finansowe, zostaną rozwiązane pomyślnie i sytuacja w zakresie utylizacji odpadów komunalnych dla Łodzi ulegnie w najbliższych latach wydatnej poprawie.

ZDZISŁAW WŁAZŁOWICZ

POCZTA LITERACKA

JOANNA MOSSAKOWSKA — ŁĄDEK ZDRÓJ. No i mamy prawdziwą poezję kobiecą, urokliwą, pełną ciepła i mądrości. Żeby nie być gołosłownym zacytujmy jeden bodaj wiersz: Do nieznajomego wiersza się uśmiecham/ do motyli srebrzystych pod powiekami/ do myśli gorzkich jak dojrzale życie/ uśmiecham się do tajemnic/ drzemających jak koty/ w słońcu mojej kobiecości.

Niech nam pani jeszcze coś z tych tajemnic zdradzi. Czekam na wiersze. Tomaszewski serdecznie.

ROMAN TOMASZEWSKI — ZDUŃSKA WOLA. Rzeczywiście, od naszego spotkania w Radziejowicach sporo się zmieniło, dodajmy — na lepsze. Miałbym co prawda (jak wówczas) pewne zastrzeżenia. Rażą mnie nieco „zmanierowane” neologizmy (wiersz „Lek”), ale kilka tekstów (przede wszystkim „Tęcza jeziora”) już na druk zasługuje. Oczywiście i tutaj — jak wszędzie — trzeba swoje odstąpić w kolejkę. Miejsmy nadzieję, że nie za długo.

WOJTEK BOLANOWSKI — ŁÓDŹ. Wiersze jeszcze młodzieńcze. Skontaktuj się z panem proponując udział w spotkaniach literackich grup Wiadukt i Centauro.

PuH

REDAKCJA — CZYTELNICY

Stale przypominamy Czytelnikom „Odgłosów”, że na kolumnie poświęconej listom i polemikom drukujemy tylko takie teksty, których autorzy nie wstydzą się swego imienia i nazwiska, nie zapominając podać adresu, a jednocześnie mogą skorzystać z prawa nieuwajniwania faktu autorstwa ich listu czy polemiki. Inne nie są nawet rozpatrywane. I tak ktoś, kto uważa się za „Ojca Chrzestnego Rubinowej, Hortensji” nie będzie mógł podzielić się swoimi uwagami na ten temat. Również Witold Borowy nie wyjaśni anonimowemu Czytelnikowi, dlaczego pomylił ROA z RONA i czym się one różniły. Nie praktykujemy bowiem polemik z anonimami. Jeśli inne gazety anonimy traktują na równi z listami podpisanymi, to ich sprawa. Na łamach „Odgłosów” wielokrotnie wyjaśnialiśmy, dlaczego właśnie tak postępujemy.

URZĄD TELEKOMUNIKACYJNY ŁÓDŹ-PÓLNOC. Kwitujemy odbiór pisma adresowanego do Mariana Skrobisza. Cieszy nas fakt, że stosunki między pentamentami a urzędem jakoś ułożyły się. Jeśli jest w tym odrobina i naszej zasługi, tym lepiej dla tych stosunków. Życzymy pomyślnego rozwiązania spraw telefonu!

MACIEJ KOPEC, ŁÓDŹ. List z braku miejsca przeleżał się nieco. Niejeden to taki przykry przypadek. Sprawa się zdezaktualizowała. Właściwe bilety tramwajowe można już kupić w kiosku. Swoją drogą do zmiany cen biletów trzeba się przygotować we właściwym czasie. Niejedna to wada MPK.

WITOLD AFELT, ŁÓDŹ. Oczywiście, Mirosław Poniecki coś słyszał, że trąbił, ale nie wiedział na czym. Andrzej Makowiecki grał na trabce, a nie na saksi (saksofonie).

SYLWESTER RAŻNY, ZDUŃSKA WOLA. Fragment pana listu ukaże się niebawem. Jak z tego wynika sprawnie posługując się pan piórem. Trzeba więc po prostu pisać i wysyłać do redakcji. Autor zawsze ponosi ryzyko, że taki temat zrobi ktoś inny i zrobi go ciekawiej albo że redakcja tekst nie zainteresuje, albo że zainteresuje i jest na tyle dobry, że się może ukazać. Czekamy więc na dalszą korespondencję.

JOANNA OLCZAK, ŁÓDŹ. Nie chcemy już wracać do sprawy spektaklu o Włodzimierzu Majakowskim w Teatrze Studio '83. Z tekstu — tylko z tego powodu — nie skorzystamy. Gdyby pani miała inne propozycje tematów... Najlepiej byłoby się skontaktować z redakcją osobiście.

TADEUSZ KWASIK, PUŁAWY. Pana listu nie drukujemy z takiego samego powodu, jak powyżej. Natomiast ma pan całkowicie rację, że feretron (feretrum) to w żadnym wypadku nie chorągiew kościelna, a jedynie przenośny ołtarzyk lub obraz. Ma pan też rację, że jak się ludzie zacietrzewia, to nie bardzo kontrolują, co po sobie. Przestają myśleć. I słusznie pana śmiesz, że tyle się osób pod tym podpisywało, a nikt tego błędu nie zauważył. Ale zostawmy to w spokoju. Było, minęło.

REDAKTOR DYŻURNY

Zamiast recenzji ze sztuki Aleksandra Fredry w warszawskim Teatrze „Syrena”. Uprasza się młodzież, aby tego raczej nie czytała!

A. Fredro napisał nie tylko „Śluby panińskie”

Przez dziesiątki lat na straży pruderyjnej moralności stali nasi literaturoznawcy, dostojni badacze piśmiennictwa narodowego uważając, by broni Boże klasę nie został pozabawiony nimbu, jakim go otaczono. Na pierwszy plan wysuwa się więc dostojne dzieła przepojone duchem narodowym, treściami patriotycznymi, hasłami o wolności waszą i naszą, naukami moralnymi. A przecież co poniektórzy wielcy co rusz, to czynili „skok w bok”, zdradzali dostojne Muzy i tworzyli tzw. literaturę obsecenizowaną, wścieczoną, nieprzyzwoitą. I w niej także objawiali się cały talent i kunszt autora, który stwarzał również arcydzieła o nieprzemijającej wartości.

Skończył więc nie ma tej przemianach literatury w obgu oficjalnym, tedy egzystuje ona na prawach rzeczy zakazanych: jest przekazywana ustnie, odbijana na powielaczach, nagrywana na taśmie magnetofonowej. Jedno pokolenie przekazuje ją na następne, to zaś kolejnemu. Powstają warianty, uzupełnienia, przelaczenia, urabiania. Fredro, można rzec, stoi na czele autorów obsecenizacji. Pisal je będąc młodym człowiekiem, podczas służby w wojsku napoleońskim. Pisal ku uciesze i rozveseleniu kompanów i przyłoci. A był to człowiek niepopolity, znawca i smakosz wdziołków niewielkich i nalezący we Francji do najdziwniejszych „szalonków” towarzyszywa „jebaków”. Był więc nie tylko dobrym żołnierzem, ale nie mniej sprawnym kochankiem, bywalcem nie tylko saloonów, lecz i domów publicznych. Z Francji przywiózł także popolitą „francję”. W liście do przyjaciela pisał, że nie może zapomnieć owdych słodkich dziewczyn, które tak szczerze obdarzyły go wstydliwą chorobą. „O, kochane kurwy paryskie, mied, was ruszy sumienie, oddajcie mi me sokci, ja zaś wam francję sturczę”. Jednocześnie mi tu brakowało, dupecku jakiej okraglutekiej. Wystaw też sobie, co za wścieczona moda tu do nas przyjechała, moda bigotów i dobrego tonu damy nie gaszą żądze cielesne, jak popów poświęcaną szpricką, a my biedni przysięgamy albo za pięć reńskich ryzykujemy francję dostac, albo też pod murem nabój wypstrykać namy”. A więc był to mąż co się zowie z „krwie i kości”, a swoje młodzieńcze doświadczenia przelał na papier. Zresztą dużo później przyznaje, że „w latach szalonej młodości napisałem dwa dzieła, które wiem, że by były w Twoim guście, jedno „Sztuka jebania”, poemat w IV pieśniach, do 800 wierszy; drugie „Piczomira królowa Branlomanii”, tragedja w 3 aktach wierszem”.

To pierwsze „dzieło” rok temu ukazało się w serii miniatur, ale z niedgdy zmienionym tytułem na „Sztuka oblapiania”, a w leksyce więcej jest kropek niż wierszy. Tak więc od ponad wieku polski czytelnik nie wie całej prawdy o naszym najznakomitszym komediopisarzu. Ciąży nad nami duch „Ksiąg narodów i piegrzynstwa polskiego”, „Wierne rzeki” i „Hymnów”, „Piczomire” bez skresień odważył się wystawić na widok publiczny warszawski Państwo Teatr Syrena. Liczono się ze skandalem, lecz szybko się okazało, że skandalu nie ma, natomiast frekwencja na przedstawieniach przeszła wszelkie oczekiwania. Chyba nie było w historii teatru polskiego faktu, by przed kasą zawiązała się „spoleczna lista kolejkowa”, a bilety były wyprzedawane na parę miesięcy z góry i jakoś nie ucierpiała ogólnonarodowa moralność, nie upadły obyczaje, nie wzrosła rozwiązłość. Tylko Aleksander Fredro jakby urodził jeszcze bardziej, jakby ukazał się nam bardziej krwisty i współczesny. A „Piczomira”? Zanim czytelnicy obejrzą przedstawienie w „Syrenie” postaram się, być może nieudolnie, je opowiedzieć. Bo jest to rzecz w typie starogreckiej tragedii ze wszystkimi jej atrybutami: a więc prolog, opowieść świadków zdarzenia, chór — owa zbiorowa mądrość, epilog zakończony śmiercią jednego z głównych bohaterów.

Osoby dramatu: Chór, Focnleker, Onanizm, Brandalezysz, Tardosó, Jebat, Pstrzakar, Kiltorys, Srakotuka, Piczomira, Spreżykuś, Chujostaw.

Treść: Piczomira, piękna córka Kuśkarza, po jego śmierci wprowadza w Piczburgu życie drakońskie prawa. A więc: trójpienny sztandar, zniesienie dwietwa, wolność ciupcania, a także nakaz, by wychowywano chłopców tak, jak dotąd wychowywano dziewczęta — w czystości i niewinności aż do dnia ślubu.

Brandalezysz, władca ościenego państwa, kiedy doniesiono mu o tym zgubnym i strasnym fakcie, i kiedy zrozumiał, iż owe miazmaty mogą rozszerzyć się na jego ziemie, wkroczył zbrojnie do Branlomanii i obległ stolicę. Postanowił, że albo ożeni się z Piczomirą albo zwycięży ją, by w ten sposób przywrócić

dawny porządek rzeczy. Stolica jednak broni się zawzięcie. Oto relacja Onanizmu o jednej z potyczek pod murami miasta:

Naprzeciwko, gdzie stoi pułk strzelców Godmiazów, jest od twardych Godmiazów luneta broniąca. Gdy ich batalion kobiet naciągnął szluzować jakby pragnęli z naszych zaczął się oblatywać na ułach. Wtedy to młodzież nasza z jurnego zapalu stanęła wnet pod bronią ściśniona w szeregi i bijąc konia, szachów pokrapiała brzegi. Na tym byłoby może stylczy poprzestali. Gdyby nie dwaj hersztowie byli nadjechali: Porucznik od huzarów Fajchturwiler pijany i z nim kapitan Tryper, wszystkim tu nam znany. Obaj „Hurra!” krzyknęli i razem z strzelcami Peczli na wał twardym progić fujarami.

(Rozpoczął się zaciekła bitwa, w której obie strony wykazują tyłę męstwa, co poświęcenia i przedsięwzięcia. Ale posłuchajmy relacji Onanizmu):

Zrazu Godmiaz opodal stanęli i przyspiewywali tylko wesoło zaczęli.

Chwycili się walczący, spłotyli się ramiona, Cyka do pierai, kuśka do ciupki ciniłona, Padają i mdw stoją rozjuszona parki.

Każdy pragnie dosięgnąć, każda broni sparki. Kobiety krzyczą, piszcą i koją i pluja.

Nasi rycerze ciągle po pupach je kiują. Wkrótce byłby wszyscy byli zwycięzcy!

Bę leżeli już między ciupkami udami, Lecz gdy każdy odważnie kiwał się ku górze — Uznał nagle, o zdrado! Fluta w dupodurze.

Chór: Godmiaz to napadł z tyłu niespodzianie!

(W tej sytuacji walka przybrała tragiczny obrót, atak się załamał i oddział Brandalezysza musiał się wycofać na uprzednio upatrzone pozycje).

Wśród nacierających znajduje się dzielny rycerz o imieniu Jebat, który naprawdę jest królewiczem Chujostawem. Niedgdy jako Jebat brał udział w turnieju w Piczburgu i zadziwił królewską córkę Piczomirę swoją tarczą z napisem „Zawszestyrzy” oraz niebywałą dzielnością. Właśnie mijła drugi rok, jak ten błędny rycerz, zakochany w Piczomirze, nie może jej wyjawić swojego uczucia. Teraz oblegając jej stolicę, wspomina z wielkim żalem:

Tak piękna Piczomiro, dalekie two toż, Przynajmniej tu cię myślą gorącą zachędoję. Ach, poiód się więc lepiej, rozioł białe udu! Co za hędziorek... dianoś... o piękności cudal Ta pierd tak twarda, gładka, pulchniutka i tłusta! Prsyćciń, ach przyciń do mych twoje usta. Obejmij mnie rękoma, podnieś nóżki w górę... Ach tak... ach tak... tak czuję aksamitu skórę... Ru...ru...szaj... Ach ruszaj... jut mi...mi...milo... O orogie emamienie, już się skoczę! W tym czasie w Piczburgu biedna Piczomira zwierza się dworcom ze swoich marzeń o przyszłym męgu. Marzenie nie jest wygórowane, ot zwyczajne pragnienie zwyczajnej kobiety. Piczomira pragnie takiego „z którym dzieło się koroną Pierwszego miał rypały stawie ustaloną. I stojąc się przykładem, gdy królem wybrany.

Dwa razy tyle cierpiał, co każdy poddany.

Chór:

Przypie! Jebowładny Panie! Nasz Patronie! Zachowaj naród w swojej sprężystej obronie.

Daj małżonka królowej niezgiętego męstwa, Który mógłby cię ciupnąć w miarę dostojństwa.

Daj im siły lubieżnej, siły nieustraszonej Na obronę ustawy, kraju i korony.

Napełń pań naszych pipki nowym, słodkim żarem i nachylone kućki pod wielkim cieżarem

Tuą nieustraszoną władzą wyciągnij do góry. I aby wiecznie stały, zmień dzieło natury!

Kłonię pytką łaskawie, pstryknij raz obficie Na smak, że biogostawisz, marno nasze życie.

I przyjmij dobroitliwie, najdzielniejszy panie, Jako hołd ludu części pokorne ciupcanie.

Narodzie, rób się! Srakotuka: Przymij w ofierze mą szparę! Kiltorys:

Przyjmuję ją, zatykam i pełnie ofiarę!

Królowa, jak każę zwyczaj, przyjmuję na zamku poddanych. Dziś powiedzieliśmy, że przyjmuję obywateli Piczburga w ramach skarg i wniosków.

Właśnie weszła zaplakana kobieta i padła na kolana. Jej ból jest wielki i nieutulony. Przez lzy wyduśza z siebie, że „mąż mnie ciupcał nie chce”, że się leni, że nawet z jej pomocą „ledwie mnie trzy razy zerżnie każdej nocy”, co jest wyraźną oznaką chłodu jego uczuć, a może i czegoś jeszcze gorszego. Królowa jest oburzona.

Tymczasem wpada posłanec z wieścią, że oblegający monarcha pragnie zawrzeć pokój i przyjmuje warunki, jakie Piczomira mu postawi. Wszakże z tym zastrzeżeniem, że pojmie ją za żonę i ją rozprawiczy. Piczomira godzi się, choć przeraża ją myśl, że Brandalezysz jest bardzo stary i z tym rozprawieniem nie wiadomo jak może być. Ale od czegoż kochała przebiegłość! Oto Focnleker podsuwa królowi myśl: niech władca zamieni się z rycerzem Jebatem.

W ten sposób Piczomira będzie przekonana, że to on ją rozprawiczy (w zbroń Brandalezysza

uczynił to przecież Jebat, sławny zawodnik z rycerskich turniejów), a lud gdy o tym się dowiedzie, okrzyknie go swoim władcą. Król plan przyjmuje, ale pyta, kto rządzi ten cały Jebat? Odpowiada zausznik Focnleker: Jako niedgdy Grek Ajaks dzielny i zawzięty Gromięć śmiecie Trojany bronił swe okręty. Tak Jebat w miejscu stanie! Wyprężona pyta: Niejedną przebiła i niejedną też chwytła; Kładzie wszystkie pod siebie, którą z ciżby urwie. Nie przepuszcza dziewczycy, nie przepuszcza kurwicy. Tymczasem w zamku Piczomiry podnosi się autentyczny lament, gdyż rozniosła się wieść, że król Brandalezysz jest stary i nie może. Srakotuka, pierwsza dama dworu, też boleje nad tym.

Niestety, Piczomira to nie pociesza, bowiem od dwóch lat przesładuje ją obraz dzielnego rycerza, na którego tarczy widniał napis „Zawszestyrzy”. Czyżby jej marzenia nie miały się nigdy ziścić?

Ale oto rozlegają się trąby, słychać okrzyki triumfu. To do miasta wjeżdża zwycięski wódz i król Brandalezysz. I nikt nie wie, że pod pancerzem królewskim bije serce dzielnego Jebata.

Warunki kapitulacji muszą być jednak spełnione. Piczomira i król udają się do koźnicy, by dokonać matrymonium consummatum. Piczomira nie wierzy własnemu ciułu: cóż to za mężczyzna! W szale i miłosnym uniesieniu to umiera, to zmartwych-

wstaje! W trakcie miłosnych kresów wychodzi na jaw, że to nie starzec Brandalezysz spoczywa na niej, lecz ów dzielny zwycięzca turniejów. Wówczas Jebat wychodzi i stanawczy przed ludem odkrywa, iż wcale nie jest błędnym rycerzem, lecz synem króla Gromięcoba co Jebarnia władza.

Nie muszą opisywać radości, jaka zapanowała w stolicy Branlomanii. Lud krzycza „Hurra!” i sławi młodego królewicza.

A co robi Brandalezysz? Stary król pojął, że choć wygrał bitwę, to przegrał wojnę. Wierze przeklina Piczomirę i Jebata, a potem popelnia samobójstwo odcinając sobie niedoleżną kućkę.

Potem to już jedna wielka festa: muzyka, plesni, zabawy i oczywiście ciupcanie do utraty sił. Na zakończenie wszyscy śpiewają chóralnie na cześć Piczomiry i Chujostawa:

Niech żyją długie lata wśród ciągłej swobody, Nadobna Piczomira i Chujostaw młody! Kurtyna.

Opracował na podstawie oryginalnego tekstu i teatralnego przedstawienia w teatrze „Syrena”

EUGENIUSZ IWANICKI



Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

14 kwietnia — TERESA JERZYKOWSKA — godz. 10—16.

21 kwietnia — ANDRZEJ MAKOWIECKI — godz. 10—16.

Ubolewamy, że w czasie ostatniego dyżuru redakcyjnego nasz telefon częściowo szwankował i być może nie wszystkim chętnym udało się z nami skontaktować. Przypominamy więc, że pełnym dyżur dziennikarski w każdy czwartek!

Pani zamieszkała przy ul. Współzawodniczej 4a w Łodzi zał się na właściciela syrenki, że ciągle i hałaśliwie przy tym swoim wozie majstruje, przelewa benzynę, smary, a samochód tak nieraz dymi, że nie sposób otworzyć okna, co nie jest dla naszej rozmówczyni obojętne, ponieważ jest poważnie chora i w ogóle nie wychodzi z domu. Może więc Pan od syrenki spróbować godzić jakoś swoją miłość do samochodu ze względami należnymi chorej osobie?

Pan Zbigniew Nowicki z Łodzi mieszka w pobliżu cmentarza na Dolach i ma możliwość obserwować jak co najmniej od Wszy-

skich Świętych okoliczne trawniki pokrywają coraz grubszą warstwą różnej śmieci, sięgając już kostek. Pan Z.N. zapewnia nas, że pisał już do rozmaitych instancji administracyjnych z Wydziałem Zieleni włącznie, ale skutków jak na razie nie widac. Nie przypuszczamy, żeby Wydział Zieleni miał w tym miejscu na planie miasta oznaczone wysypisko śmieci zamiast zieleńca.

Z jednej z gmin na obrzeżach województwa piotrkowskiego zadzwonił do nas ktoś z nauczycieli (nazwisko jest nam znane) i przekonywał dyżurującego redaktora, że terenowe władze administracyjne często lekceważą postanowienia Karty Nauczyciela, w której np zapisano, że nauczycielowi wiejskiemu przysługuje dostarczenie węgla do domu, pomimo tego trzeba sobie samemu organizować kosztowny transport. O drewnie opałowym Karta wprawdzie nie wspomina, ale i w tym władze gminne powinny jakoś nauczycielowi pomóc. Nasz informator przed kilku laty wybudował dom na wsi, ale i tu nie mógł uzyskać pierwszeństwa w dostarczeniu mu materiałów budowlanych. Bywa z tym różnie w różnych gminach województwa piotrkowskiego, w niektórych jednak, być może w tych peryferyjnych, Karcie Nauczyciela okazuje się często lekceważenie.

Mieszkaniec ulicy Tatrzńskiej w Łodzi odwiedził w pobliżu dwa sklepy rybne, jeden zaraz po drugim. I co stwierdził ku swojemu zaskoczeniu? Że w sklepie przy ul. Przybyszewskiego kilogram morszczuka surowego kosztuje 235 zł i za tę cenę go kupił, natomiast w sklepie przy Tatrzńskiej kilogram morszczuka smażonego kosztował 490 zł. Nasz czytelnik uważa, że usmażenie kilograma ryby nie powinno kosztować drożej niż złowienie jej na dalekim morzu, przetransportowanie jej do kraju, rozpróbowanie po Polsce i dostarczenie sklepom, a pomimo tego za usmażenie morszczuka przez garmaż płać się aż 235 zł/kg. Czy tak wolno? — pyta nasz czytelnik, a pytanie to przekazujeśmy dyrekcji Centrali Rybnej w Łodzi.

JERZY KWIECIŃSKI

SPÓŁDZIELNIA PRACY „SUROWIEC”

w Łodzi, ul. Zachodnia 44

SKUPUJE:

PRANĄ ŻUŻYTĄ ODZIEŻ ROBOCZĄ, FARTUCHY, BIELIZNĘ POŚCIELOWĄ BAWELNOPODOBNA

w cenie 60 zł/kg koloru białego 80 zł/kg kolorowe.

Bliższych informacji udziela sekcja handlowa, tel. 32-32-44.

1073/K

OŚRODEK KSZTAŁCENIA ZAWODOWEGO NR 4 ZAKŁADU DOSKONALENIA ZAWODOWEGO w Łodzi

posiada jeszcze WOLNE MIEJSCA NA KURSACH

rozpoczynających się w miesiącach kwiecień—maj:

- * kierownik małej gastronomii
- * obsługa węzłów cieplnych
- * obsługa sprężarek
- * obsługa kotłów c.o.
- * dozór i obsługa urządzeń elektroenergetycznych do 1 kV i bez ograniczenia.

Informacji udziela i zapisy przyjmuje sekretariat OKZ nr 4 w Łodzi, ul. Wróblewskiego 17, tel. 84-97-21.

1068/K

KOMBINAT BUDOWNICTWA OGÓLNEGO

„JEDYNKA”

Generalny Wykonawca Budowy

SZPITALA POMNIKA MATKI POLKI

Z A T R U D N I

natychmiast:

KIEROWNIKÓW BUDÓW

i praktyką

- * techników budowlanych
- * majstrów budowlanych z praktyką
- * kierowników koordynatorów w dziale produkcji
- * specjalistów ds. kosztorysowania
- * specjalistów ds. przygotowania produkcji
- * specjalistów ds. kontroli jakości w zakładzie produkcji prefabrykatów
- * specjalistów ds. kosztów
- * inspektorów ds. zaopatrzenia
- * referentów ds. socjalnych
- * księgowych
- * ceramików
- * cieśli
- * betoniarzy
- * stolarzy
- * murarzy
- * tynkarzy
- * malarzy
- * operatorów suwnic
- * operatora „Bialorusi”
- * maszynistkę.

Kombinat zapewnia:

- * wysokie zarobki wg zakładowego systemu wynagrodzenia
 - * wyjazdy na budowy eksportowe prowadzone przez Kombinat do Libii i ZSRR (Gruzja, Estonia, Krym) i podwyższenie kwalifikacji zawodowych
 - * liczne świadczenia socjalne
 - * zamieszczeniem w mieszkaniach stołówek.
- Zgłoszenia przyjmuje Dział Spraw Pracowniczych, Łódź, ul. Piotrkowska 55, tel. 32-62-05 lub 32-91-40 wewn. 204, kandydaci spoza województwa łódzkiego muszą posiadać skierowania z terenowego Wydziału Zatrudnienia. Kombinat nie przyjmuje pracowników po porzuceniu pracy.

1654/K

Piotrkowska 100. Tomasz S. prowadzi, wchodzi za nim na trzecie piętro. Już na klatce schodowej widoczne są skutki tego, co ponad miesiąc temu miało tu miejsce. Im wyżej, tym większy czuje się swąd. Z rewnątrz budynek wygląda całkiem, całkiem, ale dopiero klatka schodowa uświadamia, jak może być stary. Tomasz S. otwiera drzwi do swojej pracowni. Jest artystą plastykiem, sam się o tę pracownię wystralał, wynajmując pięć po długim spacerze po Piotrkowskiej. I sam tu wszystko zrobił, jak mówi. Nie przeraził się nawet wynalezioną w PGM ekspertyzą — już po przyznaniu mu tego pomieszczenia na pracownię — mówiąc, że lokal ten nie może być zasiedlony, ponieważ stan stropów zagraża bezpieczeństwu ludziemu. Pokazywał mi tę ekspertyzę, kiwałem głową ze zdumienia.

Wchodzimy do długiego przedpokoju. Czarne, nadpalone ściany. Były tu wieszaki, a na nich ubrania, które trzeba było wyrzucić. Pomieszczenie, w którym pracował, wykonując zlecenia, malując obrazy, też nie wygląda najlepiej. Ściany pokryte zaciekaniami, podłoga nadająca się tylko do wymiany, dziura w dachu: było tu okno, które wybili strażacy a potem nie zostało odpowiednio zabezpieczone. No i ten swąd, do tej pory trudny do wytępienia.

— Wiesz jak to było? — pytam Tomasza S., który pozwalał mi dotąd na spokojne dokonanie wizji lokalnej. Zdążył mnie tylko przeprosić, że nie będziemy mogli na czymkolwiek usiąść, bo krzesła musiał wyrzucić, jak ubrania i wiele innych rzeczy.

— Pracowałem wtedy, robiłem pewien projekt, taka zlecena prac... Było u mnie troje przyjaciół, którzy nie posiadają pracowni i korzystali z mojej gościnności. Bo wie pan, ja należę do ludzi, którym nie bardzo odpowiada samotność, lubię towarzystwo, tym bardziej takie, które nie przeszkodzi, a wręcz przeciwnie, pomoże, choćby tym, że emanuje własnym potencjałem twórczym i tym samym wzbogaca duchowo, intelektualnie. Tak się wzajemnie uzupełniamy...

— To ładnie — ścigam artystę na ziemię — ale mnie chodzi o pożar. Kiedy wybuchł, którego dnia i o której godzinie?

— 21 lutego. Gdzieś tak około 19 poczuliśmy nagle dym, który przerażająco szybko zaczął kłębić się i był potwornie duszący. Naprawdę z rewnątrz, z korytarza. Wypadłem na korytarz i zdążyłem stwierdzić, że pożar wybuchł w mieszkaniu sąsiada, w po-

Artystów kochają kłopoty w przeciwieństwie do urzędników.

Wypadek losowy

mieszczeniu, które on — ten mój sąsiad, ukrywał przed światem. A tak, proszę sobie wyobrazić, że nikt o tym pomieszczeniu nie wiedział. Wejście do niego było zastawione szafą. Sąsiad nie chciał widocznie płacić nadmiernej, a pomieszczenie to służyło mu za magazyn: było tam sporo rzeczy niewiadomego pochodzenia, a nawet żywy inwentarz, bo gołębie i kury.

— Straż szybko się pojawiła?

— Nie mam nic do zarzucenia, oprócz tego, że mimo moich wskazań, strażacy nie potrafili zlokalizować źródła ognia. Wybili wszystkie okna w dachu, gdzieś tam wyrąbali dziury i nie żalowali wody. Ich akcja trwała do 3 nad ranem. Namordowali się, nie powiem, i pewnie nie należy ich winić, że powiekszyli szkody. Ale mnie tym mocniej krajało się serce, bo dopiero co ukończyłem prace adaptacyjne, które trwały cztery lata. Już panu mówiłem, że otrzymałem to pomieszczenie pod warunkiem, że sam je przystosuję, dokonam odpowiedniego remontu. Zamontowałem instalację wodno-kanalizacyjną, wymieniałem tynki, stolarke okienną i drzwiową. Właśnie z łapetowaniem i malowaniem ścian kosztowało mnie to wszystko na przestrzeni czterech lat ponad 700 tysięcy złotych. Kupiłem też meble, dywany, wykładzinę. Teraz wiele z tych rzeczy nie nadaje się do użytku, muszę kupić nowe. A co najgorsze, zostały zniszczone moje projekty, obrazy, które miałem przygotowane na wystawę i konkursy. Nie mówiąc już o farbach, bieżniach, całym właściwie warszacie twórczym.

— Co na to PZU?

— Nie miałem polisy.

— Polak mądry po szkodzi? Starał się pan chociaż o jakieś stypendium?

— Spółdzielnia Artystów Plastyków przyznała mi jednorazową zapomogę. Z taką samą pomocą zaoferowała się „Sztuka Polska”. Natomiast w Wydziale Kultury powiedziano mi, że fundusz społeczny jest wyczerpany. Jest tam taka pani, która opiekuje się środowiskiem artystów plastyków, ale mna nie chciała się jakos zaopiekować i nie znam właściwie żadnego artysty plastyka, który mógłby powiedzieć, że skrzydła tej pani są opiekuncze. Cała ta sytuacja jest dla mnie w ogóle bardzo przykra, bo przywykłem radzić sobie sam, ale teraz nie mogę przyjmować żadnych zleceń, bo przecież nie mam gdzie pracować.

— Nie otrzymał pan żadnego pomieszczenia zastępczego?

— Mam mieć, piętro niżej, ale ROM nie ma kluczy i z dnia na dzień odkładana jest sprawa. Ale ja właściwie nie chcę się tam przeprowadzać, mnie chodzi o to, by tu dokonano jak najlepszej remontu.

— Z tego, co wiem, ROM-y nie mają fachowców ani materiałów, a roboty wszędzie pełno.

— Niechby chociaż wymienili podłogi i tynki, a resztę znów zrobić sam. Pięciu ludzi mogłoby to zrobić w dwa tygodnie...

— Ale tych pięciu jeszcze się pewnie nie urodziło.

— Pan mnie załamuje kompletnie.

— Widzę, że ma tu pan pomieszczenie, które może trudno nazwać spialnią, ale zawsze...

— Bo ja tu także mieszkam. Tak się składa, że nie mam niczego poza tą pracownią. I wie pan, byli tu, wtedy, gdy był ten pożar, przedstawiciele PGM. Gdy zapaliłem ich, co mam teraz robić, jeden z nich powiedział, że jest to moje zmartwienie, bo mieszkalem tu prawem kaduka.

— ???

— Bo ten urzędnik wiedział, że nie mam stałego miejsca zameldowania. Zostałem wymeldowany w ciemno, w próżnię, czy jak kto woli w powietrze przez byłą teściową, która udokumentowała odpowiednim władzom, że przebywam gdzie indziej. I od tej pory wiszę w powietrzu. Próbowałem coś wskórać w Spółdzielni Mieszkaniowej, której członkiem jestem od 14 lat, ale... mam wrażenie, że zmarnowałem papier na jeszcze jedno podanie.

— Coś pan jednak wskórał choćby ten lokal piętro niżej.

— Bo na szczęście przyjechał też wtedy naczelnik czy może jego zastępca ze Śródmieścia i kazał mi się zgłosić do Wydziału Lokalowego. Poszedłem tam zaraz następnego dnia, pełen nadziei, a jakże. Byli też moi nie mniej poszkodowani sąsiedzi. I wie pan, jak każdy z nas został potraktowany? Jakby sobie ten pożar wymodlił lub sam go spowodował. To było typowe śledztwo. Dopiero potem pomyślano, że trzeba nam jednak jakos pomóc. Ale mnie, jak to już panu mówiłem, na tym innym pomieszczeniu nie zależy. Mnie jest potrzebna pracownia, bym mógł zacząć ponownie normalnie egzystować. Nie mogę znieść myśli, że jej remont może potrwać latami, a na to się zanoszi, bo ja teraz rozumiem, że mój kłopot nikogo nie obchodzi, wiem nareszcie jak wygląda w praktyce funkcja państwa opiekunczego: wyczerpany fundusz stypendialny, brak fachowców, materiałów, narzędzi... Pozwoli pan, jeszcze jeden przykład. W tym budynku nie ma teraz gazu. Jego dopływ został odcięty, ponieważ jakaś ekipa ekspertów stwierdziła nieszczęśliwe instalacji. Na tym stanęło. Nikt z gazowni się więcej nie pokazał. To nie oni przecież nie mają gazu.

— Tak na marginesie: ile pan ma lat?

— Trzydzieści dwa. Pan się śmieje? Dlaczego?

— To taki filozoficzny uśmiech.

Mój nos nie zdolał przyzwyczaić się do swądu. Nie chciałem nim cały przesiąknąć. Pożegnałem biednego pogorzelca. Cóż mogłem poza tym, że wychodząc, wyraziłem mu swoje współczucie.

WIKTOR LEMAT

1

Pod prąd

Przychodzi chłop do lekarza...

— Co panu jest? — pyta lekarz.

— Właściwie nic — odpowiada chłop — To znaczy nic mnie fizycznie nie boli — żadna część ciała czy organ wewnętrzny, że się tak wyrażę; nie mówię też stanów lekowych, urojeń, nie bywam agresywny, nie popadam łatwo w depresję...

— Czyli tak, jak prawie wszyscy — mówi lekarz.

— Właśnie. I to mnie najbardziej niepokoi.

— Co?

— Że jak prawie wszyscy.

Bo gdy się nad tym głębiej zastanowić... Najkrócej mówiąc, chodzi o to, że czasem następuje we mnie coś w rodzaju rozdwojenia, a nawet rozdwojenia osobowości, że się tak wyrażę. To znaczy nie tyle co innego myśle, a co innego mówić, chociaż i to mi się zdarza, ile — raz myślę jedno, a raz drugie — na dokładkę ten sam temat. Zależnie od sytuacji, a przede wszystkim — od roli w jakiej w danej chwili myślę. Zaraz to panu, doktorze, dokładnie wytłumaczę.

Na przykład idę do sklepu kupić sobie ubranie. Widzę — wiszą ładne garnitury, z kamizelką, a także, ale co jeden to droższy. No i szlag mnie zaraz trafia na tę droższą, bo to już ludzkie pojęcie przechodzi, żeby garnitur kosztował prawie całą moją pensję — zwłaszcza że wiem, że wart jest naprawdę nie więcej niż połowę. A skąd wiem? Ano stąd, że sam pracuję w odzieżowym. Tylko że kiedy jestem w fabryce, to myślę sobie, że dobrze uszyć dziś ubranie jak najdrożej. Bo jak będzie drogo, to fabryka zarobi i ja też dostanę więcej pieniędzy, a to mi się zdecydowanie kalkuluje — zgodnie z duchem reformy.

Albo, powiedzmy, pokazują w telewizorze, jak nasza dzielnicowa milicja złapała groźnego przestępcę-spekulanta. Widzę, ile poszukiwanych artykułów zgromadził on w domu. Ile to warte milionów i wtedy jakbych mógł, udusiłbym takiego drania gołymi rękami. Po prostu, mówię panu szczerze, scyzoryk sam mi się otwiera w kieszeni. Ale nie mijają dwa tygodnie, a przypadek trafiłam w księgarni na encyklopedię jednolomowa pewien. Akurat przy mnie wyrzucili na ladę parę sztuk. No to biorę jedną (bo więcej nie dają) i od razu taszczę ją na bazar, gdzie z pocałowaniem ręki dają mi za nią pięć tysięcy więcej. Dlaczego mam nie zarobić — myślę — kiedy inni zarabiali? I wcale nie jest mi z tego powodu wstyd.

Tak samo w aptece: wychodzę wprost z siebie ze złości, kiedy po głupia aspirynę muszę stać w kolejce pół godziny, albo i dłużej, a jakaś smarkula z legitymacją służby zdrowia realizuje pięć recept poza kolejnością w trzy minuty. No bo, za przeprowadzeniem pana do lekarza, czy to sprawiedliwe? Ale kiedy w fabryce organizują kiermasz naszych wyrobów dla pracowników, bez żadnych wyrzutów sumienia biorę co tylko się da — dla siebie, żony, dzieci, rodziny, znajomych...

I tak na każdym kroku. Podziwiam Zachód za efektywność gospodarowania, oszczędność, pełną skłonność do jednoczenia się nie potrafisz sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz zdarzyło się, żebym przeprowadził w fabryce równe osiem godzin — czy w ogóle kiedyś się zdarzyło. Jeśli odliczyć śniadania, papieroski, pogawędki i temu podobne, nie wychodzi więcej niż sześć i pół. Może siedem godzin. Krew mnie zalewa już na samą myśl, że mój sąsiad buduje sobie dom z gołej, podobno, dyktorskiej pensji, nie tak znowu dużo wyższej od mojej. Ale gdy nakryłem kolega na kradzieży tkaniny z produkcji, nie pisałem nikomu ani słowa. Kapuś przecież nie jestem. Po co sytać kolega, no nie?

Chociaż tego sąsiada to może bym i nawet zakapował. No bo musi mieć przecież jakieś lewe dochody. Z gołej pensji nikt w Polsce domu nie wybuduje. Nie ma siły.

— Ale niech mi pan powie, doktorze, czy to wszystko jest normalne? Czy ja jestem zdrowy, czy nie? Może zapisałby mi pan jakieś krople, pigułki... Chociaż tak na wszelki wypadek, że się tak wyrażę — profilaktycznie.

— Przykro mi, ale nie ma lekarstwa, które mogłoby panu pomóc. Musi pan sam dojść do ładu ze sobą. Ja nie tu nie poradzę. Poza tym wie pan o trudnościach, z jakimi boryka się dziś służba zdrowia... Słowem, powodzenia!... do widzenia. Następny proszę.

— Zaraz, zaraz, doktorze. A gdybym zgłosił się do pana prywatnie? Tu w przychodni trochę ciężko się rozmawia... Zawsze ktoś niepowołany może wejść do gabinetu. Pan rozumie, co mam na myśli?

— Nie bardzo. Ale prywatnie... Kto wie. Przyjmuję w poniedziałki i piatki. Może coś razem wymyślimy. Ja w domu też staję się czasem trochę innym człowiekiem...

JÓZEF RETMAN

2

Lewym okiem

Trzy akcje

Kilkanaście lat temu w całym kraju została przeprowadzona ogromna akcja, której nadano nazwę „Akcja magister”. Wszystkie przedsiębiorstwa, zakłady, biura i urzędy otrzymały do wypełnienia stosy ankiet, które miały dociekać miejscowym pracownikom, posiadającym dyplom magistra, obojętnie jakiej specjalności. Ankietę, jak to przebiegała, bywa, obejmowała wiele najrozmaitszych punktów, nikt nie wiedział dokładnie do czego to ma służyć w każdym razie panowie magistrzy wypełnili, setki tysięcy wypełnionych ankiet powędrowało do jakichś centralnych szaf, wrzucano je po drodze do kompu-terów, które przetworzyły odpowiednie dane, stworzyły nowe tysiące lub dziesiątki tysięcy arkuszy wykresów, wydruków — co z tego miało wynikać nikt nie wiedział, co z tego wynikało — chyba nic. Poza — oczywiście — wielomilionowymi kosztami.

Parę lat później przeprowadzono, podobną w typie, akcję, tzw. okresowej oceny pracowników. Chodziło tu o pracowników umysłowych, akcja opierała się również na wypełnianiu ankiet, były one o wiele obfitsze od poprzednich, wielostronicowe, nikt nie wiedział jak się do nich zabierać. Tym razem pozaostawiono zresztą swobodę wyboru, wypełniał ankietę kto chciał, natomiast tym, którzy to zrobili, obiecano jakieś specjalne, odrobinę sposób awansowania. Ci, którzy skorzystali i wypełnili ankietę musieli potem, co jakiś czas, o ile pamiętam co kwartał, wypełniać również są-żnisze tzw. arkusze ocen, samookreślając swą pracę i dając podkład jednostce nadzornej do oceny przydatności pracownika. Po kilku kwartałach wszystkich się to sprzykrzyło, znowu powstały tony zapisanego papieru, które pewnie jeszcze gdzieś zalegały przepastne szafy naszych centralnych urzędów. Nie zauważyłem, żeby kiedykolwiek zaszczepiła się jakaś różnica pomiędzy tym, co się samemu oceniało, a tym, który pozostał w sprawie dotychczasowemu biogramowi. Miliony złotych, ogromne ilości straconego czasu znowu poszły w powietrze.

Niedawno podjęto akcję a- testacji stanowisk pracy. Sama nazwa tej akcji nie ma swego semantycznego uzasadnienia, ale mniejsza z tym. Ta akcja wydaje się najbardziej pracochłonna i kosztowna spośród wszystkich trzech, o których tutaj mowa. Każde stanowisko pracy, zarówno fizyczne jak i umysłowe, przy biurku, przy maszynie, przy łopacie, przy okienku kasowym, opisywane było i jest, bo akcja trwa nadal, przez wieloosobowe komisje — opisyuje się warunki bezpieczeństwa pracy, stopień skomplikowania, stopień wysiłku fizycznego i bardzo wiele, niezmienne trudnych do uchwycenia elementów. Ponieważ są to sprawy nie dające się zmierzyć ani zważyć, przeto dowolność w ich opisywaniu jest bardzo duża i przydatność takiego opisu do podejmowania jakichkolwiek późniejszych decyzji wydaje się bardzo problematyczna.

Jak dotąd słyszy się tylko o tym, że atestacja stanowisk pracy dokonywana jest przez instytucje pod kątem uzasadnienia istniejącego stanu rzeczy, a nie dla poprawy sytuacji. Często też stała się ona pretekstem do utracenia pracowników niewygodnych i ponierania osób zaprzeczających. Nie słyszałem natomiast, żeby cała ta akcja dała w wyniku usprawnienie pracy przedsiębiorstwa lub biura.

Może to, co tu piszę, jest zbyt pochopnym zdaniem człowieka patrzącego na sprawę z perspektywy przeciętnej osoby. Po akcji „magister” i po tej drugiej kampanii arkuszów samooceniających, trudno teraz nagle dobieść do optymistycznego przekonania, że za trzecim razem to wszystko się świetnie uda. A tak między nami mówiąc, od początku nie wiedziałem, co ma się tutaj udać, przy tej całej akcji atestacji stanowisk. Czy nie będzie to jeszcze jedno liczenie ryb w naszych rzekach, przy pomocy amatorów wędkarzy. Wciąż mam wrażenie, że stoję oto przed niebotyczną górą, która może urodzić malutką myszkę, malutką, ale bardzo, bardzo kosztowną.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Sport

Pilka

pod oknem

W wymyślaniu tematów do dyskusji i w organizowaniu dyskusji jesteśmy bardzo do- brzy. Gdyby przyszło do rozegrania międzynarodowej konkurencji w tej dziedzinie, to nie wiem, czy nie zdobylibyśmy złotego medalu. W takich dyskusjach padają wspaniałe myśli, znakomite projekty, cudowne — niekiedy wręcz genialne — wnioski. Dyskutanci wstają, bęgną się a rzeczywistość pozostaje nadal taka, jaka była. I wszyscy są zadowoleni, gdyż spełnili swój obowiązek, a może coś więcej. Wypowiedzieli się, tylko skutków tych wypowiedzi jakoś nadal nie widać, mimo że czas mija i mija.

Na święta „Polityka” przyniosła dyskusję o piśmie nożnej. Zorganizowała w przeszłości kilka takich dyskusji, w których udział brali i Kazimiera Górski, i Leszek Jezierski i wiele innych osób z piłąk związanych. Można byłoby je co roku powtarzać, gdyż myśli były słuszne, a efekty żadne. Teraz jestem szczęśliwa, że światło kierownictwo naszej redakcji

zarzuciło ten wznośny pomysł i nie każe mi robić takich dyskusji. Niech się nim inni zajmują.

Przeczytałem dyskusję w „Polityce” z zainteresowaniem, bo to inni się nad nią zmęczyli, nie ja i zastanowiła mnie ta wielka tęsknota za... podwórkiem, na którym wyrastał nieduży wielki piłkarz biegający najpierw za szmacianką. Przypomniałem sobie zaraz, jak to organizowaliśmy już wiele różnych akcji. Budowaliśmy korty tenisowe, biegaliśmy po zdrowie, teraz „Kadra piłkarska czeka”, co można sprawdzić w telewizorze, a w Łodzi wymyślono piękną ideę: szkolne ligi. Zresztą w jubileuszowym numerze „Piłka Nożna” — gratulujemy pięknego piętnastolatka — domniemy, że już niedługo nastąpi 13 edycja konkursu „Piłka nożna w naszym osiedlu”. A więc mimo to, że nie ma podwórka, coś się dzieje.

W 1987 roku konkurs ten prowadzono w 277 osiedlach, wystąpiło 8 970 drużyn, w których grało 129 603 chłopców, a 1 288 z nich trafiło do klubów sportowych. Zajmowało się tym 8 000 osób, a w tym — uwaga, uwaga — 35 procent kobiet.

Gdy więc porównuję te dane z placem Andrzeja Strzela, że dostaje „ślazę młodzieży ze szkoły” i dr Stefana Paszyskiego — wiceprzewodniczącego Komitetu do spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej, iż do tego, aby nauczyć techniki gry w piłkę nożną w szkole trzeba „przygotować nauczycieli i kadry, a dziś większość nauczycieli w-f to kobiety”, to mnie też się chce płakać. Dzielnej kobiecie piłąk nie przyszył, więc zostawiam go dzielnym mężczyznom. Popłaczcie sobie trochę panowie, piłąk oczyszcza, uzdrawia. A skutku i tak nie będzie. Żeby był skutek, trzeba wziąć się do roboty.

Czasz szmacianek i podwórek minęły bezpowrotnie i jak kogoś bawia wspomnienie, to niech sobie wspomina. Od wspomnienia rzeczywistość sportowa osiedli nic a nic się nie zmieni. Wprawdzie 12 edycji konkursu „Piłka nożna w osiedlu” przyniosła jakieś rezultaty, ale nikt nie wie, ile boisk zalano asfaltem lub zmielowano na spychaczem. Wierzę Andrzejowi Strzelaowi, że mógłby podać adresy szkół, w których „jest jedna piłka, gdzie nie ma sprzętu, boisk, sali”. Tylko, co z tego wynika?

Skoro już mamy Komitet do spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej, to niech ten Komitet — a właściwie jego ludzie — walczy pięścią w stół i zażąda na przykład, aby żaden projekt osiedla nie mógł być realizowany, jeśli nie będzie w nim zaplanowanego boiska do piłki nożnej, siatkówki, koszykówki — bo przecież może być to samo boisko wszechstronnie wyposażone — terenem pod lodowisko i dobrze pomyślanego placu zabaw dla maluchów. Najłatwiej urządzić taki plac zabaw. Ale to tylko z pozoru tak wygląda. Same tereny niczego jednak nie zmieniają, jeśli w administracji osiedla nie będzie człowieka, który będzie się tym wszystkim zajmował. I z tego żył. Najwyższy już czas skończyć z amatorszczyzną, gdy chodzi o zdrowie przyszłych pokoleń.

Liga szkolną popieram. Włodzimierz Tyłak z ŁKS chwali. Podobnie jak ŁKS, „Express Ilustrowany” i Łódzki Ośrodek TVP — organizatorów tej akcji. Przypominam, że chętni do udziału w lidze szkolnej mają się zgłaszać do 30 kwietnia 1988 roku w sekretariacie ŁKS przy ul. Piotrkowskiej 76. Życze sukcesów!

— Ale boję się jednocześnie. Wiedziałam już wiele pięknych akcji i znam bezdusznymi urzędników, którzy potrafią zadusić najwspanialsze idee, pomysły oraz inicjatywy. Oby tym razem tak nie było. Czego. Inicjatorom tej akcji serdecznie życzę!

Wracam jednak do mojej poprzedniej myśli. Wszelkie pomysły są potrzebne, pożądane, niezbędne, ale potrzeba też polityki Komitetu, który do tych spraw został powołany. Potrzeba działania, a nie urzędowania i reprezentowania. Samymi akcjami wiele nie zwołujemy. Piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami, a nasza droga do socjalizmu — do brwni pomyślnymi i akcjami. Po których zostały wspomnienia.

BOGDA MADEJ

Senator Walter Huebenthal zaproponował mi zajęcie pośrednika handlowego na gruncie amerykańskim Kraj znam, ludzi znam, mógłbym, nie nadwężając się specjalnie, nieźle zarobić. Propozycja padła na sławetnym bankiecie Kertu w Helsinkach; w Hamburgu senator do niej nie powrócił. Nasi sojusznicy mogą podekładać, ale nie za wysoko.

Przegrana sprawa. Wszystko z łatwym zarobieniem pieniędzy przegrane. Wpadłem w matnię. Sam się w nią zapędziłem. Goniąc za czymś, co nie ma kształtu. Dnia wczorajszego szukam, jestem kopnięty!

Z lokali sączą się chóralne śpiewy, niebo rozświetlają sztuczne ognie. Oktoberfest. Okna apartamentu wychodzą na Maximilianstrasse, główną ulicę Monachium, pełną rozbawionych ludzi. Obok Maximilianstrasse jest tu jeszcze Maximilianum, Maximiliandom, Maximiliankirche, Maximilianbrücke, Maximiliankrankenhaus, Maximiliantheater, pół tuzina szkół, przedszkoli, żłobków imienia Maximiliana. Miasto Maximiliana. Szkoda, że nie ma publicznego wychodka pod wezwaniem Maximiliana. Pieprzone miasto!

Zatrąskuję okno i schodzę do westybulu. Z tego miejsca widzę wejście główne oraz recepcję. Dlaczego tu zszedłem? Dla niczego. Spać i tak nie mógłbym, zostając sam na sam z miniharem uległym butelce Polska Wódka Wyborowa, a muszę zachować trzeźwość umysłu.

O północy zjawia się Karoline-Luise i jak na skrzydłach pognąła z kluczem do windy.

Nie podniosę słuchawki. Dzwoni niemiecka pedanteria, kapłanka świątyni Westy dzwoni — nie podniosę!

Upór za upór. Odstawiła harfę na bok i wydzwania. Ten ich cholerny święty ogień! Oby tylko nie zdecydowała się zejść na moje piętro. Chyba się już nie zdecyduje. Minęła druga. Oni mogą wrócić lada chwila.

Wypaliłem jeszcze pół paczki papierosów, wypilem kilka wódek.

O czwartej zbudził mnie wściekły hałas dzwonnów kościelnych nad moją głową. Półprzemyślny zerwał się do telefonu.

Nie poznałem jego głosu. Nigdy nie słyszałem go tak wzburzonego. Niewdzięczniki! Skaczę z kraju do kraju, używam świata myśląc tylko o swojej dupie, a że ktoś z tego powodu może mieć kłopoty... Z tego powodu! Czy, do jasnej cholery, wyobrażam sobie, w co go wpędziłem?

— Ależ Dave!

— Od miasteczka szukam wiatru w polu. Nicuję flaki, podczas gdy ty... Ale rozumieć: forsy mamy w bród, więc na diabła nam Dave.

— Nie podobnego!

— Masz najzwyczajniej wszystko w dupie. Trzeba być kretynem. Czy zajesz sobie sprawę z powagi sytuacji, w jaką mnie wpędziłeś? Książeczka czekowa... Kto ci ją wystawił?

— Ależ Dave...

— Zawsze szedłem ci na rękę, a ty... Żeby nie zdobyć się na telefon...

— To nie tak. Wpadłem w tarapaty. Chciałem wykaraskać się z nich o własnych siłach, dopiero potem. Było mi po prostu głupio.

— Słowa. Mnie możesz mieć w głębokim poznanowaniu. All right, możesz. Ale nie wydawaj, z którymś w twoim imieniu jestem związany umową. Facet domaga się książki. Domaga się zakończenia albo odszkodowania obwarowanego umową. A nie chodzi o centy...

— Dave, ja...

— Nie dopuszczam myśli o zamiarze wykołowania mnie, choć Ron jest innego zdania.

— Dopuszczam do głosu, Dave. Mam kłopoty. Hamlet... Na obu końcach linii, rozumiesz? Ja...

— Wszystko ma swoje granice.

— To nietypowa sprawa. Jestem z matką. W domu pożar, chyba już wiem. Piekłny metlik się zrobił.

— Tym szybciej musimy porozmawiać. U mnie też konie stają dęba. Każdy ma swoje problemy, z tym, że twoje problemy stały się moimi. Cholerne problemy, a nie wiem, czy nadal jesteś dawnym Andym!

— Jak możesz!

— Wyjdźcie we wspólnym działaniu, jeżeli oczywiście mogę liczyć na ciebie. Mam koncepcję, ale nie na telefon. Wybieraj: Bruksela, Rotterdam, Antwerpia, Hamburg, Monachium — spotkamy się i omówimy. Jeżeli stoimy razem...

— Stoimy, Dave. Tylko daj mi nieco czasu.

— Nieprzemyślny jesteś! Ziemia się trzęsie pod nogami, a ty potrzebujesz czasu. Nie mamy o czym gadać. Trudno...

— Nie przerywaj rozmowy! Piszę się pod każdą koncepcją. Ale błagam, daj mi trochę czasu.

— Ile?

— Powiedzmy tydzień.

— W głowie ci się przewróciło!

— Trzy dni, Dave.

— Dwa Jeżeli do jutra wieczora nie zadzwonisz, możesz się więcej nie fatygować. Good bye!

Las w Käpylä. I jeziora. Można tam nie nie robić — dosłownie. Można całymi dniami siedzieć na werandzie bungalowu i patrzeć w las, można stać w oknie z rękami w kieszeniach i spoglądać w niebo, można położyć się nad jeziorem i gapić się w wodę, można nie zadawać sobie pytań, nie mówić do siebie, nie tęsknić do ludzi, nie przyjmować do wiadomości ich istnienia, można nie czytać, nie pisać, nie golić się, wszystko można. Można wyłączyć myślenie.

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

19

LEONARD

Nieprawdopodobne nieprawdopodobieństwo. Wyłączyć myślenie, czyli wstrzymać przepływ krwi przez mózg. I nie umrzeć.

Jesień w Käpylä jest inna niż w Seattle, niż w sąsiadującej z moim stanem kanadyjskiej prowincji Vancouver, choć szerokość geograficzna prawie ta sama. To przez nagrzane wody Pacyfiku. Ale lasy i jeziora podobne. I przejmujące, jak podczas Podniesienia, cisza.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem w kościele. Ojciec też nie pamięta. Ma z Bogiem zadawnione spory. Pewnych win nie może Mu odpuścić. Wszystkie inne — tak, tych — nie!

Już nie zasnąłem. Pomyliła apartamenty: miał do swego, jak poprzedniej nocy przyszła do mego: — Dlaczego mnie budzisz? — udaje zasnętego.

Stoi pod drzwiami niczym złodziej schwyty na gorącym uczynku.

— Przepraszam cię, ale zabrałem oba klucze.

— Co zrobiłem?

— Zabrałem oba klucze.

Zapalałem nocną lampkę i patrzę na zegarek. Jest pięta trzydzieści. Odwracam się do niej plecami. — Wobec tego bierz swój i dobranoc.

Nie wytrzymuję napięcia.

— Zdecydowałam się opuścić ten hotel. —

Wargi ma pogryzione do krwi. — Bez chwili zwłoki.

Wyciągam rękę do telefonu.

— W porządku. Poproszę o przygotowanie rachunku.

Zanosi się gwałtownym szlochem. Nigdy w takim stanie jej nie widziałem.

— Andy... Andy... — bełkocze — to nieprawda. Zostanę tu jeszcze kilka dni. Och, jak mi przykro, Andy... Powinno wracać do domu, wiem, ale...

Nie tylko wargi ma pogryzione. Szyja i poniżej... Z żartowniczą ośmiornicą się parzyła.

— Co?

— Nie mogłabym. Myśl o mnie, co chcesz, nie mogłabym. To moja kłeska, wiem. Wszystko przewiduję, ale pragnę tych dni bardziej niż życia. Chcę się dopełnić. — Chwyta się za głowę. —

Ja naprawdę oszalałam. Postradałam zmysły, wiem, ale nie wyrzekłabym się tego za żadne skarby świata. Przypadek otworzył mi oczy.

Całe moje kobiece życie przekarmiłam okrucami szczęścia prawdziwego, podawanego jednak w drobniakach, w mikroskopijnych porcjach, podczas gdy ja łaknęłam tarzania się w rozkosz; dopiero teraz się o tym przekonałam.

Próbuję podesnąć do mnie i objąć mnie ramionami, ale cofam się pod ścianę.

— Mój drogi, kochany Andy, ty... ty nigdy tego nie zrozumiesz. Jesteś tak podobny do ojca — tym gorzej dla twoich kobiet — i tak jak on na pierwszym miejscu stawiający zawsze wasze przekłete ideały. Co my, kobiety, dla was znaczymy? — Ociara łyżką rękawem. — Bądź spokojny, nie stchórzy. Nie umiałabym go oszukiwać, to byłoby gorsze od śmielenia. Ale teraz błagam, daj mi te kilka dni. Potem...

Jestem rakietą jądrową gotową do startu. Niech ona, na litość boską, tylko nie zaczyna odliczania.

Zrywam się z łóżka.

— A potem niech świat się zawałi, tak? Przez wasze cholerne mrzonki o szczęściu, tak? Bo twoja szlachetność made in Swiss nie zniżyłaby się do kłamstwa, niech więc piekło pochłonie wszystkich, tak?

Mógłbym trzasnąć ją w twarz.

— Ty głupia suko! — wrzasnąłem. — Czy do twojego mózgu nie dotarła jeszcze myśl, że kłamstwo w dobrej intencji jest błogosławieństwem, a prawda, co rani innych, zbrodnią? Puszczaj się, jeśli ci to do szczęścia potrzebne.

Podstawiając się na lewo i prawo, tylko rób to z głową na karku — ja cię za to nie potępię. Gdyby każda niewierność kobiety miała zabijać, świat byłby dawno bezludną planetą. — Podniosłem pięść do jej twarzy. — Ale nie waż mi się go ranić. Byłaś i jesteś jego życiem. Byłaś

więcej niż żoną i matką jego dzieci, bo zastąpiłaś mu jego największą świętość, ojczyznę. A teraz jadź mi stąd, do twojego gacha!

ROZDZIAŁ 12

Pocisk przebił czaszkę na wylot, odbił się o skrzydło spitfire'a i zdeformowany upadł na dywan. Przeciagając linię prostą — od miejsca, w którym leżały zwłoki do śmigła — musiał być oddany z rezerwu rododendronów, wnioskowałem na gorąco oficer śledczy. Ale to nie pewnego. Pewne jest tylko to, że został wystrzelony z karabinu z tłumikiem; nikt nie słyszał wystrzału — oświadczył nie odstępującym go dziennikarzom.

Wezwał policjantów do usunięcia ich z kokpitu.

Widok rozzerwanego pociskiem czerepu czaszki, rozbryzganego na balkonie mózgu mógł przypisać o torsję najodporniejszego. Zmasakrowaną głowę nakryto serwetą zdjętą ze stołu.

— Musimy go zabrać — zwrócił się po raz pierwszy do córki klęczącej nad zwłokami ojca. Helen nie plakała. Wstrząsana konwulsjami tłumionego szlochu nie dawała się oderwać od jego piersi. — Proszę się opamiętać, Miss Skala. Rozumiem pani ból, lecz to nic nie da. Musimy go zabrać.

Wynoszeniu zwłok zamordowanego Casimira Skali przypatrywali się milcząco przerażeni mieszkańcy Good Weather Street.

ROZDZIAŁ 13

Gardenia Florida. Nigdy nie uwolniłem się od tego zapachu. Do końca życia przypominać mi będzie ciepło łona kobiety ze Sleeping Valley i jej odrzucającą odmianę z Monachium.

To moje uprzedzenie do tego krzewu. Już od dziecka...

Cielsko boa dusiciela ślizgającego się po mojej piersi. Nigdy nie znalazłem odpowiednika dla wstrętu większego niż przerażenie, jakim przejmuję człowieka ruch luskawej skóry tego gada na nagim ciele. Ale jeszcze większym wstrętem napawa mnie myśl o dłońach tej suki. Na „Salome” bronilem się przed tymi myślami, teraz moja wyobraźnia uwolniona od hamulec widzi je błądzące po czymś zupełnie innym niż przegub mojej ręki.

Tak długo zmusiłem naturę do milczenia. Ile wysiłku musiało ją to kosztować!

Czy ten wysiłek nie powinien być dla niej rozgrzeszeniem?

Tak oto, za sprawą rzeczy tak zwyczajnej jak obudzona chęć starzejącej się kobiety, Good Weather Street wyparowała z mojej pamięci w nicosć.

Telefonowałem w południe. Sześć godzin później powitałem go na lotnisku. Człowiek-błyskawica!

Z Cliff Street do lotniska Heathrow potrzebowaliśmy — wleczenie się samochodem przez zatłoczone ulice, formalności, samolot też nie czekał wyłącznie na niego — przynajmniej dwie godziny, do tego przesładka we Frankfurcie nad Menem... Coś rzeczywiście palił mi się pod nogami.

Regulamin Firmy zabrania poruszania tematów służbowych w taksówce czy w obcym samochodzie. W drodze do hotelu przestrzegaliśmy tego w całej rozciągłości. Problemy zostawiliśmy sobie na później. Liczyłem, że pozostanie na noc. Ale u Dave'a czas zawsze liczył się na wagę złota.

Zresztą tak lepiej. Człowiek, który wysiadł z samolotu, nie przypominał dawnego Davida.

Z bezałkowną kolacją, spożytą na stojaka, uporaliśmy się w apartamencie. Alkohol i praca u Dave'a nie chadzają w parze.

Kondolenci mi nie składali. Ograniczył się do współczującego klepienia po ramieniu. Sprawy, na których bieg Dave nie ma wpływu, dla niego nie istnieją. Odpowiada mi to podeszcie.

Nie pytał też o matkę. Myślałem o tym w drodze do portu lotniczego nie bez zakłopotania. Ze wstydu za nią przygotowałem sobie bajkę o jej kilkudniowym wysoku ze znajomymi gdzieś do Tyrolu, o moich bezowocnych, zresztą prawdziwych, staraniach nawiązania z nią kontaktu. Niecodzienna sytuacja. Mąż w prosektorium, jego małżonka, która nie wyobrażała sobie życia bez niego, przeżywa swoją drugą miłość.

Wiedziałem, że Dave nie zacznie wprost. Postanowiłem bez chwili zwłoki przedstawić mu moją sytuację materialną.

Dave był szybszy ode mnie.

Rozegrał się po salonie, przez otwarte na oścież drzwi zapuścił żurawia do gabinetu i sygnali — okna wystawowego hoteli dbających o swoją światową reputację. Gwizdał przez zęby. — A kto za ten luksus płaci? Jeśli się nie mylę, jest to najdroższy zajazd w tym mieście...

Nie mogłem zaprzeczyć.

Nie widzieliśmy się ponad pół roku. Jechałem po niego z duszą na ramieniu. Jak na pogrzeb kogoś bliskiego, kto zapomniał umrzeć. Gdybym mógł, przyprowadziłbym taksówkę skrzydła, i najchętniej miał to spotkanie za sobą.

Snuiliśmy plany wspólnego działania. Optymizm nas nie opuszczał. Po zwycięskiej batalii o przywrócenie nam prawa do bezkarnego powrotu do kraju, Dave będzie się ubiegał o miejsce w Senacie, o mnie też nie zapomni. Nie pamiętam, kiedy to było.

Niższy ode mnie o trzy cale, znacznie potężniejszy Dave cmokał z przekąsem. To rzeczywiście nie był Dave. Ani ten z bardzo dawną, ani ten z londyńskich czasów, z którym potrafiłem przekomarzać się jak równy z równym. Nie mogę powiedzieć, aby jego nowe wcielenie porażało delikatnością.

— Diabło hojnego wujaszka sobie znalazłeś. — Skinał na kufel z garderobą, stojący w hallu apartamentu, wysłany przez matkę statkiem. — Co z jego właścicielką, jeśli wolno?

Nie widziałem powodu do matactwa.

— Wolno.

Czekał.

— Jak z każdą panią domu na pierwszym samotnym urlopie w życiu: wyjechała z poznanym tu gachem. Niemieckim arystokratą. Jeżeli cię to bawi, jest to facet, którego mój ojciec zestrzelił nad El Alaima w Afryce. Nie żartuję. Z pozostawionego listu wynika, że urwała się na kilka dni. Dokąd? — nie wiem. Nie wie tego jego córka zastawiona mi na pocieszenie, którą odesłałem do wszystkich diabłów, nie wie dyrektorka hotelu, nie wiedzą zarządcy jego posiadłości pod Rosenheim i Garmisch Partenkirchen — telefonowałem. Pozostało odwołanie się do policji, ale mimo mego stosunku do jej wybruku, zaoszczędzę jej tego. Mam nadzieję, że szybko mu się znudzi i, jeżeli całkowicie nie postradała zmysłów, zjawi się tu. Nie wymeldowała się z hotelu — dodałem.

Helen tego nie powiedziała; telefon jest na pewno na podstuchu FBI. Jak ich znam, domu i jego połączeń ze światem nie spuszcza z oka i ucha. Poza tym Helen ma kłopoty ze swoją ostatnią miłością i mogłaby przyjąć to zbyt osobliście. Jest zdecydowana wyjść za mąż, choćby tego kroku miała żałować do końca życia. Rozwód może nastąpić po wyjściu z Town Hallu, ale dziecko, które da sobie przedtem zrobić, ma mieć legalnego ojca. Naukowcy, twierdzą, nie są najlepszym materiałem na męża, mają jednak niegłupie geny. Za rok z haczykiem skończy trzydziestkę. Poza tą kreską zaczyna się dla kobiety Sahara. Musi się śpieszyć.

— Twoja matka nie wymeldowała się — podjął kontemplacyjnie Dave. — Teraz rozumiem, dlaczego nadal korzystasz z gościnności wujaszka z Seattle...

Nie jestem agresywny, ale daleko mi do potulności owieczki. — Dave! — zaprotestowałem. Uśmiechnął się. Stał na rozstawionych nogach i uśmiechał się. — A ja — bawił się sytuacją — liczyłem na zastrzyk gotówki, jaki miałem otrzymać po przekazaniu wydawcy ostatniego rozdziału twojej książki. Jestem w opałach, czy wiesz?

— Niby skąd? Nie ogłaszasz w prasie swego stanu majątkowego...

— Jestem w opałach — powtórzył. — Kiedy dostanę końcówkę „Orwellady”?

Mówił z cygarem w zębach. Zawsze go podziwiałem: mowić wdychając gryzący w oczy dym, nigdy mi się to nie udało. Ojciec zapalał cygaro dla relaksu, on dla zamaskowania wściekłości. Gdy w AA wyciągał ze swego bogato rzeźbionego pudła cygaro, pracownicy, nie wyłączając Nancy, wolali schodzić mu z drogi.

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Głana